

Książka niniejsza jest własnością  
Towarzystwa Czytelni Ludowych

## Szanuj książkę!

Książka mówi do Ciebie:

Jestem własnością ogółu, bo ze składek publicznych mnie zakupiono.

Kto mnie niszczy, krzywdzi społeczeństwo.

Dlatego obchódź się ze mną uczciwie, nie plam mnie, nie niszcz, zawiń okładkę moją w czysty papier i nie przetrzymuj mnie dłużej, jak rzeczywiście potrzebujesz.

7,  
W MŁODYCH OCZACH

*Jubileuszowy Komplet Książek*  
*1926 - 1936*

*Koło Towarzystwa Czytelni Ludowych w Janowcu*

UTWORY PIOTRA CHOYNOWSKIEGO:

KIJ W MROWISKU. Nowele.

HISTORJA NAIWNA. Nowele.

RUCHOME PIASKI. Sztuka.

POKUSA. Nowele.

KUŹNIA. Powieść histor. z 1861 — 63 r.

DOM W ŚRÓDMIEŚCIU. Powieść.

MŁODOŚĆ, MIŁOŚĆ, AWANTURA. Powieść.

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH. Nowele.

RZECZY DROBNE I ZABAWNE.

PIOTR CHOYNOWSKI



W MŁODYCH  
OCZACH

POWIEŚĆ

Komputer:



NAKŁAD  
GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA



84747

B

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0106585

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ  
T. PIOTROWSKI

A024



„Drukarnia Bankowa” — Warszawa, Moniuszki 11

1 9 3 3

K-148/77/84747

Nazywam się Michał Kęcki i jestem inwalida wojenny. Dobrze mnie pocharatało i boli nieraz w gnatach, jak djabli! Ruszać się po świecie niebardzo mogę. Siedzę też sobie przed ojcowskim jeszcze biurkiem i piszę te bzdury dla pociechy.

### I. OJCIEC.

Jak tylko pamięcią sięgnę, mieszkaliśmy zawsze w Warszawie na Elektoralnej. Dawne to dzieje. Panie nosiły wtedy tiurniury, panowie chadzali w tużurkach i okropnie wysokich cylindrach. Ulica Elektoralna nie była wówczas siedziskiem samej biedoty, jak dzisiaj, ale gościła przeważnie inteligencję. Szła też za postępem czasów. Na dalszym jej krańcu, aż hen! ku Chłodnej (wydawało mi się to dosyć daleko) — murowano nagwałt olbrzymie, aż trzypiętrowe kamienice, którym do

komfortu brakowało tylko kanalizacji. Stare pałacyki burzono, albo poświęcano celom drobnego przemysłu. Z jezdni zdarto już ordynarne „kocie łby“, pokryto ją zaś szczególnym rusztem żelaznym: koła dorożek i wozów wydzwaniały na nim od świtu istną symfonię piekieł. Po tym piekielnym ruszcie przechadzał się czasami z powagą ogromny policjant, którego się bałem jak ognia. To był dla mnie „Moskał“.

Myśmy mieszkali nie w żadnym z nowych domów, tylko właśnie w jednym z odrapanych pałaców, bo ojciec mój, doktor Michał Kęcki, dorabiał się ledwo praktyki. Co tu długo gadać! Ożenił się ojciec już na trzecim kursie, skłócił z całą rodziną i skończył uniwersytet tylko dzięki sumce, którą wyciągnął z wielkim trudem od swego stryja, a mego stryjecznego dziada, też Michała. Nie przelewało się z początku.

Mieszkaliśmy więc w odrapanym pałacu, ale nie mieszkaliśmy źle. Za mojej pamięci było tego pięć pokoiów: dwa — olbrzymie, od frontu, a reszta albo maleńkie, albo dziwacznie wąskie i niepraktyczne, jak to w pałacu. W największym stały nasze dziecinne łóżka, trzy narazie, ale tylko narazie, bo ojciec zawsze powtarzał matce, że „Polaków nigdy na

świecie dosyć“. Matka krzywiła się nieco, ale cóż miała z ojcem robić? Szło mu coraz lepiej, sam Chałubiński go protegował, a żarty trzymały go się każdej chwili. Był to nie człowiek, tylko szczerze złoto. Wybiegał raniutko do szpitala, wesół jak szczygieł, a wieczorem, po całodziennej pracy, mył ręce w gabinecie ze śpiewkami i gwizdaniem. Grywał też kujawiaki na skrzypcach bardzo kiepsko. Dobroci był wprost karygodnej. Całą biedotę na Elektorальной leczył zadarmo, a otwierał kieszeń wszelkiej nędzy.

Stąd mieszkał u nas pan Adam Glinka. Wrócił był właśnie z Nerczyńskich kopalni i z osiedlenia i nie miał gdzie, biedak, głowy w Warszawie złożyć. Złożył ją u nas dość wygodnie. Nie wiem, gdzie go ojciec spotkał, ale zaprosił na nocleg natychmiast i trwał już potem ten nocleg parę lat. Pan Adam gnieździł się w ciupce koło kuchni i stale szukał posady. Nie mógł jej znaleźć. Był to starzec wysoki, nabożny i ponury. Czas spędzał po kościołach. Gdy pytano go o powstanie, czy Syberję, nie mówił nic, tylko wzdychał. Ojciec ścisnął go wtedy za rękę. Przed panem Adamem większy miałem respekt, niż przed ojcem, choć nigdy palcem mnie nie tknął. Raz nawet wziął mnie na kolana i wywodził nud-

nie i chmurno jakieś tam z Kęciami pokrewieństwo... Znowu, widocznie, nie dano mu posady.

Mieszkała też z nami kuzynka Melanka, młode jeszcze a urodzone stare pannisko. Ta miała wuja biskupa i pyszniła się tem wielce, choć biskup wcale o nią nie dbał. Melanka była pożyteczna i sypiała z nami w dziecinnym, wodziła na spacer do Saskiego Ogrodu i udzielała początków wykształcenia. Ku memu zgorszeniu gardziła panem Adamem okropnie, choć powstaniec. Okazywała mu to wyraźnie. Jak dziś myślę, był dla niej, widać, za stary.

Ojciec żywił to wszystko z humorem, bo, jak się rzekło, promieniał cały dobrocią i radością życia. Gdy latem wracał z wizyt przez podwórze (można było przejść ogrodami i z Leszna), kłaniał mu się przez otwarte okno właściciel tokarni, kłaniała się gruba maglarka, kłaniał się sklepikarz, kłaniali się nawet zecerzy z ponad drukarskich kaszt. Ojciec śmiał się do wszystkich, a jak kogo po drodze spotkał, to gadał z nim dłuższą chwilę. Każdemu też podawał rękę, nawet stróżowi i pracze. Taką miał manję, bo był, jak się mówiło wówczas, demokratą. Wyobrażam dziś sobie, jakie zakłopotanie musiało to z po-

czątku wywoływać u drobnego ludka! Ale po dziesięciu latach przyzwyczaili się przecie: dziwak z naszego doktora i tyle! Tylko matka nie przyzwyczaiła się nigdy: aż bladła ze wstydu na widok tych konfidencyj. Wyrzucała je ojcu nieraz bardzo ostro. Ojciec śmiał się tylko.

— Nie złość się, Łódzka, bo zbrzydnieysz!

A matka rzeczywiście była ładna i lubiła komplementy. Czasem przecieź ponosił ją gniew i gadała, gadała, jak to kobieta. Ojciec czekał cierpliwie końca tej wymowy, poczem tłumaczył łagodnie zasady prawdziwej demokracji i jak to ją należy odrazu w życie wprowadzać, żeby naprawdę przyszła. Ale z miny matki widać było, że demokracja ani jej ziębi, ani grzeje, i że jest wściekła. Wtedy ojciec stwierdzał stanowczo, choć z pewnym smutkiem:

— Tak musi być i tak będzie.

Było też tak i nadal, wedle jego woli, demokratycznie, lecz narazie ojciec tracił humor. Nikt się teraz nie śmiał, milkły fałszywe skrzypce i gasło w domu słońce. Przez kilka dni ojciec nie mówił słowa. Zamykał się w gabinecie, czytał i gryzł się, że nikt go z bliskich nie rozumie. Aż któregoś wieczora matka całowała go w rękę ze łzami. Zezwalał na ten

akt pokory i gładził ją po włosach, jak córeczkę. Wolał widzieć już w niej ukochane dziecko i głuptasa. Zwalał winę na brak wykształcenia. Śmiał się znowu — i znowu wszystko było cudownie i jak najlepiej.

Bardzo często przyjmowaliśmy wieczorami gości, przeważnie kolegów ojca i starszych studentów. Kłócili się hałaśliwie o politykę i grywali w preferansa na dwa stoliki. I pan Adam zgrywał się ponuro za ojca pieniądze: karta nie szła mu nigdy. Melanka miała wtedy straszne kłopoty o kolację, bo niesposób było wiedzieć, ile osób ojciec pospraszal w zapale; z uciechy sprosiłby całe miasto, samą, rozumie się, hołotę i biedaków. Ku swemu zdumieniu dojrzałem kiedyś w gabinecie wśród gości metrapaźa z naszej drukarni: przyszedł w tużurku, bardzo uroczysty, i też grał w preferansa. Ojciec prosił wielokrotnie tokarza i właściciela sklepiku, ale ci wymówili się grzecznie, choć stanowczo. Zresztą zawsze bywało strasznie wesoło i później chodziłem wtedy spać.

Bywał jeszcze u nas i inny rodzaj gości. Zupełnie inny. Ci wpadali pojedynczo, bez zaproszenia, nie przedstawiali się wcale i szli od razu do ojca, nie zważając na pacjentów. Ubrani byli zwykle ubogo, z waszecia, a nie-

raz dość dziwacznie. Walizki mieli bardzo ciężkie. Melanka patrzyła na nich z abominacją, a matka ze zgrozą. Ale ci nie robili sobie z tego nic. Sypiali w gabinecie na sofie i całymi dniami złożyły się do nich szczególnie figury z całego miasta: obdarci studenci, rzemieślnicy, jakiś dorożkarz... Każdy wychodził z paką książek, albo rękopisów. Parę razy widziałem u nich zecerów z naszego podwórka, umorusanych, prosto z roboty. Dziwiło mnie to strasznie.

Nikt, prócz ojca, nie cieszył się z tych gości. Nawet my, dzieci, choć czasem usiłowali bawić się z nami. Psuli ład całego domu. Pan Adam na ich widok chmurzył się jeszcze bardziej, zamykał w swojej klitce i nawet obiady kazał tam sobie nosić. Szczęście jeszcze, że zjawiali się rzadko i bawili niedługo: dzień, dwa, poczem wszystko wracało do normalnego stanu.

Do normalnego stanu. Dla nas, dzieci, do stanu absolutnego prawie szczęścia. Oczywiście, wpatrzeni byliśmy w ojca jak w tęczę. (Matkę przecież mieliśmy koło siebie ciągle, a ojciec niewiele mógł nam czasu poświęcić). Ojciec traktował nas niejednakowo: siostry psuł i rozpieszczał, a ja znów miałem swoje przywileje jako mężczyzna.

Pierwszy przywilej — był to przywilej brania w skórę. Według zasad ojca dziewczynek nie wolno było tknąć, a chłopca należało „prać“. Dostawałem też za różne zbrodnie wcale tęgie klapsy, ale pozostały one w mej pamięci raczej jako pieśczoła. Wyplakawszy się należycie, biegłem zaraz do siostr na nara- dy, jakby najlepiej wyzyskać swoją ekspia- cję. Bo po karze szła u nas nagroda, jak w ka- techizmie. W najbliższą niedzielę jechaliśmy dorożką do Łazienek (ja na koźle!), albo — o, najwyższa rozkoszy! — zabierał nas ojciec całą bandą za Mirowskie Koszary, gdzie popi- sywał się w cyrku atletyką pan Pytłasiński i gdzie widziałem raz żywego mandryła.

Drugi przywilej, ważniejszy, wynikał z ojcowskiej demokracji: wolno mi było scho- dzić na podwórze. Miałem tam od dziecka łączyć się z ludem. Łączyłem się z tym hała- śliwym ludem codzien i bardzo chętnie, ku szczerzej zazdrości siostr, które musiały cho- dzić na spacer z Melanką. Bez tej Melanki nie mogły nosa wytknąć. Matka wywojowała to przecie na ojcu, a ja sam przyczyniłem się do tego najwালniej, kiedy, wróciwszy jakoś raz z podwórza głodny i rozpromieniony, zaga- dnałem Maryskę - służącą prosto i po męsku:

— Kiedyz ten obiad, psiakrew, do cho- lery!

Matka załamała ręce z patosem, a i ojciec zawstydził się trochę. Dał mi klapsa i tłumaczył, że język ludu też oczyści się zczasem w miarę zwycięstw równości i oświaty. Lecz z podwórzem dla dziewcząt było skończone. Jeszcze energiczna Zośka wrywała się zrzad- ka przez kuchnię, ale Izabela „gniła“ już od- tąd w domu. Była to złota blondynka o nie- bieskich oczach, cicha i łagodna, kubek w ku- bek podobna do mojego Anioła Stróża z nad łózka.

Ja zaś spędzałem na podwórzu cały czas, latem i zimą. Matka machnęła na mnie ręką. Szorowała mnie co wieczór — zresztą łązi- łem brudny i zaszargany, jak inne dzieciaki. Dzięki stanowisku ojca w kamienicy miałbym nawet wśród nich pewien autorytet, ale cóż? byłem za mały. Jako zawzięty militarysta cha- dzałem dumnie w tekturowym hełmie i z sza- blą, ale cóż stąd? umiałem tylko godzinami maszerować wkółko i trąbić idjotycznie: tra, ta, ta! Uznano, że jestem głupi. Taki Felek od tokarza potrafił przejść na rękach pół po- dwórza, o ile go kto nie popchnął! Podziwia- łem go szczerze. A cóż tam Felek? Moim ide- ałem był wtedy Marjan, syn maglarki. Cho-

rował ciężko w dzieciństwie i poświęcono go Bogu: chodził więc w prawdziwym habicie bernardyńskim ze sznurem w pasie, a na nogach miał treпки. Walił nas po łbach temi trepami od rana do nocy. Jak się bardzo na kogo zawziął, to odpasywał sznura i bił sznurem. Był to największy siłacz i najgorszy łobuz w całym domu. Wyprowadzał nas nieraz przez furtkę na Leszno i walczyliśmy wtedy z obcymi ulicznikami. Mówiono o nim szepcąc, że ściąga Żydom pomarańcze w przechodnim domu na Żabią. Podziwiałem go bez zastrzeżeń. A i on miał do mnie słabość, bo dzieliłem się z nim cukierkami z deseru. Sznurem nie biął mnie nigdy i protegował w zabawach. Dzięki niemu dopuszczano mnie łaskawie do gry w „berka“, w „zbiłaka“, w „narodowości“ i w „kliwe“.

Któregoś jesiennego popołudnia o wczesnym zmroku bawiliśmy się w „czarnego luda“. Czarnym ludem był, oczywiście, maglarczyn Marjan. Rozstawiliśmy się szeregiem wzdłuż drukarni, a Marjan z drugiego końca, od bramy, krzyczał do nas straszliwym, grubym głosem:

- Boicie się czarnego luda!
- Beknęliśmy jak owce:
- Nie-e-e!!

Poczem puściliśmy się naprzeciw z okropnym męstwem i piskiem.

Wtedy właśnie otworzyła się furtka w bramie i na podwórze weszła policja i żandarmi. Ze dwudziestu chyba. Wpaliśmy na nich z rozpędu całym sznurem. Ja zaplątałem się w fałdy płaszcza tego właśnie policjanta, co chadzał na Elektoralnej po jezdni. Struchlałem. Zresztą pierzchliśmy zaraz jak wróble. Któż bo mógł się spodziewać tak „czarnego luda“?

Na widok żandarmów ze wszystkich okien rozległy się wezwania matczyne: „Felek! Marjan! Józka! Do domu“! Musieli iść. Tylko mnie nikt nie wołał. Wobec tego schowałem się w sieni w oficynie: ciekaw byłem, co będzie. Serce waliło mi jak młot. Obok mnie stanął stary szewczyzna z sutereny, a trząśł się też jak osika. Powtarzał jak litanję drgającymi wargami:

— Ziandary! Chyste Jezu! Ziandary!

Żandarmi wkroczyli do drukarni z brzękiem ostróg i siedzieli tam bardzo długo. Po podwórku przechadzał się policjant. Nie działało się właściwie nic. Chciałem już szmygnąć do domu pod ścianą, gdy z drukarni doszedł mnie nagle głuchy łomot jakby razów, czy walki i zaraz okropny krzyk ludzki. Zadrzę-

liśmy z szewcem. W chwilę potem dwu żandarmów wywlokło na podwórze skrwawionego człowieka. Jęli zlewać go wodą. Zęby szczękały mi teraz okropnie. Jezus Marjo! Poznałem. Toż to przecież nasz znajomy metrapaź!

Dałem szusa na górę, do naszej kuchni, ale i tu wpadłem na żandarma. Stałem jak wryty. I serce stanęło we mnie ze zgrozy. Jeśli żandarmi u nas, to pewnie i ojca będą bić, jak metrapaź. Rzuciłem się do gabinetu.

— Nie dam! nie dam!

Ale w gabinecie ojca nikt nie bił. Przeciwnie, żandarmi krzatali się bardzo grzecznie. Tylko wszystkie szuflady były porozwalaniane, a na podłodze leżał stos papierów i książek. Ponury pan Adam stał w kącie między żandarmami i perswadował nudnie, że jest tu tylko lokatorem i o niczem wiedzieć nie chce. Nie słuchał go nikt. Ojciec siedział na krześle blade ale uśmiechnięty i gładził rękę matki, która płakała cichutko. Gdym wbiegł, ojciec wziął mnie między kolana i przycisnął do piersi z całej siły. Aż oddech mi sparło.

Oficer wskazał teraz żandarmom na drzwi i zapytał uprzejmie:

— No, cóż, panowie? Będziemy się zabierać?

Pan Adam chrząknął ze złością, a i ojciec powstał zaraz. Matka krzyknęła dziko, a z dziecinnego wpadły z płaczem Melanka i dziewczynki. Podśluchiwały, widać. Ojciec podniósł mnie wgórę, ucałował, aż zabołało, i rzekł ostro:

— Pamiętaj, żeś mężczyzna! Nie becz!

Wtedy dopiero ryknąłem strasznym głosem.



## II. NAJBLIŻSZA RODZINA.

Okazało się, że z ojca był nietylko demokracją, ale i socjalistą. Założył wraz z innymi Polską Partję Socjalistyczną. Choć Moskwa nie dowiedziała się o tem nigdy, dano mu przecież w Cytadeli miejsce honorowe na zasadzie samych podejrzeń.

Ta klęska zbliżyła nas do rodziny. Pierwsze zjawyły się babki stryjeczne, babka Irena z babką Jadwigą, kanoniczką. Babka Jadwiga, osoba niewielka i pulchna, o niezmiennie dobrym humorze, wobec autorytetu starszej siostry blakła, jak tapeta w słońcu. Nie mogła nic pomóc, bo nie była bardzo zaradna. Najwięcej przesiadywała w dziecinnym, lepila z chlebowego miąższu prześliczne róże i opowiadała zabawne historie. Pokochaliśmy ją odrazu.

Zato babka Irena jakby matce z nieba spadła. Jej duże szare oczy patrzyły na świat władczo raczej, niż życzliwie. Wysoka, ubra-

na zawsze ciemno, piękna jeszcze mimo wieku, imponowała ludzkości na pierwszy rzut oka. *Grande dame*. Dom babki Ireny był kuźnią wszelkich machinacji patriotycznych od sześćdziesiątego chyba roku. Po powstaniu ujęła w białe dłonie opiekę nad więźniami: truchlała przed nią cała Cytadela, zarówno pupile, jak i ich dozorczy. Znała osobiście wszystkich prokuratorów i wszystkich sędziów, umiała trafić do namiestnika i do Petersburga. Ufna w przywileje swojej płci i wieku, rozwijała niewyczerpane zasoby uporu i energii: nawet dygnitarze bali się z nią zadzierać. Policmajstra Kleigelsa spostożowała kiedyś w jego własnym biurze.

Matkę potraktowała odrazu zgóry, per „moja droga“, i zajęła się ojcem gorliwie. Już po kilku dniach dostawał obiady z domu, a nie upłynęło i miesiąca, gdy jechaliśmy na pierwsze „widzenie“. Babka Irena, matka i ja. Boże, w jakimż ja byłem strachu! Toć Cytadela przyginała Warszawę jak zmora! Każde dziecko myślało o niej ze drżeniem! Uczono mnie od kołyski, że tu spalił się wraz z siennikiem Levittoux i że tutaj powiesili Traugutta! A oto wkraczałem w te czerwone mury, między żandarmów i więźniów, między sztyldwachów i armaty!

Z zabobonnym prawie podziwem dostrzegłem, że babka Irena czuje się w tej kaźni, jak w domu. Szeregowym żandarmom rozkazywała po polsku, a do oficerów w kancelarii mówiła po francusku, budząc w nich szacunek i zakłopotanie. Salutowali tylko służbiście.

A przecież gdym znalazł się w dziesiątym pawilonie w ciemnawej salce „widzeń“, pośród brzęczących ostróg, brzęczących kluczy i zgrzytających zamków, odwaga opuściła mnie kompletnie. Trzęsłem się nieco. Byłem jeszcze wogóle mały, ale teraz stałem się zupełnie malutki, tak się skuliłem na ławce. Zdaje się, że i matka dzieliła moje uczucia.

Babka Irena obejrzała nas ironicznie i, schyliwszy się do mego ucha, szepnęła sucho:

— Niema się czego bać. Siedzieli tu twoi dziadowie, teraz siedzi ojciec, a i ty będziesz siedział, jak dorosisz.

Ta surowa perspektywa nie podniosła mi serca narazie. Ale właśnie wprowadzono ojca. Matka wybuchnęła łzami, a babka zarumieniła się za nią ze wstydu.

Och, ta babka Irena! Nie powiem, żebym za nią wówczas przepadał. Nawet z ojcem rozmawiała oziębłe, bez żadnej serdeczności.

Dziś rozumiem, że dzieliła ich przepaść poglądów politycznych. Babka była „chłopomanką“ i niecierpiała socjalizmu, jako szwabskiego wymysłu. Obiecała przecież ojcu zająć się nieszczęsnym panem Adamem, którego również wsadzono do Cytadeli. Istotnie, przy jej pomocy, udało się po sześciu miesiącach przekonać żandarmów o jego w niebo bijącej niewinności. Unikał odtąd naszej rodziny jak zarazy.

Z tych wizyt w Cytadeli najgłębiej utkwiło w mej pamięci ciepło ojcowskiego ramienia. Ojciec nie mówił do mnie nic prawie, bo szkoda było każdej minuty. Zato, rozmawiając z matką czy babką, obejmował mnie ręką przez cały czas. Czuję jeszcze przy swojej jego wybladłą twarz o zapuszczonej w więzieniu brodzie. Kłula bardzo. Przymknąwszy oczy, rozmyślałem wtedy z pychą, że ojciec wzywa mnie częściej od dziewczynek (może chciał oszczędzić im wzruszeń?). Pod wpływem ciepła tego uścisku ginął mój strach. Jąłem godzić się z prorocstwem babki, że i ja będę siedział tu także. Niektórzy żandarmi już uśmiechali się do mnie.

Ojcem więc zaopiekowała się babka Irena. Naszą zaś sytuację materjalną ustaliła jako tako ciotka Genia, rodzona i jedyna sio-

stra ojca. Była to osoba zdumiewająca. Zjechawszy do nas z Lubelszczyzny z całym koszem wiejskich specjałów, siadła na niskiej sofie w gabinecie i spytała matki odrazu:

— No, moja Lodziu! Cóż myślisz teraz robić?

Matka otworzyła na nią prześliczne oczy z przestrachem. Toć nie wspomniała nawet o ojcu!

Ale ciotka nie lubiła czczych rozrzewnień.

— No tak, moje dziecko — rzekła — Michaś siedzi i tego nie zmienimy. Tymczasem trzeba sobie jakoś radzić.

Dziwna osoba! Mówiła do matki „moje dziecko“, a była tak drobna, że siadała zawsze na najniższych meblach, żeby dosięgać przecie stopami do ziemi. Twarz miała łagodną, ale między brwiami pionową zmarszczkę. Nigdy nie podnosiła głosu, a słuchali jej wszyscy: mąż, dzieci, służba i cała okolica. Z ust jej nie schodziły słowa: „trzeba jakoś radzić! trzeba coś zrobić!“ Coś zrobić — znaczyło: pracować. Była to praktyczna mrówka na usługi wszystkich koników polnych.

Dowiedziawszy się, że ojciec zostawił w biurku niecałe pięćset rubli oszczędności,

ciotka nie wyraziła o tem żadnego zdania. Rzekła znowu do matki:

— No, to trzeba pracować. Założymy magazyn kapeluszy. Pracowałaś przecież przed zamęściem?

Matka aż się zarumieniła z przykrości. Prawda, że robiła ongiś kapelusze, ale dziś była panią doktorową. Co innego za młodu, co innego teraz. Tłumaczyła z pewnym żarem, że nie wypada jej zostać znowu „panną od kapeluszy“, że wstyd jej znajomych i wstyd rodziny. Może już nawet nie potrafi tych kapeluszy robić?

Ciotka zwróciła uwagę tylko na ostatni argument.

— Potrafisz, nie bój się! Masz gust, ubierasz się dobrze i nie święci garnki lepią. A cóż innego wymyślimy?

Matka pochyliła głowę. Miała jeszcze nadzieję, że ojciec nie pozwoli. Ale ojciec pozwolił, bo był demokratą.

Teraz ciotka pokazała, co umie. W ciągu dwu dni wynajęła sklep na Senatorskiej z kiepskiem mieszkanikiem: mieliśmy się tam wprowadzić od kwartału. Sam chodziłem oglądać z matką wspaniały szyld z firmą „Leokadja“. W domu zapanował istny harmider, bo nagwałt szykowano towar na sezon.

Biurko ojca zawałono żurnalami, „panny” i „podręczne” snuły się po pokojach i kuchni, a maszyny do szycia trajkotały do późnej nocy. Ciotka biegła zaaferowana po sklepach i wyprzedazach, skupując zabezpiecen materjały i meble do magazynu. Gdy zabrakło ojcowskich pieniędzy, wydała własne trzysta rubli. Ale był ruch, były nawet ogłoszenia w „Kurjerze”. Wkrótce też zjawily się pierwsze klientki. Ciotka Genia promieniała.

— A widzisz, a widzisz, Lodziu! — mówiła z triumfem. — Byłe się ruszać! Byłe coś robić!

My, dzieci, zeszliliśmy wyraźnie na plan drugi. Odebrano nam nawet „dziecinny”, bo i ten poszedł na pracownię. Sypiałem teraz w klitce pana Adama. Dzieliłem ją właściwie potrosze z jedną z „panien”, piękną panną Heleną, która co drugi dzień miewała szalone migreny i kładła się u mnie „na godzinę”. Bardzo mi się to wszystko nie podobało. Ciotka Genia nawiozła cprawda masę konfitur, ale stosowała przy deserze system szatański: najgrzeczniejszemu—najwięcej. Oczywiście, że najwięcej dostawała zawsze Izabelka, bo nietylko podobna była do anioła, ale i charakter miała prawdziwie anielski. Niesposob było pobić tej konkurencji. Zgryziony schodzi-

łem na podwórze. Ale cóż stąd? Na podwórzu zmienilo się wszystko. Współlokatorzy bali się nas teraz, a sklepikarz odwracał się wprost na widok matki, czy Melanki. Lud zerwał z nami wszelkie konfidencje. Jeden jedyny szewc, który trząsł się wraz ze mną ze strachu wobec żandarmów, okazywał i teraz jednaką zacność. Zresztą rodzice zabronili dzieciom bawić się ze mną.

Nie rozumiałem z tego nic a nic. Parłem się do zabawy. Chodziłem przecie ciągle w kasku i przy szabli. Dopiero maglarczyń Marjan w bernardyńskim habicie otworzył mi kiedyś oczy. Odepchnął mnie z całej siły i wrzasnął surowo:

— Wynos się, szczeniaku! Twój ojciec siedzi w kryminale!

Oho! Wiedziałem dobrze, że Cytadela to nie kryminał! Wściekłem się i palnąłem go blaszaną szablą przez łeb. A on wziął mnie wtedy między nogi i bił bernardyńskim sznurkiem, póki się nie zmęczył. Sprął mnie na kwaśne jabłko. Gdym uciekał z bekiem do domu, maglarka wydziwiała jeszcze za mną na całe podwórze:

— Patrzcie go! Będzie się tu między dziećmi pchał! Doktorczuk, a matka szyje!

Tak się skończyła dla mnie ojcowska de-

mokracja na tem podwórzu! Ryczałem i w domu jak tur, bo bolało fizycznie i moralnie. Matka nie mogła się mną zająć, bo sama żyła w tej swojej pracowni jak w czadzie. Pocięszyła mnie ciotka. W miarę jakem opowiadał wszystko, łkając okropnie, jej pionowa zmarszczka między brwiami występowała coraz ostrzej. Zdumiałem się nawet. W oczach stanęły jej grube łzy. Rzekła zduszonym głosem:

— Masz lekcję, żebyś się nie bawił z byle łobuzem. A twój ojciec jest święty, żebyś wiedział!

Otarła łzy chustką, wcale się ich nie wstydząc, i dała mi masę konfitur. Jadłem te konfitury znacznie lepszej już myśli. Ciotka Genia pocieszyła mnie naprawdę. Bo i ja też myślałem, że mój ojciec jest święty.

### III. DZIADEK KWIETNIAK.

W tym czasie znalazłem nowe źródło radości w rodzinie Kwietniaków, najbliższej rodzinie matki. Bo moja matka była z domu Kwietniaczanka.

Któregoś południa zajądałem drugie śniadanie, słuchając rozmowy babki Ireny z matką i z ciotką Genią, gdy wszedł właśnie dziadek Kwietniak. Chłopisko naschwał, przystojne, o cerze schlastanej przez wichry i o długich siwych wiechach. Ubrany był z waszecia w grubą kurtę sukienną, na nogach miał długie buty, a na głowie kaszkiet-maciejówkę.

Rozejrzawszy się, dziadek mruknął najpierw — hm! — niezbyt uprzejmie, poczem dopiero zdjął czapkę i rzekł basem: „Pochwalony!“ W owem „pochwalony!“ zamiast zwykłego „dzień dobry“ brzmiało jakby pewne wyzwanie. Matka zaczerwieniła się jak piononja, całując wystawioną uroczystość dłoń

dziadkową. Babka Irena kiwnęła lekko głową, a ciotka Genia odrzekła spokojnie:

— Na wieki wieków.

Dziadek siadł przy stole z hałasem, aż krzesło jęknęło, i przystąpił odrazu do rzeczy:

— Ano, słyszałem, że twój siedzi, Łódźka! — mówił bardzo głośno, choć niby do matki tylko. — Ale nie martw się, kobieto, nic. Niejednego wpakowali, a wyszedł przecie zdrów i cały. Choćby, nie przymierzając, i mój ojciec, Ignacy Kwietniak, też siedział w Cytadeli, ledwie ją zdążyli wymurować. Tak samo był koniarz, jak i ja. Świetlejszemu księciu Paskiewiczowi konie sprzedawał i wszystkim generałom. A potem i do konnicy i do artylerji, całemi tabunami. Samo, rozumie się, paskudztwo, braki i zołzowate. Bo gdzieżby Moskałowi dobre konie dawał? Wiadomo — patrjota.

Zapadło znowu surowe milczenie. Matka zarumieniła się powtórnie.

— A i ja siedziałem — ciągnął dziadek niewzruszenie. — W sześćdziesiątym pierwszym roku, jak to naród nic, tylko się modlił i pieśni po kościołach śpiewał. Tego dnia Kościuszkęśmy obchodzili, czy kogoś takiego. Poszedłem i ja do Fary. Modlimy się ano, pła-

czemy, a tu ci Moskał kościół obstawił cichcem. Tośmy się wtedy namodlili! Całą okrągłą dobę! Głód, pić się chce, dzieciaki beczą... Jeszczem twoją matkę, Łódźka, poznał wtedy i wodą święconą z chrzcielnicy poił. Aż sprzykrzyło się kapuśniakom i do kościoła wleźli. My, chłopcy, z świecznikami na nich, ale gdzie! Poszturchali nas tylko i do Cytadeli, marsz! Dobrze, do Cytadeli, to do Cytadeli! Całą drogę śpiewaliśmy im pieśni narodowe, co najgorsze, to samo i w Cytadeli, bez ustaniku. Na złość. No i cóż? Po trzech dniach puścili wszystkich. Bo i co mieli z nami robić?

Musiało być w tem coś prawdy, ale i teraz nie rzekł nikt słowa.

Dziadek Kwietniak chrząknął, zachmurzył się i zwrócił złośliwie wprost do babki Ireny:

— Łaskawa pani powinna przecie te rzeczy pamiętać...

Babka Irena odparła tę aluzję do swego wieku tylko okropnie wzgardliwym przymrużeniem powiek. Nie odpowiedziała nic. Teraz dziadek Kwietniak wściekł się wyraźnie i przeszedł do ataku. Rozwalony na krześle, zatoczył szeroko ręką po pokoju, po żurnalach i rozrzuconych łaskach.

— Owa! Toś ty, Lodzka, widzę, znowu na krawieczynę zesła? — szydził. — Z doktorem na szwaczuchnę! I warto ci to było za uczonego wychodzić? Choć dla takiego doktora, pożał się Boże, to mój hrabia w kredensie nakrywać kazał. No, ale zawsze, doktor, doktor, uczony, pan, rozumiem, Lodzka, nie bój się nic! Pan, nie nam, hołocie, równy. Ale u nas, chamów, żona ma zawsze co do gęby włożyć i nad ściegami oczów nie gubi!

Ciotka Genia aż się zaperzyła na te drwiny. Wargi jej drżały, choć spytała bez widocznego gniewu:

— A cóż to panu szkodzi, że Lodzia się bierze do uczciwej pracy?

— Uczciwej pracy! — huknął dziadek w stół pięścią. — Szwaczkęście z niej zrobili i kwita! Nie natom dawał córkę za doktora, żeby mi szyła. Wstyd i hańba!

— A przecie szyła i u pana za panińskich czasów.

— Musiała wtedy, bo mi w interesach nie szło! A teraz nie musi. Co tu gadać! Wzięliście mi córkę, przerobili na swoją, a teraz rzucacie znowu na biedę! Na wasze pańskie dziady!

broduszości i niezmaconym spokoju duszy. Otarłszy pulchną dłoń fartuchem, podstawiła mi ją do pocałunku i rzekła:

— Jak się masz, dziecko! —

z taką równowagą, jakby mnie widywała codziennie. Zaraz też wróciła do fajerek i rondli. Była to najszczęśliwsza w tym domu osoba. Wpatrzona w dziadka, jak w obraz, żyła w miłości i strachu. Nie próbowała nawet łagodzić jego straszliwych uniesień, ani wpływać na losy własnych dzieci. W razie radości, czy klęski płakała grubemi łzami.

Świetnie pamiętam całą tę niedzielę! Obiad jedliśmy przy ogromnym, na kozłach ustawionym stole, w święta bowiem obiadała wspólnie z rodziną kawalerska czeladź dorożkarska, dobrze już wyspana po nocnym wyjeździe. Dziadek królował, rozumie się, w fotelu przed czyściutkim obrusem (resztę blatu kryła zwykła serweta ceratowa w kwiatki). Wszystko odbywało się patryjarcalnie i uroczyście. Najpierw dziadek odmawiał głośno modlitwę, poczem pił duży kielich wódki (ale tylko jeden) i wręczał karafkę wdowcowi-Maciejowi, co powoził dwukonką. Przy zupie, popieranej wielkimi pajdami chleba, panowało milczenie. Osuszy-

wszy dopiero białe wiechy wąsów, dziadek rozpoczynał z Maciejem łaskawą konwersację. Tylko z Maciejem, jako z najstarszym. Mówiono o szkapach, o jarmarkach, o ludziach i sprawach, związanych z końskim fachem. Podobała mi się niesłychanie jakaś świetna historia o cyganach - koniokradach. Ku uciesze dziadka Maciej kłął i wydziwiał obrzydliwie „jaśnie panów“, swoich nocnych klientów. Oceniano z ironją znane w mieście cugi arystokratyczne. Młodzież nie miała tu prawa głosu: odpowiadała tylko na zapytania. Nawet najstarszy syn dziadkowy, trzydziestoletni już Antoni, milczał cały czas z posępną zaciętością; drugi kuzyn, szesnastoletni Wicek, nie śmiał, zdaje się, oczu podnieść na ojca. Milczały i kobiety. Zdumiało mnie, że i matka, która nieraz przecie potrafiła ojcu okoniem stanąć, przy dziadku siedziała cicho, jak mysz w kościele. Zresztą wszyscy jedli dość łapczywie. A było co zjeść! Podano niewykwintnie, lecz smacznie i obficie: na półmiskach piętrzyły się góry mięsiwa i jarzyn. Podobnej pieczeni wołowej nie jadałem już potem nigdy! Babcia Pelcia wybiegała truchcikiem dopilnować kucharującej dziewczki: za każdym powrotem twarz jej miała wyraz błogiego triumfu. Ja siedziałem obok star-

szej ode mnie o parę lat ułomnej „ciotki“ Józki i opychałem się znakomicie.

O tak! Obiad był na Ogrodowej wyśmienity, a zabawa jeszcze lepsza! Dziadek zajmował sam na swe przedsiębiorstwo ogromną, parkanem od ulicy odciętą, a wokół po trzech bokach wszelkim budynkiem gospodarskim obstawioną posesję. Miałaś tu stajnię i wozownię, szopy i sienniki, podręczną kuźnię i obórkę, nawet kurniki i chlewik. Wszystko to było odwieczne, drewniane, niskie i obszerne, jak i sam dworek mieszkalny, pamiętający z pewnością elekcję króla Michała. Za dworkiem krył się niewielki, napół zdziczały sadzik.

Mieliśmy na czem gospodarować z garbatą Józką! Zaraz pierwszego dnia zwiedziłem z nią wszystkie zakamarki i strychy, wlałem na wszystkie drzewa i na wszystkie dachy, na które wleźć się dało. Mała ciotka Józka, mimo swego kalectwa, zręczna była jak wiewiórka, a odważna jak chłopak. Żle mówię! po stokroć od zwykłego chłopca odważniejsza, wprost zuchwała! Nie czuła strachu nawet przed pół-krwi ogierem Porthosem! Krzyczała nań ostrym głosikiem: „Nastąp się!“ i waliła po kłębach drobną piąstką, choć ogier tańczył w boksie niespokojnie, tulił

uszy i wodził po niej krwawem okiem, jak smok. Srogi łańcuchowy Burek na sam jej widok cofał się z podkulonym ogonem pośpiesznie i z budy dopiero szczerzył na mnie z rykiem ogromne zębiska. Dzielny był garbus z tej Józki!

Jako starsza, Józka wzięła mnie odrazu pod swoją władzę. Prowadzała poprostu za rękę, jak smarkacza. Wyrwałem się z początku oburzony, żeć to dziewczynka i ułomna w dodatku, alem uległ szybko. Jej odwaga i energia przejęły mnie cichym podziwem. Moje małe serce wyczuło też natychmiast, że wcale nie chciała urazić mej chłopczyńskiej pychy: nie, zwyczajnie opiekowała się mną jako osoba dojrzała i wyrobiona. Bała się o mnie.

Wyszło to na jaw szczególnie podczas lekcji konnej jazdy, której dziadek udzielił mi z właściwą mu brutalnością. Ledwiem wdrapał się na wałacha, wybladły i drżący, dziadek chlasnął go batem po zadzie. Matka krzyknęła. O małym nie fiknął odrazu, ale chwyciłem się przecież za grzywę obu garściami, i z jedną tylko nogą na siodle klusowałem w przestrzeń beznadziejnie. Boże, co się wtedy ze mną działo! Zorjentowałem się jednak po chwili, że coś powstrzymuje mnie

od upadku. To Józka, zacna Józka, klusowała razem z moim rumakiem, ciągnąc mnie z całej siły za ową nieszczęsną nogę. Słyszałem już jej zdenerwowane pokrzyki:

— Popraw się, Michał! Wciągnij się — tak! Kolana ściskaj! Łap lejce jedną ręką! Puść grzywę! Łap lejce! I ciągnij, ciągnij, to stanie!!

Poprawiłem się na siodle, złapałem lejce, nie puszczając grzywy, i jałem ciągnąć. O dziwo! Pocziwy wałach stanął, i bardzo nawet chętnie. Odetchnąłem ciężko i widziałem dziadka, jak pękał ze śmiechu i tłukł się po kolanach, patrząc na matkę ze złośliwą radością.

Dalszą naukę objęła już sama Józka. Ująwszy konia przy pysku, prowadziła mnie stępa i truchta, i klusika, nie szczędząc zbytecznych uwag. Jakąż czułem dla niej wdzięczność, a wogóle pychę! Po kwadransie zdawało mi się, że umiem już jeździć. Gdym zląził, byłem dumny jak lew. A Józka znowu wzięła mnie za rękę i pogładziła ją leciutko.

Oczywista, bywałem odtąd na Ogrodowej codzien. Pomyśleć tylko, że w tym domu był nawet gołębnik! Stanowił on dumę i jeżyne prawie zajęcie wujaszka Wicka. Dryblas Wicek wydawał się trochę głupawy, ale

na gołębiach znał się doskonale: kochał się w nich jak dziadek w koniach. Miał tego ptactwa ze czterdzieści sztuk, najprzeróżniejszych i prześlicznych. Karmiliśmy je wspólnie grochem i Wicek prezentował nam ciekawsze okazy, jak profesor celniejszych uczniów: były tam gołębie stralsundzkie, były fajfry koroniaste, co potrafiły dawać kozły w powietrzu, były nadęte grzywacze, były i malutkie murzynki o czarnych łebkach, co umiały „zaganiać“, jak żadne. Skakało to bractwo wokół nas na sinych nóżkach, siadało na ramionach, gruchało, a żarło wprost z ręki i z ust. A dopiero, gdy nad wieczorem, wlaższy na dach sąsiedniej dwupiętrowki, jęliśmy ganiać całą chmurę wiechetkiem na długim kij, wkółko, i znowu wkółko, i coraz wyżej — cóż to za cudny był widok! Już na wszystkich dachach w okolicy sterczały postacie z kijami i coraz to nowe chmury strzelały w powietrze jak salwy. Przy zachodzącym słońcu łyssało to na tle każdej chmurki jak srebro i jak anielskie skrzydła. Aż oto z gąszcza odrywał się któryś z naszych murzynków, odcinał drogę cudzym, zbłąkanym w błękitnym eterze głuptasom i „zaganiał“ je do naszej chmury jak swoje. Srogi wrzask zrywał się wtedy na wszystkich dachach. I my

wymachiwaliśmy kijem groźnie w odpowiedzi, a tupaliśmy z radości w blachę tak hałaśliwie, że i na parterze chyba nas było słychać! Niema jak nasze murzynki!

Dużo nauczyłem się tego lata. Umiałem już trochę jeździć konno, potrafiłem pomóc przy zaprzęganu i przestałem lękać się koni, krów i nawet Burka. Bałem się tylko dziadka Kwietniaka, no ale dziadka bał się cały dom; wisiał nad nim jak gradowa chmura. Był to tyran i to tyran kapryśny. Niewiedzieć było czego się z nim trzymać; wszystko zależało od chwilki i humoru. Uch, nieznośny człowiek! Myślałem wtedy, że własne dzieci nienawidzą go serdecznie — dużo upłynęło wody, nimem się dowiedział, że w najbliższej rodzinie można niecierpieć kogoś całe życie, a kochać przecież głęboko. Jednak wszyscy oddychali swobodniej, gdy dziadek wyjeżdżał z podwórza na koński targ, na Pragę i dalej.

Jakoś we wrześniu wybrał się właśnie na łowicki jarmark. Wiele musiał sobie po nim obiecywać, bo wziął ze sobą wszystkie szkapę co lepsze, ogiera-perłę Porthosa, i zausznika-Macieja. Miał bawić w tym Łowiczu coś tydzień: wyjazd odbył się bardzo uroczy-

ście. Zagrzały wreszcie kopyta po bruku — ruszyli. Szczęść Boże!

Odrazu poweselał cały dom. Posępny i solidny wuj Antoni, wykwalifikowany już tokarz w fabryce Rudzkiego, teraz dopiero zawiadomił matkę, że zakłada własny dom zaraz po Nowym Roku. Że się żeni. Babka Pelcia zalała się łzami ze strachu przed nieobecnym mężem. Musiała przecież wyprawić zrękowiny. Wieczorem przyszli rodzice narzeczonej, ogromnie sztywni ogrodnicy z Woli, i moja matka z dziewczynkami. Matka dęła się straszliwie i goście tytułowali ją „panią doktorową“ z wielkim szacunkiem. Myśmy przejedli się kremem, a dorożkarze popili się prawie wszyscy i strzelali z batów. Było zabawnie.

Ale najzabawniejsze były latawce, które nam sklecił wujaszek Wicek. Puszczaliśmy je z Józką całymi dniami, z ambicją, czyj wyżej? Właściwie wujaszek Wicek miał pilnować obroków, lecz nie miał na to czasu. Prostu oddawał klucz i dorożkarze brali sami. Wicek latał po mieście i kupował gołębie, co szło bardzo opornie, bo pieniędzy miał niewiele. Kupił wreszcie parkę młodziutkich „pawików“ i naszał się z nimi ciągle. Gładził je po łebkach i opowiadał nam z czulo-

ścią w głosie, że gdy podrosną trochę, będą rozkładały ogony, jak prawdziwe pawie. Byliśmy wzruszeni i szczęśliwi.

Niestety, dziadek Kwietniak miał bawić w Łowiczu do tygodnia, a wrócił już na czwarty dzień. Mimo naszych szczerych życzeń Pan Bóg nie poszczęścił mu, widać, w tej wyprawie. Stałem właśnie na dachu stajni, wpatrzony w niebo, ze sznurem od latawca w ręce, gdy rozległ się jego srogi wrzask jak grzmot:

— Brama!!

Wszyscy rzucili się do bramy na złamanie karku. Nawet babcia Pelcia. Dziadek wjechał ponuro z Maciejem, ze wszystkimi końmi i z ogierem Porthosem. Nie sprzedał nic. Na środku podwórza, nim zlął jeszcze, zawiadomił już babcię Pelcię surowo, że „ta szlachta, psiakrew, zepsiała na parch!“ i że „nikt się dzisiaj, cholera, na szkapach nie zna!“

Zaczem poszedł do kuchni przegryźć coś z drogi, a kłął pod siwym wąsem złowrogo. Źle. Przeczuwając coś niedobrego, zląłem z dachu i jąłem śpiesznie nawijać sznur na patyk, żeby ściągnąć przecie swego latawca przed burzą. Nie zdążyłem. Bo oto z domu rozległy się basowe wrzaski i zaraz wypadł

stamtąd dziadek, czerwony z gniewu, a za nim babcia Pelcia, załamując ręce. Musiała wygadać się już, nieboga, o nieszczęsnych zaręczynach!

Dziadek stanął na środku podwórza i wodził po nas chwilę oczyma, jakby szukając ofiary. Skurczyliśmy się wszyscy mimowoli. Wybrał głupawego Wicka.

— Obroki! — ryknął — Wicek! Klucz mi dawaj!

Przerażone chłopczysko, tuląc za pazuchą swoje pawiki, podało klucz zdaleka i ostrożnie. Dziadek wyrwał go, nie wziął, i wbiegł na stryzek z owsem, jak młody. Kopnąwszy drzwi nogą, zajrzał ledwie do wnętrza i znowu był na dziedzińcu. Staliśmy jak skamieniały.

Dziadek podszedł do Wicka, a mówił z wściekłości prawie cicho:

— Toś ty obroki wydawał, łotrze?! Ileś worków wydał, co?!

— Nie wiem.

— A kto ma wiedzieć, jak nie ty, gałganie?! Kto?!

— Nie wiem.

Nagle dziadek szarpnął Wicka za kurtkę, aż się guziki rozprysły, i zaraz miał oba pawiki w straszliwych rękach. Chwilkę trzymał

je w garści przed oczyma Wicka, jakby mu się z nimi żegnać kazał, poczem oberwał ptaszynom łebki dwoma szybkimi ruchami.

— Masz! Masz! — gadał zdławionym basem. — Masz, ptaszki, gołębiarzu!

I kopnął jeszcze trzepoczące się na bruku trupki.

Wicek zbladł na opłatek, a z oczu spłynęły mu formalnie strugi łez. Krzyknął tylko żalonym, mutującym głosem:

— Co też tata najlepszego! Co też tata!!

Wtedy dziadek, na oczach wszystkich, wyrzucił go dwa razy w twarz z całej siły. Dwa razy. Po razie, widać, za każdego ptaszka. Chłopak upadł na ziemię jak worek, a z nosa chlusnęła mu krew.

Babka Pelcia wrzasnęła dziko. Garbata Józka podniosła do góry obie zaciśnięte pięści. Ja trząsałem się jak w febrze — ledwie mogłem oddychać ze zgrozy. Dziadek zaś, jakby mu jeszcze było mało, ryknął znowu, tym razem wprost do mnie:

— A ty czego się tu włóczysz, szczeniaku?! Precz!!

Nie kazałem sobie tego powtarzać! Ciśniętym nawiniętym sznur od latawca na ziemię i szmygnąłem za furtkę jak stałem, nawet bez kapelusza. Niech tam! Byle prędzej z tego do-

mu, jak z ognia! Biegłem po ulicy, nie dbając o przechodniów, ani o policjanta! Serce dusiła mi zhora! Uderzyć w twarz, w twarz, kiedy ojciec pouczał mnie zawsze, że dostać w twarz to hańba! Mordować takie śliczne ptaszęta, jak rzeźnik! Choćby nawet Wicek nie dopilnował obroków, choćby sto razy nie dopilnował. Uch, ten dziadek Kwietniak! Z ulgą przypomniałem sobie zdanie ojca o dziadku Kwietniaku: „Cham“. Ma ojciec rację! Zawsze mój ojciec ma rację! Cham z dziadka Kwietniaka. „Cham! cham!“ — powtarzałem sobie z satysfakcją, biegnąc wśród tłumu. „Cham! Nigdy już tam nie pójde!“

## V. *NOWE MIASTO.*

Gdym opowiadał w domu czynny dziadka Kwietniaka z wielkim zacierzewieniem, matka westchnęła tylko ciężko i bez słowa. Nie gniewała się nawet o zostawiony kapelus. Powieki miała zaczerwienione od płaczu. Kiedym próbował nalegać na te wypadki, dziewczynki jęły dawać mi rozpaczliwe znaki, abym przestał.

Okazało się, iż przed chwilą wyszła od nas babka Irena. Przyniosła wiadomość, iż śledztwo w Cytadeli skończyło się wreszcie. Moskale nie zdołali ojcu nic dowieść, ale dla świętego spokoju wysyłali go na dwa lata do Carycyna „w drodze administracyjnej“. Babka Irena bardzo była podobno z takiego obrotu rzeczy kontenta i wzięła to za osobisty triumf; nazwała matkę „beksą“, ale matka i tak płakała cały wieczór. My nie wiedzieliśmy dobrze, co o tem wszystkim myśleć.

Czy to dobrze, czy źle? Siostry-pensjonary (bo chodziły już do pani Sikorskiej) rozłożyły na stole atlas szkolny i bezskutecznie szukaliśmy w pocie czoła owego Carycyna na Syberji przez długą godzinę; znalazł się wreszcie trafem w Rosji Europejskiej nad Wołgą, na samym dole mapy.

A nazajutrz znowu zaczęła się procesja rodziny, przyjaciół i kolegów ojca. Babka Jadwiga, kanoniczka, zasiadła u nas na stałe, poszła depesza i po ciotkę Genię. Znoszono też nam prezenty dla wygnańca: drobiazgi od znajomych, cenniejsze rzeczy od rodziny. Babka Irena przysłała wspaniałe futro na elkach, zastrzegając w dodanym bileciku, iż dar pochodzi nie od niej, lecz od kogoś z rodziny, kto prosił o dyskrecję. Futro wzbudziło podziw. Zastanowiło nawet ojca, który całą zimę biegał po wizytach w jesiennym haweloku. Na nas, dzieciach, tajemniczość tej sprawy wywarła ogromne wrażenie. Odmawialiśmy wiary domysłom ciotki Geni, że futro z pewnością przysłała babka Izabela, matka ojca, którą ojciec dotknął swem małżeństwem tak boleśnie, że znać nas od tej pory nie chciała wcale. No i cóż? Nie wierzyliśmy nawet w babkę Izabelę. Babka Izabela była co prawda dla nas dosyć tajemnicza, nie wi-

dzieliśmy jej bowiem nigdy — ale i to nie wystarczało naszej fantazji. I to było za proste.

O pieniądzach dla ojca pomyślała ciotka Genia i rodzony dziad nasz, Józef Kęcki.

Dziadek Kęcki był emerytowanym radcą b. Komisji Skarbu. Wysoki, szczupły, o pięknych srebrnych włosach i niewielkim wąsiku na niestarej twarzy, dziadek ubierał się bardzo starannie i ze smakiem. Biła odeń wytworna czystość. Nosił wykwintną bieliznę i stale chadzał w cylindrze. Pamiętam, że miał niezwykle białą dłoń i długie palce, a na jednym z nich ogromny sygnet krwawnikowy. Mówił bardzo mało i głośno nie śmiał się nigdy. Nie okazywał ojcu za ożenek żadnych pretensyj: był ponoć i na ślubie. Ale przychodził do nas bardzo rzadko. Czytywał wtedy ojcu wyjątki z „Dziejów Komisji Skarbowej b. Królestwa Polskiego“, dzieła, nad którem pracował całe życie. Często wspominał o margrabi Wielopolskim. Utkwiło mi to w pamięci, gdyż sam wyraz „margrabia“ budził we mnie zachwyt. Margrabia Wielopolski! Margrabia! Dumny ten tytuł pachniał mi zbroją i mieczem. Dziwiło mnie, że ojciec protestował zawsze gorąco. Na pożegnanie ojciec schylał się do dziadkowego ramienia,

a dziadek całował ojca w głowę. Wydawało mi się, jakby udawali w tych pocałunkach coś, czego naprawdę nie było.

I teraz nie okazał dziadek żadnego rozrewnienia. Przemówił do matki i do ciotki Geni po kilka zdań ze zwykłą mu uprzejmą powagą, poczem, usunąwszy niedbale ręką pliki żurnali, położył na stole paczkę pieniędzy. Banknoty były czyściutkie, jak i sam dziadek. Matka zarumieniła się do łez, jakby przed obcym. Ciotka Genia przywołała nas, dzieci, cośmy przyglądali się dziadkowi z ciekawością. Poglądził nas kolejno po włosach, a mnie przyjrzał się nieco uważniej.

— Duży już chłopiec — rzekł do matki. — Bardzo ładny. Do pani podobny.

I nic więcej. Bawił wogóle z kwadrans. Odchodząc, ucałował ręce obu pań z galanterją.

Nadszedł też dzień wyjazdu ojca. Myślałem, że pojedziemy znowu do Cytadeli i że ujrzę tam długi szereg skazańców, przed którymi konno będą się uwijali kozacy, jak na obrazie Grottgera. Nic podobnego! Ruszyliśmy wieczorem wprost na kolej Terespolską, gdzie nieco poza dworcem na torze stał już przygotowany wagon trzeciej klasy. Zwyczajny wagon, nawet bez krat w oknach! Wy-

znam, że byłem trochę rozczarowany. Spora gromada wygnańców wyglądała też zupełnie zwyczajnie, a nawet dosyć wesoło. Konwojujący żandarmi oddzielili nas tylko sznurem od dworca, zresztą zdawali się przyglądać temu pożegnaniu z życzliwym zadowoleniem. Osób było mnóstwo, cały tłumek, i nikt nie zwracał na nikogo uwagi. Ojciec, blady i zaróżniony, ale w pięknym futrze i strasznie wesoły, ciągle całował nas i matkę. Matkę przede wszystkim. Gdy próbowała płakać, oburzył się szczerze. Bo i cóż sobie Łódźka myśli?! Jest przecie na wolności i jak się tylko urządzi w tym Caryynie, zaraz zaprosi ją do siebie; musi przyjechać z wizytą. Matka tuliła się doń na to jeszcze mocniej. A ojciec całował znowu i matkę, i nas, i ciotkę Genię, i babkę Irenę z babką Jadwigą, i dziadka Józefa w ramię, jak zawsze. Jakiś nieznajomy pan odkorkował butelkę wina i wygnańcy pili strzemiennego ze śmiechem. Ja trzymałem ojca za rękę cały czas, ale najbardziej zajmowała mnie manewrująca lokomotywa: podobna była do smoka o błyszczących oczach i trochę się jej bałem. „Siadać, panowie, siadać!“ — krzyknęli żandarmi. Ojciec wycałował mnie po raz ostatni, trysnęły łzy, rozległ się żelazny chrzęst, loko-

motywa oblała wszystko straszliwym blaskiem i wagon potoczył się zwolna ku stacji, do moskiewskiego pociągu. Rzuciliśmy się za nim, ale żandarmi stanęli teraz murem przeciw tłumowi. Oстрыm rosyjskim wrzaskiem, a i naporem ciała skierowali nas ku bocznemu wyjściu. Z tłumy i z wagonu powiały białe chmary chustek.

W tej chwili dziadek Kęcki rzekł szepem kilka słów do ciotki Geni i wskazał w bok dłonią. Ciotka Genia pociągnęła mnie za rękę w tę stronę. Rzekła mi jeszcze surowo:

— Tam czeka twoja babka. Pocałuj w rękę!

Domyśliłem się odrazu. Tajemnicza babka Izabela! Rzeczywiście, w ocienionem załamaniu murów stały tu dwie panie, z których starsza i niższa wyraźnie dusiła się od łkań. Stały tak, że mogły być świadkami całego pożegnania, same nie będąc widziane. Najwidoczniej babka płakała z tęsknoty do ojca, a nie przebaczyła mu przecież. To też nie czułem dla niej żadnego współczucia. Wzdrygnąłem się nawet niechętnie, gdy dotknęła mi policzka mokremi od łez wargami. A ona stwierdziła surowym i dziwnie grubym jak na kobietę głosem:

— To ten chłopiec? — Zdaje się, że się mnie boi. Nic do Michasia niepodobny.

I dodała zupełnie już rozkazująco:

— Przeprowadź go do mnie jutro w południe. Koniecznie. A teraz idźcie!

Naburduczyłem się jeszcze bardziej. Dlaczego mi gada, że nie jestem do ojca podobny? I z jakiej racji ma mi rozkazywać? Właśnie, że do niej nie pójdę. „Taka tam babka!“ — mruczałem na ciotczyne reprimendy. Ciotka Genia zaś perswadowała mi długo w dorożce, że babka Izabela kocha nas wszystkich, tylko jest strasznie uparta i przez to bardzo nieszczęśliwa. „A jakże! Kocha!“ — myślałem sceptycznie. Ale dowiedziałem się przy okazji, że babka jest z domu jakaś hrabianka z Galicji. To zainteresowało mnie trochę, bo dotychczas nie widywałem hrabiów nigdy. Dowiedziałem się też, że wyszła za dziadka wbrew woli bliskich, że niewiele zażnała z nim szczęścia i że małżeństwo ojca było rozwianiem jakichś jej ambitnych marzeń. Padły wyrazy: mezaljans, arystokracja. Dla mnie, chłopca z Elektoralnej, były to wyrazy z książki, wyrazy nieżywe. Zdecydowałem w sobie krótko, że babka jest po prostu uparta i zła, choć i hrabianka.

Mimo to, byliśmy, oczywista, nazajutrz

na Nowem Mieście, gdzie babka miała dwie własne przyległe kamieniczki. Kupiła je za wyprocesowany od rodziny posag, żeby, nawet i w mieście, mieszkać przecież „u siebie“. Mieszkała też u siebie i po pańsku, równocześnie w obu domach, bo na pierwszym piętrze kazała przebić ścianę, co dało apartament iście wspaniały. A przecież ta wspañiałość przechowała się w mej pamięci raczej jako ponurość. Wszystko tam było ciężkie, ciemne i stare: meble, dywany, portjery i ludzie.

Stary lokaj przyjął nas uroczystem — „Pani hrabina oczekuje“ — i prowadził przez trzy mroczne salony. Babkę zastaliśmy w najmniejszym, gdzie na kominku płonął suty ogień. Grzała się przy nim właśnie, siedząc z boku nie na fotelu, lecz na miękkim stołeczku-podnóżku. Taki miała zwyczaj. Witła nas bez widocznego wzruszenia, ale zaprowadziła zaraz do pokoju, w którym ongiś mieszkał mój ojciec. Zatoczyła po nim ręką ruchem patetycznym i rzekła do ciotki Geni:

— Tu mieszkał Michaś. Pamiętasz? Wszystko stoi, jak stało.

Otworzyła jeszcze drzwi szafy, gdzie wisiały stare ubranka dziecinne i mundurki uczniowskie. Oczy zaszyły jej łzami: łzy mia-

ła łatwe, choć serce twarde, jak to bywa dość często. Strząsnęła je zresztą natychmiast i kazała lokajowi wynieść dla mnie do saloniku konia na biegunach i parę książek z obrazkami. Sama siadła znowu przed ogniem na swoim stołeczku, rozmawiając z córką grubym szeptem.

Zacząłem się bawić. Koń był przepiękny, bom nigdy takiego nie miał. Wyobraziłem też sobie zaraz, że nikt inny przecie, tylko sam książę Józef, i biłem wrogą z właścicielką mu odwagą. Niestety, wznosiłem przytem jakieś wojenne okrzyki. Kazano mi być cicho. Zlazłem tedy z przesłicznego konia i wzięłem się pochmurnie do książek z obrazkami.

Stała się wtedy rzecz — w mojem zrozmieniu — dziwna.

Do gabinetu zajrzał dziadek Józef i, zobaczywszy córkę, podszedł się z nią przywitać. Cóż nad to proszczego! A oto babka Izabela, poznając go, widać, po samym dźwięku kraków, obróciła się doń tyłem wraz z całym stołeczkiem: ujęła swój podnóżek obu rękami i, uczyniwszy zabawne pół obrotu, rozsiadła się szeroko twarzą do ognia, a do dziadka tyłem. Było to bardzo obraźliwe

i bardzo śmieszne. Otworzyłem szeroko oczy. Ciotka Genia wzruszyła ramionami.

— Zawsze wojna? — spytała ojca. — Nie rozmawiacie państwo i teraz?

— Pisujemy do siebie — uśmiechnął się sucho i ironicznie. — Choć nie są to listy miłosne.

Babka Izabela chrząknęła gniewnie, a i dziadek wyszedł zaraz. Bardzo mnie to zastanowiło. Uważałem odtąd pilnie na wszystko, co się w tym domu dzieje.

Kazano mi bowiem bywać tam co tydzień: ciotka Genia wymogła to na matce. Wymówiłem sobie tylko niedziele, bo wtedy szkoda mi było czasu na babkę. Co czwartek tedy przychodził po mnie stary lokaj Mikołaj i zabierał na nudy do „pani hrabiny“.

Nudziłem się tam tego. Jediną atrakcją były ciastka na podwieczorek i owe książki z obrazkami. Książki były wspaniałe: „Histoire des conquistadeurs“, „General Dourakine“, „Sans famille“, „David Copperfield“, wszystkie bogato oprawne, z wyłaczanemi złoceniami. Każda nosiła na przed tytule dziecinnie pedantyczny podpis ojca: „Michał Kęcki, uczeń kl. III-ej“. Obrazków miały mnóstwo. Ale cóż z tego? Nie znałem francu-

szczyzny, nie umiałem nawet przeczytać objaśnień pod temi obrazkami.

Przewracając więc kartki po raz setny, z rozpaczy słuchałem rozmów babki z paniami, które przychodziły ją odwiedzać. Były to damy starsze o pięknych nazwiskach, ale wyraźnie podupadłe. Mówiono przeważnie po francusku, ale z urywków polszczyzny domyśliłem się przecież, iż chodziło o zwykłe ploty i że obracały się one z monotonią wokół stale nieobecnego dziadka.

— Mikołaj widział tę nową przedwczoraj — wzdychała babka grubym szeptem. — I cóż? Małe to podobno, czarniawe, chuchro, pozał się Boże!

Jako chłopiec gruntownie już uświadomiony przez swych obdartych kolegów, zrozumiałem odrazu, że dziadek Józef prowadzi życie „nieporządne“, takie, jak nasz zegarmistrz z nowego podwórza na Senatorskiej; że spędza, widać, całe wieczory z jakąś tam panią i jej właśnie, a nie żonie, oddaje wszystkie pieniądze. Ho! ho! z mieszkania zegarmistrzów słycać było nieraz przez otwarte okna takie awantury, że nawet stróż Piotr kiwał głową z podziwem. Tak. To rozumiałem. Nie rozumiałem tylko, jak wielką rolę grają te sprawy w życiu kobiet. Wogóle zaś

nudziło mnie to okropnie. Tak nudziło, iż ziewałem i ziewałem, ziewałem jak krokodyl, ziewałem aż do wywichnięcia szczęk.

Wreszcie i babka spostrzegła to ze zgorzeniem. Pytała, czemu nie czytam.

— Bo nic nie rozumiem — burknąłem niechętnie.

Babka patrzyła na mnie chwilę w rzetelnem osłupieniu.

— Jakto?! — załamała nagle ręce ze zgrozą. — Nie znasz francuskiego?! Ładnie cię wychowali!!

Nie mogła wprost pojąć tej ignorancji. Co gorsza — ze zwykłą energją postanowiła jej zaradzić sama. Był to piekielny pomysł. Musiałem odtąd kuć w domu gramatykę Chapsala i Noela, a na wizytach dukałem z babką klasyczną prozę. Zaczęła odrazu od „Les martyrs“. Złościła się okropnie. Co lekcja prawie mruzczała mi basowo pod nosem o „pannach z magazynu“ i o „zdeklasywanym chłopcu“. W czasie krótkich pauz wypytywała mnie podstępnie, czy matka często wychodzi z domu i czy bywają u nas jacy panowie? Jakoś dziwnie krępowwały mnie te badania. Woląłem już wymyślić. Pochmurniałem coraz bardziej. Nazywało się wtedy, że jestem niewdzięczny. Ciężka księga za-

trzaskiwała się zawsze z łomotem, jak bramy piekielne.

Dziadek Józef, złapawszy nas kiedyś na gorącym uczynku, wzruszył tylko sucho ramionami. Ale panna Róża, owa wysoka pani, co towarzyszyła babce podczas wyjazdu ojca — nie mogła, widać, patrzeć na moje męki. Zaproponowała z nieśmiałym rumieńcem, że mogłaby babkę zastąpić, że jest młodsza i pewnie mniej nerwowa.

Babka Izabela nie miała ambicji pedagogicznych.

— A bierz tego hebesa! — zgodziła się z ulgą. — Użyj sobie, jeśli chcesz!

Ulżyło babce, ulżyło i mnie. Panna Róża była czarująca. Nie była ładna i jak na pannę niebardzo młoda, ale cała przeświecona dobrocią i nieśmiałością. Och! nie gniewała się na mnie wcale: nie wiem, czy wogóle potrafiła się gniewać? Zaraz po pierwszej lekcji umiałem nazwać po francusku wszystkie przedmioty w pokoju. Panna Róża nietylko nie gniewała się, ale czasem gładziła mnie po włosach i kładła mi rękę na ramieniu. Przyglądałem się jej z ogromną ciekawością, bom wiedział od babki, że jest bardzo bogata. Dziwiła mnie też strasznie jej skromna, ciemna, aż po szyję zapięta suknia i brak

wszelkich klejnotów. Nie nosiła nawet pierścionków. Inaczej sobie bogaczy wyobrażałem! Miała tylko krzyżyk na piersi na cienkim złotym łańcuszku.

Poszło właśnie o ten krzyżyk.

Już po kilku dniach panna Róża spytała mnie o ojca. Jakże mu tam, biedakowi, na wygnaniu? Odrzekłem, że bardzo dobrze, i tłumaczyłem rzeczowo, iż pracuje w szpitalu w tym Carycynie i że czasem przysyła nam nawet trochę pieniędzy. Panna Róża wpatrywała się we mnie chciwie nieco wypukłymi oczyma. Mówiłem więc dalej, że jest zdrow i że ma tam świetne polowania. Pisuje do nas co tydzień bardzo wesołe listy. W tej chwili wypukłe oczy zaszyły grubemi łzami. Panna Róża odwróciła się nieco, a ja zrozumiałem odrazu, że ją to właśnie babka Izabela chciała wydać za ojca. Zawstydziłem się okropnie i spuściłem głowę. Doszedł mnie wreszcie nieśmiały głos panny Róży:

— Mój Michasiu!... Mam do ciebie wielką prośbę...

— Proszę pani... — rzekłem przerażony.

— Widzisz ten krzyżyk? Chciałabym, żebyś go nosił całe życie... Sam papież go poświęcał...

Tu zdjęła sobie ów złoty krzyżyk z pier-

si i zawiesiła mi go na szyi naprawdę. Nie wiedziałem, co mam robić. Zaczerwieniłem się i pocałowałem ją w rękę, choć uczono mnie przecie, że panien się po rękach nie całuje. Panna Róża pocałowała mnie też w głowę, choć bardzo niezdarnie, i drżącymi palcami pomogła mi schować krzyżyk pod marynarkę. Poczem wróciliśmy nagwałt do słówek francuskich.

Byłem dnia tego bardzo rozradowany. Fiu! fiu! Mam już srebrnego rubla i teraz złoty krzyżyk. Fiu! fiu! — gwizdałem sobie pod nosem z podziwu dla własnej fortuny.

Niestety! Byłem rozradowany, a więc i gadatliwy. Rozwiodłem się przed matką szeroko o lekcjach francuskiego. Temat ten zaciekał matkę nad wszelkie spodziewanie. Pytała już sama i o babkę i o pannę Różę. O, tak! Pytlowałem jak najęty! Gadałem, że babka zajmuje się bardzo, jak żyjemy i kto u nas bywa. Powtarzałem wszystko słowo w słowo. Zdawało mi się, że matka mieni się nieco na twarzy, ale nic, plotłem dalej. Pilno mi było do historji z krzyżykiem: myślałem, że i matka się ucieszy.

Siedzieliśmy przy kolacji. Matka na wieść o krzyżyku zerwała się nagle jak oparzona. Uderzyła nawet w stół pięścią.

— Nie będziesz, głupcze, tego nosił! — krzyknęła zdławionym głosem. — Zdejmuj mi zaraz!!!

Bąkałem coś jeszcze o poświęcaniu i o papieżu.

Ale matka nie dbała nic o papieża! Poczzerwieniała na ponsowo i naraz stała się podobna do dziadka Kwietniaka. Zerwała mi krzyżyk z szyi jednym szarpnięciem, aż łańcuszek pękł. Dyszała ciężko. Nigdy jej takiej nie widziałem. Przepłoszyła się nawet Melanka, a ja zalałem się łzami z żalu i ze strachu.

Dopiero gdym leżał w łóżku, Zośka-pensjonara rzekła mi szeptem:

— Głupiś! Pocoś plótl?! Matka jest przecież zazdrosna.

Wzruszyłem ramionami. Wzięli mi mój złoty krzyżyk. Miałem go nosić całe życie, a nosiłem parę godzin. Skończyła się i moja francuszczyzna. Stary lokaj odniósł babce Izabeli w kopercie krzyżyk o zerwanym łańcuszku.

Nie widziałem jej potem nigdy w życiu.

Co chwila rozlegało się z kuchni: „Michaś! Biegaj po sól!“ „Michaś! Goździków za cztery grosze!“ Latałem za sprawunkami jak Wicek od szewca z drugiego podwórza. Posyłały mnie i panny; to po nici, to po wędlinę do bułek (na złość matce, że niby kiepskie śniadania daje). Panny prosiły bardzo grzecznie i całowały gorliwie z wdzięczności, czego — wyznam — cierpieć nie mogłem, bo pachniały przy tem szyciu nienajpiękniej. Często musiałem odnosić klientkom zamówione kapelusze i ku zdumieniu tych pań odmawiałem przyjęcia dziesiątki za drogę. We wszystkich sklepach i sklepikach znano mnie doskonale i przemawiano tam do mnie nie przez „kawalerze“!, tylko zwyczajnie per „Michaś!“ Pani Fabijańska, bezdzietna żona „kupca“ z rogu, rozmawiała nawet ze mną życzliwie i dawała mi czasem w prezencie przygarść cukierków angielskich. To przyjmowałem.

Tak mi się działo. Nieświetnie. Dzieciaki, na obu podwórkach przestały mnie cenić, a rodzona matka zaczynała pomалу traktować jak terminatora; tyle że wałów, jak Wicek, nie brałem. Ale żebym miał o to urazę do świata, to nie! W głowie mi nawet nie powstało, że mam babkę „hrabiankę“ i wcale

zamożną rodzinę. Niech tam! I tak uważałem się za coś lepszego. Poprostu gwizdałem na to. Wierzyłem też święcie, że niechno ojciec powróci, a znowu będę opływać w honory i dostatki.

Nie miałem zresztą czasu dużo nad tem rozmyślać. Musiałem się uczyć, uczyć wiele i prędko. W dodatku uczyć się wszystkiego po rosyjsku. Dla ośmioletniego bębna wcale nie było to łatwe! Na wakacje do ciotki Geni pojechały tylko dziewczynki (szczęściary!), a ja kułem gorliwie całe lato, jesień i całą zimę. Dostać się do gimnazjum w Warszawie było już wtedy trudno. Ale miałem pamięć i sporą dozę upor. Marzyłem, jaki ojciec będzie ze mnie dumny, gdy zdam. Biegając po sklepikach, mruczałem pod nosem przekłętę słówką na „jat“: *wozle, nynie, podle, posle; wczuże, wjawie, wkratce, wskorie...* Było to nudne. A przecież nie zniecierpliwiałem języka rosyjskiego. Przeciwnie. Oczarowała mnie jego wspaniała uroda: owa fałszywa miękkość, rozlewna płynność i przebogata niestałość akcentu. Ba! Rzec można, iż w tym właśnie języku poznałem po raz pierwszy całą słodycz poezji. Zasypiając, powtarzałem sobie nieraz naiwny wierszyчек z pierwszej strony swojej *Chrestomatji*:

„*Pticzka Bożja nie znajet  
„Ni zaboty, ni truda...”*“

Na tle tych umiłowań właśnie miałem jedyny konflikt ze swym nauczycielem, panem Srzednickim. Pan Srzednicki, student drugiego roku prawa, był to młodzian przystojny i entuzjastyczny. Jego podniszczony mundur z błękitnym kołnierzem i złotymi guzikami imponował mi śmiertelnie. Nosił czarne baczki, jak ksiązę Józef, i był wściekłym patryją. Dowiedziawszy się, iż Moskale wywieźli ojca z kraju, dobrowolnie opuścił matce rubla ze swego honorarjum. Zamiast sześciu rubli na miesiąc brał pięć, choć na sam dźwięk wyrazu „socjalizm“ krzywił się brzydko. Ten biedak, którego ojciec miał dziewięć włók piachu i siedmioro dzieci, nie doceniał przecież walki klas. Był to — jak się dziś mówi — wyraźny drobnomieszczanin, choć mieszkał na wsi.

Pan Srzednicki polubił mnie szczerze i traktował, jako sierotę, syna „męczennika“. Odwdzięczałem mu się pilnością. Co dnia czekaliśmy nań niecierpliwie, ja i wszystkie panny z pracowni. Kłaniał się im bardzo grzecznie, ale wyglądało na to, że przejmował się jedynie moimi postępami. Były szybkie i znaczne. „Odrabiałem“ więcej nawet, niż mi zadawał.

Otóż kiedyś, mimowoli prawie, nauczyłem się lekkiego jak pianka wiersza Puszkina, przeczytawszy go ledwie parę razy. Poprostu sam wpadł mi w ucho. Recytowałem go nauczycielowi chępliwie:

*Rumianoj zarioju  
Pakrylsia wastok;  
W siele za riekoju  
Patuch aganiok...*

Pan Srzednicki przysłuchiwał się tej deklamacji ze zdumieniem. Rzekł wreszcie sucho:

— Pocóżes ty się tego uczył?

— Bo ja... Bo ja, proszę pana, lubię wiersze — bąkałem zmieszany.

— Lubisz wiersze? Proszę, proszę... A nasze, polskie wiersze umiesz napamięć?

Stwierdziłem, ku własnemu nawet zdziwieniu, że umiem tylko „Leci liście z drzewa“, który to wiersz Melanka wkuła mi przemocą na imieniny matki. Zawstydziłem się tego. A student zmarszczył się groźnie i krzyknął na mnie prawie:

— Nasze wiersze są sto razy, tysiąc razy piękniejsze!!! Słuchaj!

Powstał od stolika, założył rękę za guzik i grzmiał głębokim barytonem:

„*Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo*“...

Słuchałem z przerażeniem tych jak trąby potężnych dźwięków. Wiedział, bestja, co wybrać! Walił we mnie jak z dział, bił każdym wierszem jak armatnią kulą! Bohaterski patos klęski owionął mnie zimnym dreszczem i zbudził całą atawistyczną polskość. Ocknął się we mnie rok trzydziesty i sześćdziesiąty trzeci, choć wiedziałem o nich mało. Stanęły mi w uszach wrzaski żandarmów na stacji i widziałem ojca w Carycynie. Ów wierszyk Puszkina w moich ustach wydał mi się nagle głupstwem i zdradą. Zabolało mnie to i aż szarpnęło za serce. Gotów byłem biec zaraz na redutę Ordonu i zginąć z nim razem. Za dobosza. W oczach miałem łzy.

Pan Srzednicki, skończywszy, rzucił jeszcze wzruszonym głosem:

— Tych wierszy masz się uczyć, nie moskiewskich!

Przygwoździł mnie. Nie wytrzymałem i rozbeczałem się jak baba. Przez łzy prosiłem gorąco:

— Niech pan jeszcze raz powie... Jeszcze raz!...

Odtąd panowała między nami niezmacona przyjaźń. Pan Srzednicki był również miłośnikiem poezji. Nazajutrz przyniósł ze sobą „Pana Tadeusza“ w lipskim wydaniu i codzień, po właściwej lekcji, czytywał mi jedną księgę, gromkim głosem. Wszystkie panny kupiły się wtedy z szyciem pode drzwiami. W ich oczach, a i w moich, student urastał sam na wieszczka; zakochały się w nim wszystkie, a i ja też. Przeszedł zresztą ze mną wcale porządny kurs historii Polski z naciskiem na rewolucję i powstanie. Uczyłem się jej równie sumiennie, jak rosyjskiego: tamtego dla ojca, tego — dla pana Srzednickiego. Patrzałem weń jak w słońce i naśladowałem go we wszystkim. Pan Srzednicki był wściekłym patrjotą, i ja byłem patrjotą. Pan Srzednicki nie był demokratą, nie byłem demokratą i ja, choć biegałem po sklepikach jak szewczyk. Dumnie powtarzałem za nauczycielem pobożne życzenie „Z szlachtą polską polski lud“, choć mniejszy, widać, zasób entuzjazmu i własne doświadczenia po podwórkach budziły we mnie silne wątpliwości. Ale co tam! Pan Srzednicki wiedział wszystko najlepiej i wszystko umiał wytłumaczyć. Przedewszystkiem zaś lubił mnie bardzo, a ja spragniony byłem widocz-

nie męskiej ręki. Gdy poklepał mnie po ramieniu, dałbym się zań porąbać! I tak robił ze mną, co chciał. Na jego życzenie przestałem się nawet bić z Zośką, choć pięści świerzbiły mnie nieraz. Na imieniny wyszukał dla mnie na Ś-to Krzyskiej cztery tomy historii powszechnej pióra nieboszczki jeszcze Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Umieściłem ją z szacunkiem w bibliotece obok książek ojca. Miała dla mnie wartość podwójną: jako zbiór przeciekawych anegdot, które połąknałem w miesiąc, powtóre zaś — jako wyraz sympatji mojego mentora. O tak! kochałem pana Srzednickiego więcej pewnie, niż nasze panny. Uczucie to nie przynosiło uszczerbku memu uwielbieniu dla ojca. Nie. Ojciec, to ojciec, a tu — znalazłem przyjaciela.

W sierpniu zdałem egzamin do II-go gimnazjum na Nowolipkach. Byłem strasznie i słusznie dumny. Poszedł list do ojca. Ze wzruszoną powagą przymierzałem u Żyda czapkę z białą wypustką. Nie dotknęło mnie nawet, iż matka przyjęła mój sukces jako rzecz naturalną; rozumiałem, iż martwiła się, skąd wziąć na wpis i mundur. Zato panny ledwo mnie nie zadusiły. A co najważniejsza — uściskał mnie i pan Srzednicki. Uściskał i powiedział, że jestem „dzielny chłopiec“. Och,

jak mi to dobrze zrobiło! Ba! pan Srzednicki! mój przyjaciel pan Srzednicki! I po egzaminach wpadał do nas codzień prawie i brał mnie na spacer do Saskiego Ogrodu. Zawsze nad wieczorem. Przechadzaliśmy się w alei Głównej i Literackiej, a pan Srzednicki deklamował mi półgłosem wiersze własnego wyrobu. Podobały mi się wszystkie. Zwierzał się wtedy, iż jest właściwie poetą, a musi kuć prawo dla grosza. Serce mi się rwało do tych „dorosłych“ zwierzeń. Byłem szczęśliwy.

Okropną przykrość wyrządził mi wtedy Henryś Goldman. Henryś Goldman, mój jedyny podwórkowy konfident, żyłem bowiem w tej kamienicy dość samotnie. Zamożnym dzieciom z pierwszego podwórza zabraniano bawić się z „ulicznikami“, a hałaśliwa banda z drugiego była już dla mnie za głupia: grywałem z nimi tylko czasami w zbijaka — i tyle. Henryś Goldman nudził się również. Zagadał do mnie kiedyś pierwszy i odtąd zostałem skazany na jego towarzystwo. Wrzeszczał codzień przed naszą kuchnią „Michaś!“ i wychodziłem do niego dosyć często.

Było to chłopczysko dziwaczne. Starszy ode mnie o trzy lata, „uczęszczał“ do prywatnej szkoły Pankiewicza, bo, jako Żyd i niebardzo zdolny, marzyć nawet nie mógł o do-

staniu się do gimnazjum. Miał wyłupiaste oczy, mięsiste wargi i bardzo białą cerę. Łaziliśmy po podwórzu tam i zpowrotem i opowiadał mi wtedy rzeczy zdumiewające. Był to zdecydowany sceptyk i mizantrop. Zohydzał w mowie wszelkie ludzkie poczynania i każdego człowieka z osobna. Mnie, biedaka, wtajemniczał najniepotrzebniej w intymne życie całej kamienicy, bo wiedział wszystko o wszystkich lokatorach. Mrużył wtedy białawe rzęsy i oblizywał wargi z zadowoleniem, a ja otrząsałem się jak pies pod studnią. Brr! Było to ciekawe i wstrętne. Dla równowagi wspomniałem mu kiedyś o poświęceniu mego ojca — ale cóż? Wzruszył ramionami i patrzył na mnie z pobłażliwą pogardą jak na spokojnego warjata.

Ba! Chłopak ten nienawidził własnych rodziców! Ojca bał się jak ognia, czemu nie dziwiłem się wcale, bo pan Goldman miał byczą szyję, ponurą twarz i chadzał zawsze w nasuniętym na oczy kapeluszu. Ale matka! Pani Goldman, osoba przystojna choć zażywna, cała w klejnotach i atlasach, promieniała zawsze najdobrotliwszym uśmiechem. Przechodząc z chrzęstem przez podwórze, kłaniała się pierwsza wszystkim, nawet stróżowi. Wyglądała na uosobioną dla ludzi życzliwość.

A przecież, gdy przepłynęła kiedyś мимо nas w całej wspaniałości, Henryś przyjrzał się jej z obrzydzeniem i rzekł krótko:

— Stara małpa!

— Henryś! Czyś ty oszalał?! Matka przecież! — krzyknąłem.

— Więc i cóż, że matka? Stara małpa — powtórzył z uporem, mrużąc po swojemu rzęsy.

Ale nie udzielił mi żadnych objaśnień i nie skarżył się wcale, choć zrozumiałem odrazu, że źle mu było w domu. Zaraz wpadł na swój ulubiony temat i zaczął gadać o swojej starszej kuzynce Meli i o tem, co to oni wyprawiają w ciemnym pokoju, a nawet podczas świątecznych obiadów, pod serwetą. Obiecywał mnie z nią poznać.

Nie pragnąłem tego i wogóle niecierpiałem tych rozmów. Budziły we mnie przykry niepokój. Choć już uświadomiony, byłem jednak na te rewelacje za mały: wstydzilem się. Zawracałem więc coprędzej do spraw szkolnych. Te sprawy były jedyną przyczyną, dla której znosiłem towarzystwo Henrysia. Pękałem z ciekawości, jak to właściwie jest w szkole. Henryś nienawidził, oczywiście, wszystkich nauczycieli, a kolegów miał za durniów, ale przecież opowiadał przeróżne arcy-

ciekawe zdarzenia. Słuchałem tego z zapartym oddechem i pytałem, pytałem bez końca. Wzamian, w ogniu jakiejś dyskusji, zdradziłem się najzbyteczniej ze swem uwielbieniem dla pana Srzednickiego. Henryś aż wściekł się na to. Uwielbiać jakiegoś głupiego belfra, co wkuwa słówka na „jat“ za pieniądze?! Uznał to wprost za nieprzyzwoitość. Pytlował i pytlował, aż się zaślinił nawet, ale splywało to po mnie jak po gęsi woda. Już ją wiedziałem swoje o panu Srzednickim! Gadaj zdrów!

Wiadomość o mojem przyjęciu do gimnazjum Henryś przyjął kwaśno. Spojrzał nawet na mnie złem okiem. Zazdrościł mi oczywiście. Co gorsza, przedsięwziął pomścić na mojej osobie własne upośledzenie społeczne. Czepił się pana Srzednickiego. Dowiedział się skądś o jego deklamacji i wyśmiewał to okrutnie. Rzuczał nań wszelkie możliwe kalumnje, choć widać było, że wyssane są z palca.

Na wieść o tem, iż pan Srzednicki przychodzi do nas nawet i po egzaminach, aż poczerwieniał z pasji, ale zastanowiło go to bardzo. Jął teraz dąsać się na mnie — przez kilka dni nie pokazywał się na podwórzu. Sądziłem, że chce mnie ukarać w ten sposób.

Niestety kara miała być jeszcze gorsza.

Po tygodniu może natknąłem się nań w Saskim Ogrodzie, ledwie się był właśnie rozstał z panem Szrednickim. Czekał na mnie, widać, bo minę miał okrutnie rozradowaną. Oblizując po swojemu wargę, zagadnął mnie złośliwie:

— Więc ty, baranie, myślisz, że ten twój korek do ciebie teraz łązi?

Wzruszyłem ramionami i chciałem iść dalej. Ale on roześmiał się brzydko i pociągnął mnie za sobą.

— Chodź, chodź! Coś ci pokażę! — mówił.

Doszliśmy zpowrotem do ustronnej alejki, dyskretnie osłoniętej pękami bzów. Henryś roześmiał się raz jeszcze i pchnął mocno w tę alejkę. Wypadłem z poza bzów jak pocisk — wprost na ławkę, na której siedział pan Szrednicki z panną Heleną. O małym im na kolanach nie usiadł z rozpędu. Dostrzegłem jednak, że mój nauczyciel całuje pannę Helenę po rękach, a ona jest czerwona jak rak.

Stałem przed nimi jak skamieniały. Nie mogłem się ruszyć. Dopiero pan Szrednicki wstał śpiesznie, aż błądy z gniewu, i potrząsnął mną parękroć dobrze.

— Cóż to?! Szpiegować mnie myślisz?!

Wstyd! — krzyczał nieznanym mi, złym głosem.

Odwrociłem się bez słowa i poszedłem. Nie było mi wcale wstyd. Trząsałem się pod nawalem uczuć, ale wstydu wśród nich nie było. Chyba za niego, za pana Szrednickiego! Przeżyłem pierwsze w życiu rozczarowanie. Uczułem w sobie bolesną pustkę. Pan Szrednicki stał mi się naraz wstrętny jak zdrajca. Oszukiwał mnie. Udawał przyjaźń, żeby skokietować pannę Helenę! Jakaś tam panna Helena była mu miłsza od przyjaciela! Miałem dzielić się uczuciem z panną Heleną! Ohyda! Jaby nie zrobił tego nigdy, nie dbałbym o wszystkie panny Heleny świata! Zdradzono mnie. Zdradzono podstępnie.

Zrozumiałem też odrazu całą śmieszność głupio umieszczonego seentymntu. Tak! byłem głupi i śmieszny. Ma rację Henryś, że zaśmiewa się z mojej idjotycznej miny!

Ale ponieważ miał rację, więc wściekłem się tem bardziej. Aż zbladłem z gniewu. Podszedłem doń z zaciśniętymi pięściami.

— Ty pętaku! — rzekłem. — Odczep mi się, durniu, bo ci zęby wytlukę!

Chichot Henrysia urwał się nagle. Wi-

dział, że go trzasnę naprawdę, i usunął mi się z drogi, choć był silniejszy.

Wróciłem do domu bardzo smutny i sam. Straciłem przyjaciela. Postanowiłem żyć od-tąd samotnie.

## VII. L O S.

Była to duża przykrość i przeszedłem ją dość ciężko. Pan Szrednicki nie pokazał się już u nas, a panna Helena patrzyła na mnie złem okiem, choć nie mruknąłem o niczem ani słowa. Cierpiałem z godnością i w milczeniu.

Po tygodniu zresztą wrócił mi świetny humor. Ba! Miało się ku latu, upalne chadzało słońce, a życie bogate było i dobre. Nie zapomniałem ani na chwilę o zdanym egzaminie i wybierałem się na wieś do ciotki Geni. Czekaliśmy tylko z dziewczynkami na pieniądze na drogę, bo matka po niezłym nawet sezonie wiosennym martwiła się już znowu. Musieliśmy długo czekać. Aż tu któregoś dnia przyszedł z Rosji gruby list pieniężny z niejgorszą sumką. Ojciec pisał wesoło, że wyleczył syna samego policmajstra, że pozwolono mu praktykować i że pracuje w szpitalu

i na mieście. Pieniądzy będzie teraz huk! Łódźka ma się nie martwić, bo najdalej za półtora miesiąca zobaczą się w Carycynie. Tak, tak, w Carycynie! (Tu matka, czytając, stanęła cała w ponsach i przy nas ucałowała list dwa razy). Za miesiąc dostanie Łódźka taki sam list pieniężny, albo i lepszy. Dalej pisał ojciec, że jest dumny ze mnie, że ściska mi dłoń po męsku (tu ja znowu zaczerwieniłem się jak rak) i że z nadesłanej sumy przekazuje mi trzy ruble na osobiste wydatki. Radził mi nabycie „lanki“ do palanta i łyżew „Halifax“. Dalej szły czułości i żarty dla dziewczynek.

Byliśmy w siódmym niebie! Matka promieniała z radości. Zawsze bardzo przystojna, stała się naraz tak piękna, że ludzie oglądali się za nią na ulicy. Zaraz kupiła mi mundur i nagwałt jęła „obsprawać“ siebie i dziewczynki. Co do mnie, nie mogłem wprost zmieścić ogromnego szczęścia. Gdy byłem sam w pokoju, skakałem na miejscu z uciechy jak koźlą. Zresztą kupiłem wszystko podług rady ojca i łąziłem po parkach z lanką w kieszeni. Zeszło tak do połowy lipca.

Wracając któregoś dnia z Łazienek, wpadłem już blisko domu na jedną z naszych

podręcznych, która rwała dokądś wielkim chodem. Rzuciła mi tylko w przelocie:

— Biegaj, Michaś! Ojciec!...

Ojciec! Ojciec wrócił! Tak to zrozumiałem. Serce oszalało we mnie nagle. Sadziłem szczupakami jak chart. Prędziej, prędziej! W bramie przewróciłem jakieś dziecko, na podwórzu rozbiłem grupkę służby, wpatrzony w nasze okna... Wpadłem do mieszkania z wraskiem.

— Gdzie ojciec? — wołałem. — Gdzie ojciec?!

Odpowiedziały mi okropne płacze. Ujrzałem matkę na kanapie, bladą jak śmierć, z zamkniętymi oczyma — przerażone panny cucily ją wodą z karafki. Siostry i panna Sabina szlochały głośno. Panował harmider i rejuwach.

Stałem jak wryty. Jakies nieszczęście. Gdzie ojciec?

Krzyknąłem wprost na Zośkę:

— Co się stało?! Gadaj! Gdzie ojciec?!

Wyszlochała, nie patrząc na mnie wcale:

— Ojciec... Ojca zabili...

Jezus, Marjo!

— Jaktó zabili?! Co bredzisz?! Kto zabił?!

— List... przyszedł... Ojca zabili.

Matka ocknęła się właśnie. Poszedłem do swego pokoiku i siadłem na łóżku sam. Jezus, Marjo! Jezus, Marjo! Ojciec nie przyjechał. Ojca zabili. To znaczy — ojciec nie żyje. Nie mam już ojca. Mojego ojca.

Zrozumiałem. Wtedy zaczęło szarpać się we mnie wszystko i kawałami wydierać przez usta. Jąłem nie płakać, tylko wyć. Wyć jak pies. Straszny głosem.

Wpadła panna Helena i, sama płacząc, trzęsła mną jak workiem.

— Cicho, Michaś! Bój się Boga, Michaś!

Nie wrywałem się wcale, tylko wyłem dalej nieprzytomnie. W pracowni gruchnęło na ziemię coś ciężkiego. To matka zemdląła powtórnie. Wezwano lekarza.

Nie dałem się badać. Uspokoilem się sam. Siedziałem u siebie pociemku i myślałem. Nie pozwoliłem wejść nikomu: na panny i na siostry rzucałem się z pięściami. Dano mi pokój.

Rozmyślałem ponuro i bez końca, że dla nas i dla mnie życie urwało się nagle. Nie umiałem wyobrazić sobie życia bez ojca. Och! nie chodziło mi o względy natury materialnej! — byłem na to pewnie za głupi i za odważny. Szło mi o samego ojca, tylko o ojca.

Nie mam już ojca! Nie przyjdzie już nigdy i nie zawoła: „Jak się masz, Michał, pędra-ku!“ Nie będzie jego najdroższego uśmiechu! Nie będzie klapsów i nigdy już fałszywie nie zagrają skrzypce. Nie będzie zapachu jego przemoczonego haweloka. Nie powie już nigdy: „Nie złość się, Łodźka, bo zbrzydniesz!“ Nikt już nie będzie teraz ze mnie dumny. Mój ojczel! o mój ojczel!

Wstałem i przeszedłem do jadalnego. I tu było ciemno. Matka leżała na kanapie twarzą do ściany. Dziewczynki szeptały między sobą cichutko.

Rozkazałem Zośce brutalnie:

— Dawaj list!

Wskazała mi go ręką na stole. Matka nie drgnęła. Wziąłem list i zapaliłem u siebie lampę.

Pisał jeden ze współwygnańców w Carycynie. List przepojony był łzami. Pisał zwięźle, że ledwie ojciec zaczął pracować w szpitalu (a dojrzał był właśnie wszelki owoc), wybuchła epidemia cholery. Ludzie marli jak muchy. Czerń jęła się niepokoję: rozeszły się pogłoski, że to lekarze zatruli wodę do picia. Jakiegoś ranka ruszyły tłumy z bazaru i wdarły się do szpitala. Zabito wszystkich dokto-

rów, studentów i pielęgniarzy. Zabili i ojca. Wojsko strzelało nawet, ale poniewczasie. Leży teraz ojciec na prawosławnym cmentarzu.

Zgasilem znowu lampę, zległem na łóżku z butami i łkałem w poduszkę. Ojczy! mój drogi ojczy! Zasnąłem zresztą prawie natchmiast, w ubraniu, jak stałem. W nocy ktoś zdjął mi buciki. Może matka, może Zośka, a może i Marjanna.

Zacęły się teraz w domu jakieś dziwaczne, senne — można powiedzieć — dnie. Mówiliśmy do siebie mało i tylko o rzeczach niezbędnych. Umyj się. Jedz. Kładź się spać. Milczało się zresztą. Byłem wtedy ponury i dla wszystkich brutalny. W młodym swym egoizmie sądziłem, że ja właśnie cierpię najbardziej. (Może i naprawdę cierpiałem najgłębiej, choć nie najbardziej, bo cierpię nad tem do dziś). W każdym razie działały się ze mną sprawy szczególne. Opadła mnie manja wyobrażenia sobie dokładnie, jak to ojciec zginął? Czy zabili go łomem żelaznym? Czy padł pod razami pięści? Czy ciskali kamieniami i cegłą? Serce darło mi się w kawały. Mówiłem o tem do sióstr: Izabelka bladła ze zgrozy, a Zośka zaciskała uszy palcami. A mu-

siałem o tem mówić — musiałem wyrzucić z siebie to, czego sam znieść nie mogłem.

Na szczęście przyszło mi na myśl, że ojca zabili Moskale. Zawziętem się na ten naród straszliwym gniewem. Czułem najszczerszy żal, że nie byłem w owym szpitalu razem z ojcem. „Dałbym ja wtedy choć jednemu!“ — myślałem z nienawiścią. Na ulicy patrzyłem na Rosjan jak wilk. Nie zwracali na to uwagi. Kiedyś nawet potrafiłem jakiegoś oficera wcale mocno i naumyślnie. Wrzasnął tylko na mnie:

— *Ty s uma saszoł, durak! \**).

A ja myślałem sobie, że niech tylko dorosnę!... I z tego zwierzyłem się siostróm. Zośka aprobowwała moje stanowisko najzupełniej. Tak, tak! Rozumie się. Niech tylko dorosnę!

---

\*) Zwarzjowałś głupcze!

### VIII. DAWNE DZIEJE.

Na wieść o nieszczęściu wszyscy przychodzili do nas płakać. Patrzailiśmy na to z suchemi oczyma: cóż bowiem mogli poradzić na naszą klęskę? Była babka Irena z babką Jadwigą, był i dziadek Józef. Dziadek nie próbował nas pocieszać; czytając fatalny list, gładził tylko wąsika białą, długą i drżącą teraz ręką. Nie powiedział nic i wyszedł zaraz; pozostała po nim na stole cienka paczka czyściutkich banknotów. Ciotka Genia długo milczała na naszą depezę; potem przysłała króciutkie wezwanie, żeby przysłać nas natychmiast — o ojcu ani słowa. Przychodzili koledzy i przyjaciele ojca i wzdychali. Nie odwiedził nas tylko dziadek Kwietniak i babka Izabela. Babka Izabela zwróciła się zato do babki Ireny o sprowadzenie zwłok na Powązki. Któż bo mógł się o to wystarać, jak nie babka Irena? A babka Izabela za nic nie chciała

zostawić ojca „tym — jak mówiła — wrogom rodzaju ludzkiego“. Wychudła podobno temi czasy na drzazgę ze zgryzoty i zgrzybiała odrazu. Kazała postawić sobie łóżko w pokoiku ojca i szlochała całymi nocami. Ale do nas nie przyszła.

Pracownia szła dalej siłą bezwładu; prowadziła ją teraz panna Sabina i z pewnością lepiej od matki. Matka sprawiła sobie grubą żałobę i wyglądała w niej jak marzenie, choć wyraźnie nie chciała o tem wiedzieć. Stała się surowa i milcząca. Ja nosiłem krepę na rękawie, a siostry chodziły zwyczajnie, bo na żałobę dla nich nie starczyło pieniędzy. Mieliśmy zresztą jechać.

Tymczasem w kamienicy wybuchła szkarlatyna. Zaczęło się od stróżowego Franka, a za parę dni położyła się Izabelka. Zośkę i mnie osadzono tegoż wieczora u babki Jadwigi.

Babka Jadwiga mieszkała, oczywiście, u PP. Kanoniczek na Placu Teatralnym. Zajmowała niewielki pokoik na facjacie w głębi podwórza. Szło się tam popod oknami cel innych pańien (zawsze wyglądały zpoza firanek), przez jakieś balkony i korytarze, po starych, trzeszczących i bardzo czystych schodach. Pokoik babki był też czyściutki i bar-

dzo zastawiony. Prócz babki mieszkał tam szpic Mirek i cztery ogromnie hałaśliwe kankarki. Babka Jadwiga była nam strasznie rada, choć był kłopot z posłaniem ze względu na szczupłość miejsca. Ja sypiałem na ziemi pod brzuchatą komódką. Ogromnie mi się to podobało, a i babce Jadwidze również. Była to osoba malutka, okrągła, wesoła, bez śladu złości i zawiści, a pełna przeróżnych talentów. Pisywała zgrabne wierszyki okolicznościowe, malowała trochę, a przedewszystkiem potrafiła lepić z chleba wszystko, co jej na myśl przyszło. Rozmawiając przy stole, kręciła cały czas gałki z chlebowego miąższu i — aniś się spostrzegł — jak miałeś przed sobą maleńkiego pieska, owcę, kotkę z kociętami czy gałązkę róży. Budziło to w nas naturalnie zachwyty. Róże udawały się babce najlepiej: były, istotnie, jak żywe, z listkami, pączkami i jednym zwykle rozwiniętym kwiatem o delikatnych i prześlicznie powyginianych płatkach. Kto wie, czy nie zostałyby naprawdę rzeźbiarką, gdyby nie jej wrodzona skromność.

Tak, baka Jadwiga była przemiała i kochana. Sama kochała ludzi i zwierzęta najprostszym sercem. Co ranka, ledwie świt, za oknem facjatki wszczynał się hałaśliwy

gwalt: to wróble zlatywały się zewsząd do babki na śniadanie. Gdy za mało im było posypanych okruszyn, tłukły, szelmy, dziobami w szybę — tak były oswojone (zimą wpadały hurmą przez otwarty lufcik i trzeba było gałgany wypędzać ręcznikiem). A biło to się, a wrzeszczało! Zaśmiewaliśmy się z Zośką do łez. Zaczne było babczysko! Tylko na jednym punkcie — na punkcie patryjotyzmu — nie znała żadnych żartów, no, i... niebardzo lubiła się modlić. Panny Kanoniczki odprawiały modły dwa razy dziennie. Codzień też popołudniu, koło szóstej chyba, stukwała do babki przez ścianę sąsiadka i z facjatki obok dolaływało gderliwe wezwanie:

— Panno Jadwigo! Czas do kościoła!

Babka, zagadana właśnie z nami, krzywiła się na to niechętnie, a raz nawet dosłyszałem, jak mruzczała z irytacją:

— Znowu się będą Panu Bogu naprzykrzać w zimnym kościele! Dla starych bab dość i pacierza!

Ale szła, bo mus. Schody trzeszczały teraz długą chwilę i na zadrzewionem podwórku roilo się od dam starszych i młodszych z pojedynczych pokojów. Ostatnie ruszały wraz z ksienią panie, mieszkające na parterze w małych apartamencikach.

Zastanowiła mnie ta różnica lokali.

— Babciu! — pytałem. — Dlaczego babcia nie mieszka na dole?

— Mamy u nas, widzisz, dwa chóry. Do pierwszego należą panny z najlepszych rodzin. Ja jestem w drugim chórze.

Obraziłem się.

— To my nie jesteśmy z najlepszej rodziny?

Babka przerwała na chwilę lepienie gałek z chleba i roześmiała się szczerze. Był cichy wieczór letni. Siedzieliśmy sobie właśnie po skromniutkiej kolacji; Mirek wzdychał sennie u stóp babki, a Zośka kiwała się na biegunowym fotelu.

— Ach ty, śmieszny brzdącu! — rzekła. — Wszystkie rodziny są najlepsze — od praojca Adama. Tylko nie jesteśmy już bardzo bogaci. Dawniej mieliśmy ogromne dobra i tu, w Łęczyckiem, i na Ukrainie. Ale po eksdywizji, po śmierci mego pradziada Tomasa, starosty wiskiego, zbiednieliśmy bardzo.

— Co to eksdywizja?

— Taki podział dóbr między spadkobierców... Dość, że zbiednieliśmy. A jeszcze szelma Poniński nas okradł, ten Poniński, co to Moskałom ojczyznę za złoto sprzedawał, wiesz?

— A to łotr! — krzyknąłem.

— Łotr — zgodziła się babka. — Od tego czasu nie mogliśmy się już podnieść. Choć mój dziad był jeszcze kasztelanem za Królestwa Kongresowego.

Tu babka zaniepokoiła się, czy nie pękam czasami z pychy, i spojrzała na mnie bystro: sama była demokratką w sensie 63-go roku. Ale nie. Nie pękałem wcale, słuchałem tylko z płonącymi oczyma.

— To my jesteśmy teraz biedni? — zagadnąłem cicho.

— Jakby ci powiedzieć... Pewno, że nie bogaci, ale znowu i niebardzo biedni. Brat Michał, twój dziad, ma jeszcze bardzo piękne majątki.

— Tylko dziadek Michał? A babcia? A dziadek Józef? A dziadek Staś?

— Nie jest to takie proste... Brat Michał gospodaruje, widzisz, na rodzinnym majątku. Wszyscy mamy u niego sumki, kto nie umiał wybrać. I mnie się coś tam należy. Dziadek Józef nigdy, jak wiesz, nic nie mówi, ale powinien być zamożny, bo i za Józefową wziął niemało. A Staś sam się dorobił.

— To znaczy, że dziadek Michał wszystko sobie zabrał — rozumowałem głośno. — Dlaczego, babciu?

— Zabrał — nie zabrał, dziecko... Tak się złożyło. Mój ojciec, a twój pradziad, też Michał — świeć mu Panie — rękę miał zawsze pańską, a jeszcze za powstania zrobili go wojewodą w cywilnej organizacji, że to patrijota był gorący, jak wszyscy Kęccy...

— Wojewodą został — stwierdziłem z uznaniem.

— Więcej, dziecko, było z tego tytułu niebezpieczeństwa i udręki, jak honoru. Broń i żywność ojciec partjom dostarczał, no i zadłużył majątek do reszty. Jak go na Sybir wzięli, do ciężkich robót, nicby z tego nie zostało, żeby nie brat Michał właśnie. Michał, choć bardzo jeszcze młody (bo z szóstej klasy do domu wrócił), nie przestraszył się tej ruiny, ale zęby zacisnął, rękawy zakasał, latami żył jak chłop, na cukrze sobie skąpił, rodzieństwu grosza nie dał bez kłótni — no i uratował wszystko. Dziś panek to całą gębą.

— A któż się tak z dziadkiem kłócił?

— Ano wszyscy, nawet i twój ojciec trochę. Bo skąpy się, widzisz, Michał zrobił i nawet jak się zbogacił, to ciężko było coś zeń wydusić. Najgorzej się pokłócili z bratem Stasiem, bo Staś, choć najmłodszy, czupurny był bardzo, a znowu Michał przywykł za smarkacza go uważać. Kiedy Staś wrócił

z Syberji i swoją garbarnię w Radomiu zakładał, to mało do procesu o jego dział nie doszło. Okropnie się pokłócili.

— To i dziadek Staś był w powstaniu?

— W tem sęk właśnie, że był. Szesnastu lat nie miał, jak poszedł, a zaraz oficerem został i tak się dzielnie sprawiał, że o włos go Moskwa nie powiesiła. Dziecinny wiek tylko go ocalił. Otóż, jak wrócił, to śmiał się trochę z Michała, że niby za piecem powstanie przesiadzał. Michał obraził się strasznie i wziął na Stasia, tem bardziej, że musiał przecież go wypłacić. Niecierpią się dotychczas.

Widziałem dziada Michała w coraz czarniejszych barwach.

— Tó z dziadka Michała tchórz? — pytałem wstydliwie.

Babka zawahała się z odpowiedzią i spuściła oczy.

— Chyba nie... Nie myślę... I co to znowu za niemądre pytania?! — zaperzyła się nagle. — Nie wolno dzieciom starszych sądzić.

Dziadek Michał zginął w mych oczach z kretesem. Nawet do powstania nie poszedł! Oczywista, tchórz.

— A babcia też kłóciła się z dziadkiem?

Babka spojrzała na mnie zdumionemi oczyma i naraz parsknęła śmiechem.

— Ja?! E, dziecko, o cóżbym się miała kłócić. Ja nawet Michała mało znam. Po śmierci matki, widzisz, chowałam się u babki kasztelanowej w Kaliszu, potem, jak Irena zamąż poszła, to u niej, a jakem została starą panną, to jednak Michał wypłacił mi posag, żebym tu, u Kanoniczek, życie skończyła. Niewiele dał, ale przecież przyjęli, choć do drugiego chóru. Dziś was u siebie goszczę i bardzo mi dobrze.

Uczułem naraz dreszcze i gwałtowną senność.

— A dlaczego... — pytałem, szcękając trochę zębami — dlaczego babcia... zamąż nie wyszła?

Babka spuściła głowę i milczała dłuższą chwilę. Na chlebowe gałki jejły padać z jej oczu grube łzy.

— Bo, widzisz, Moskale zabili mi w powstaniu narzeczonego. Mojego Antosia... Antoniego Radwana. Zginął pod Czachowskim... W kwiecie lat...

Nie mogłem już nawet współczuć babce, ani dowiadywać się o losy pana Radwana. W uszach mi szumiało i powieki opadały już same.

— Babciu! — rzekłem. — Jakoś mi nie-dobrze. Chciałbym już iść spać.

Babka spojrzała na mnie i szybko otarła łzy.

— Jezus, Marjo! Michaś! — krzyknęła. — I tyś się zaraził?!

## IX. STARSI PANOWIE.

Ano zarazilem się. I ja miałem szkarlatynę. Tegoż jeszcze wieczora przewieziono mnie, owiniętego w kołdry, zpowrotem do matki. Leżałem teraz razem z Izabelką, ale niewiele miałem z tego pociechy, bo ona już była nieprzytomna, a i ja wkrótce straciłem zmysły. Fantazjowaliśmy sobie w okropnej gorączce. Zresztą Izabelka umarła na trzeci dzień. Dowiedziałem się o tem dopiero po powrocie do zdrowia, gdy dłużej ukrywać tego przedemną się nie dało. Popłakałem trochę, ale niebardzo — uprzednia bezcenna strata, strata ojca, zahartowała mnie na wszelkie klęski. Zacząłem tylko wysoko cenić jej pamięć. Rozumowałem niemądrze, że była dobra jak ojciec, więc także musiała umrzeć: Nie trwożyłem się o nią; musiała być w niebie z innymi aniołami.

Chorowałem ciężko kilka tygodni. Ten

los oszczędził mi obecności na obu pogrzebach. Babka Izabela bowiem sprowadziła zwłoki ojca i pochowała je z wielką pompą. Starał się żyć, jak proletarjusz, a pogrzeb miał magnacki. Babka rozpisała groźne listy do najdalszej rodziny i, rzeczywiście, zebrał się tłumek; stawili się nawet i jej bracia z Galicji. Opowiadano mi, że mimo duchowej prostracji po straszliwych ciosach, matka wy mogła przecie pierwsze miejsce za trumną; prowadził ją przybyły ze wsi dziad Michał. Babka Izabela nie podeszła do niej nawet na cmentarzu. Dostała zresztą ataku serca jeszcze na Powązkach i poszła za ojcem w kilka miesięcy. Do samej śmierci była twarda jak krzemień; nie pogodziła się i z dziadkiem Józefem, a przecież zapisała mu wszystko.

Opowiadano mi już potem, że choć policja pilnowała dyskretnie całego obrzędu, jakiś robotnik złożył na grobie z rozkazu partji wieniec z czerwonych kwiatów z napisem: „Bojownikowi — lud roboczy“. Krzyknął nawet podobno: „Niech żyje Polska socjalistyczna!“, co zebrani przyjęli zimno i z nie-nakiem. Pozatem nie było żadnych manifestacyj, a wieniec zniknął nazajutrz. Dałbym wiele, aby mieć dzisiaj jego splewiałe czerwone szarfy.

Tymczasem mało jeszcze wiedziałem o świecie. Wracalem do siebie powoli, jadłem i spałem, jadłem i zasypiałem znowu. Zorientowałem się wreszcie, że leżę w stołowym pokoju, bo miał idjotyczną i śmieszoną tapetę w chińskie obrazki. Studjowałem je teraz starannie. Tu księżniczka o maleńkich nóżkach idzie na spacer z zieloną papugą w klateczce, tam niosą w lektyce dumnego mandaryna pod parasolem, ówdzie biedny kulis bierze bambusem w piętę, a oto i sam bogdychan na złocistym tronie. Wszędzie pagody, pałace, powyginane dachy. Te naiwne obrazki darzyły mnie radością. Oglądałem je codzień długo, po sto razy, aż bogdychan zaczął kiwać mi życzliwie głową, bo to był, oczywiście, mój drogi ojciec, księżniczka podawała mi klatkę, bo to Izabelka, a wały bambusem brał przecież Wicek od szewca — i zasypiałem słodko.

Któregoś dnia obudziła mnie półgłówna rozmowa. Zerknąłem przez przymrużone rzęsy. Matka siedziała na kanapie, a obok siedział sztywno niewielki starszy pan w za szerokim kołnierzu na bardzo chudej szyi. Twarz miał surową i brzydką: siwe oczka patrzyły ironicznie, kości policzkowe przeglądały blado przez wyżółkłą skórę, wąskie usta

zwierały się posępnie pośród skąpego, niegdyś blond, zarostu. Był niesympatyczny. Poznałem intuicją, że to dziad Michał — tak właśnie musiał wyglądać. Kościany dziadek.

Matka skarżyła się zbolalym głosem (nie dziwnego: było to nazajutrz po pogrzebie) i najwidoczniej o coś prosiła. Słyszałem co trzecie zdanie. Ale sam ów ton prośby w stosunku do dziadka Michała obruszył mnie szczerze. „Co tu prosić“! — myślałem gniewnie—, „wiadomo, że nikt o nas nie dba. I obejdzie się!“ Nastawiłem przeciw uszu. Matka wyrażała tę samą myśl innymi słowami.

— ...Pan rozumie — mówiła ze łzami — że ja już dłużej nie mogę. Prosto nie potrafię ich wychować. Jeszcze póki Michał żył i była jakaś nadzieja, ale teraz... Cała rodzina prócz jednej jedynej Geni nie uderzyła nawet palcem o palec, żeby mi pomóc. Wszyscy myślą, że sama dam radę. Jakże dam?! Michał nic nie zostawił...

Słuchałem tego z irytacją. A i dziadek nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Michał — przerwał brutalnie — Michał, żeby szedł był po mojej myśli, żyłby zawsze w spokoju i w dostatku. Prosiłem, żeby kończył agronomję i gospodarował po mnie. Do grobu nic nie zabiorę. A na wsi wywie-

trzałyby mu szybko różne tam nowomodne socjalizmy. Ale Michał — nie! Wolał świat zbawiać! Michał był warjat!

Dało się wyczuć w tej brutalności głęboką urazę jakiegoś sentymentu, ale mnie aż serce zabiło z gniewu. Tego jeszcze brakowało! Ojca mi tu obraża!

Rzuciłem się na łóżku jak ryba.

— Mój ojciec nie był warjat! — wrzasnąłem na cały głos.

Dziadek aż się wzdrygnął na kanapie i poczerwieniał zlekka. Poczem wstał i podszedł do mego łóżka.

— To ty jesteś Michał? Pokaż się. Podaj mi rękę.

Podąłem rękę, boć to przecie dziadek. Przez chwilę obaj patrzaliśmy na siebie chmurnie. Wreszcie dziadek kiwnął poważnie głową, nie wiem czemu przytakując.

— Dobrze — rzekł do matki. — Będę opłacał wpisy i przyślę co miesiąc czterdzieści rubli. A całą tę pracownię trzeba zwinąć, tem bardziej, że nie daje dochodu. Na co pani ta cała krawiecczyzna? I tak będzie dość roboty z wychowaniem dzieci.

W tej chwili odezwał się w sklepie ostry dzwonek i dobiegł stamtąd mocny i energiczny baryton. Zaraz też panna Helena z ru-

mieńcem na łicach wprowadziła do nas wysokiego i przystojnego pana. W nowiuteńkim tuzurku i szarych spodniach, z lśniącym cylindrem w ręce raził wprost elegancją w naszym ubogim pokoju. Poznałem go. Dziadek Staś. Był u nas już raz za życia ojca i wiedziałem, że trzeba z nim zawsze śmiać się i żartować, bo niecierpiał — jak mówił — „ślamazarstwa“. Ucałowałszy matczyną rękę, podszedł do mnie odrazu.

— Jak się masz, zuchu! Wracasz do zdrowia? Dobrze.

Nachylił się i pogładził mnie po głowie. Poczem niedbałym ruchem wyjął z kieszonki kilka złotych monet i złożył je na moim stole.

— Masz to za egzamin — rzekł.

Ten dziadek Staś! Tyle złota! Za mój egzamin! Skąd o nim wiedział? Nawet nie podziękowałem, bo aż mnie zatknęło. Ale on zwrócił się już do dziadka Michała, jakby go dopiero właśnie był spostrzegł.

— Jak się masz, Michale! Po latach! Bardzo się cieszę. Jakże tam krescencja na naszych majątkach? Słyszałem, że Kanada mocno nas po kieszeni bije?

Dziadek Michał sztywno ujął podaną

dłoń. Na wyraźną zaczepkę wzruszył tylko lekko ramionami.

— M o j e majątki — rzekł sucho — obejdą się bez twego dozoru. Jak zbankrutujesz na garbarni, jeszcze i dla ciebie się w nich miejsce znajdzie.

— Dziękuję za pamięć, Michale! Choć my, rzemieślnicy, nie narzucamy się jaśnie panom. Chyba o swoje. Przez adwokata i rejenta.

Dziadek Michał poczerwieniał z gniewu. Ale dziadek Staś, nie czekając na odpowiedź, mówił już swobodnie do matki:

— Żartujemy tu z bratem, a pani ma do mnie interes. Niechże mi pani pokaże tę pracownię.

Gdy wyszli, dziadek Michał zbliżył się do mnie znowu. Drżącymi jeszcze z irytacji palcami wyłowił z dużej portmonetki również złoty pieniądz, ale tylko jeden, starannie owinięty w bibułkę.

— Masz tu i ode mnie, Michasiu! To dukat z Matką Boską. Dostałem go od swego ojca i teraz daję tobie. Nie trzeba go wydawać, chyba w ostateczności.

— Dobrze, dziadku — rzekłem poważnie, jakby składając przyrzeczenie.

Ucałowałem rękę dziadka, a on poklepał

mnie po twarzy niezdarnie. Zawstydzilem się nie wiem czego, ale odtąd nie był już dla mnie obcy i niesympatyczny.

Zostawiono nas samych tyle właśnie czasu, ile trzeba było do nawiązania sympatji. Za chwilę słuchałem znów męskiego głosu dziadka Stanisława.

— Należy donająć sąsiedni sklep — pouczał matkę tonem kategorycznym — i urządzić wszystko z wykwintem. Zbytelnego klienta trzeba przyjąć w zbytelnym lokalu. Duże wystawy, masa luster, dywanów, świeżych kwiatów. Wtedy zwabi pani bogatą publiczność i będzie pani dyktować ceny. Zostawiam tu pani tymczasem paręset rubli, mój kasjer wyśle pani jednorazowo drugie tyle i siedemdziesiąt pięć co miesiąc, póki interes nie zacznie odrzucać zysków. Bardzo mnie ucieszy, gdy dojdzie pani do czegoś własną pracą.

Matka na widok darowanych pieniędzy splonęła na ponsowo jak zawsze. Ale dziadek Staś spojrzał na zegarek i zęgnął nas śpiesznie. Podając rękę bratu, dorzucił jeszcze z uśmiechem:

— Więc liczę na twój łaskawy chleb, Michale!

— Proszę — rzekł sucho dziadek Michał.

Patrzył na roztaczanie dziadka Stasiowych bogactw okiem ironicznym, ale bez słowa. Czekał, bo nie chciał wyjść razem z bratem. Powstał dopiero, gdy dzwonek znowu brzęknął energicznie.

— Nic tu już po mnie — rzekł. — Brat Stanisław załatwił już wszystko i najpomyślniej. Zakłada, widzę, z panią nową fabrykę. Nie znam się na tem. Ale na wszelki wypadek niech pani zechce o mnie pamiętać. I ty pamiętaj, Michasiu.

Matka zarumieniła się powtórnie. Z jej podziękii jednak dało się wyczuć, że woli pomoc dziadka Stasia nie dlatego nawet, że hojniejsza, lecz poprostu z powodu jego przy stojności i energii.

Co do mnie byłem słabo przytomny z tyłu wzruszeń. Oglądałem sobie złote monety jedną po drugiej, ale nie mogłem już nawet cieszyć się niemi. Powiedziałem tylko do matki:

— Mamusiu! To już przynajmniej nie będziemy mieli teraz kłopotów?

— Nie, synku — potwierdziła. — Nie będziemy mieli.

Łzy sypnęły się jej jak groch.

— Wogóle — łkała — nic już nie będziemy mieli.

Zrozumiałem matkę. Myślała, że teraz nic już nie będziemy mieli — ani kłopotów, ani szczęścia.

Zapłakałem i ja i zaraz zasnąłem z osłabienia.

## X. GIMNAZJUM NA NOWOLIPKACH.

Mieliśmy teraz rzeczywiście spokój. Zgodnie z obietnicą dziadek Staś nadesłał nam z Radomia od razu masę pieniędzy i co miesiąc, na pierwszego, dostawaliśmy siedemdziesiąt pięć rubli. Była to suma na owe czasy znaczna. Matka odetchnęła. Nie miała co prawda odwagi wykonać w całości obszernych planów dziadka, ale bądź co bądź kupiła dywany, lustra i ładne mebelki do sklepu, przekształcając go na wcale miły salonik. Przesiadывała w nim teraz najchętniej, oficjalnie zdawszy wodze w pracowni na garbatą pannę Sabinę. Stała się teraz uprzejma dla klientek i doradzała im z cierpliwością i wrodzonym smakiem. Całymi dniami dochodziła stamtąd damska paplanina. I o dziwo! — teraz, gdy i tak byliśmy dobrze zabezpieczeni, pieniądze przychodziły do nas same i niebardzo proszone. Firma „Leokadja“ ję-

ta nagwałt prosperować. Zośka, wróciwszy od ciotki Geni w dobrym już humorze i z dwoma piegami na nosie, nie mogła się wydziwić naszemu dostatkowi: skakałaby z radości, gdyby nie wspaniała żaloba, jaką jej właśnie sprawiono. Matka donajęła też dla mnie sąsiedni pokój kawalerski, widny i słoneczny. Ustawiono w nim, według mojej woli, biblioteczkę i biurko ojca. Gdy przeniesiono mnie tam, byłem zachwycony. Na specjalnym stoliczku do zabawek leżały łyżwy „Halifaxy“ i piłka-lanka, ostatnie prezenty ojcowskie. Mam je i dziś.

Do gimnazjum się spóźniłem. Mimo protestów i najgorętszych błagań lekarz marynował mnie w łóżku jeszcze dwa tygodnie po otwarciu roku szkolnego. To też wchodziłem po raz pierwszy do piętrowego gmachu na Nowolipkach z mocno bijącym sercem. Już sam olbrzymi portjer onieśmielił mnie bardzo. Stałem za progiem bezradny i oszołomiony wrzaskliwym hałasem. Wówczas dygnitarz ten wskazał mi drogę wspaniałym gestem. Ruszyłem po schodach, dzwoniąc piórnikiem w ogromnym tornistrze. Nim wszedłem na piętro, już byłem świadkiem przykrego konfliktu o zjazd po poręczy; ktoś tłumaczył się piskliwie granatowemu frakowi i do-

stał dwie godziny „kozy“. Przed samą klasą stanąłem znowu. Nie wiedziałem, gdzie się rozerac, ani wogóle, co mam począć. Koło mnie szmygały co chwila wystrzyżone łepety w splamionych kurzem i kredą kurtach mundurowych. Stałem. Jąłem się nawet pocić z zakłopotania. Wreszcie któraś łepeta bez wyrazu zatrzymała się na mój widok.

— Czego tu sterczysz, jak bałwan? Z której klasy?

— Z pierwszej.

— Jak się nazywasz?

— Kęcki.

— Kęcki? Toś osioł.

Rzekłszy to, wpadł zpowrotem do klasy i wrzeszczał na całe gardło:

— Panowie! Kęcki przyszedł! Nowy! Osioł!

Wówczas zbliżył się do mnie przystojny chłopak, co oparty o futrynę drzwi, przyglądał mi się już czas pewien spokojnymi szaremi oczyma. Był wysoki i szczupły.

— Chodź, siadaj koło mnie. Mam wolne miejsce.

Byłem mu szczerze wdzięczny. Zasiadliśmy we trzech. On, Kazimierz Umiński, Rosjanin Pawłow i ja pośrodku. Zdążyłem się jeszcze dowiedzieć, że Umiński jest starszy

ode mnie, bo chorował długo i siedzi drugi rok; teraz zresztą wrócił zupełnie do zdrowia. Chciałem odwzajemnić się swoją szkarlatyną, ale właśnie zaczęły się lekcje.

Dla mnie zaś zaczęła się udręka. Bo ledwie wchodził któryś z nauczycieli, kochani koleżkowie wszczynali jednogłośnie bek, jak trzoda baranów:

— Nowy! Nowy!

Czynili to słusznie, aby zająć czas i uniknąć „wrywania“. Ja zaś, nieszczęsny, musiałem prezentować się każdemu kolejno pedagogowi. Bardziej z pośród nich niedyskretni, czy mniej zblazowani, badali nawet od razu zasięg mojej wiedzy. Tęgo się spociłem. A nie ustało to nawet podczas dużej pauzy. Zostałem przedstawiony z triumfem chudemu pedlowi „Kajmanowi“ i pokręconemu wychowawcy, filologowi „Wydrze“. Ale to nic. Czekąco mnie gorsze przejście.

Podczas dużej pauzy wpadł nagle z korytarza któryś z koleżków i krzyknął: „Stary“. Zgiełk ucichł momentalnie. „Stary! Stary!“ — przebiegł szept po wszystkich ławkach. A już we drzwiach stanął sam on, dyrektor, wszechwładny i zniechęcony Mikołaj Miefodjewicz Troickij. Porwaliśmy się z rumorem na równe nogi, jak jeden mąż.

Patrzałem nań ze strachem i ciekawością, bom znał go już dobrze ze słyszenia: wiedziała cała Warszawa, że był srogi, niecierpiał Polaków i lubił popisywać się przed uczniami swoją znajomością polszczyzny.

Był to starzec wysoki i postawny. Odrazu rzuciła się w oczy biel długich włosów i piękna broda srebrzysta. Siwizna ta nadawała mu wyraz ogromnej powagi i pewnej — o jakże fałszywej! — dobrodusznosci. Ale rysy miał szczerze kałmuckie, a szare oczka małe i złe. Na granatowym fraku lśniła wielka gwiazda orderowa. Był imponujący.

Wszedł z majestatem w towarzystwie wychowawcy i przyglądał się nam w milczeniu. Gdzie spojrział, tam strzyżone łepety mimowoli schylały się same. Każdy wstrzymywał oddech. Słyszać było brzęk much o szyby.

Byłby sobie pewno i poszedł po dobroci (bo i o czym miał ze smarkaczami gadać?), gdyby nie jakiś osioł, co nie mogąc widać, znieść tej napiętej ciszy, nie wyrwał się nagle, jak Filip z konopi:

— *Wasze priewaschaditielstwo!\**) Nowy! Poczerwieniałem z irytacji. A to dureń! Ale już zaczęto wytykać mnie palcami,

---

\*) Ekscelencjo!

a i dyrektor, w dobrym dzisiaj humorze, raczył zwrócić się do mnie łaskawie i po polsku:

— Nowy? Jakże się nazywasz?

W tej chwili doszło mnie od Umińskiego ciche ostrzeżenie: „Nie gadaj po polsku!“ Ostrzeżenie zbyt skuteczne. Oho! Ani mi się śniło mówić po polsku! Wiedziałem, że Troickij na polską odpowiedź reagował niezmiennie przysłowiem: „Co wolno księciu, nie wolno prosięciu“, zaczem trzeba było odsiedzieć znaczną porcję „kozy“. Odpowiedziałem gromko po rosyjsku, jak żołnierz na przeglądzie:

— *Maja familja Kenckij!\**)

— Kęcki? Hm... A co robi twój ojciec?

— Mój ojciec umarł. Był lekarzem.

Troickij przyjrzał mi się uważnie. I oto nagle po kałmuckiej twarzy, wśród fal srebrnej siwizny, rozlało się tanie rozrzewnienie. Mówił i dalej po polsku, wcale nawet dobrze, rozciągając tylko i zmiękczając wyrazy aż do karykaturalnej słodyczy.

— Widzisz, Kęcki... Tyś nowy, a i sierotka. Jesteś pierwszy dzień w szkole. Poznałeś już kolegów, poznasz i swego dyrektora. Zobaczysz, że nie taki surowy, jak o nim mó-

---

\*) Nazywam się Kęcki.

wią. Chodź, zjesz śniadanie ze swoim dyrektorem. Nie wstydz się, Kęcki. Czeka nas lepsze śniadanie, niż twoja bułka z serdelkiem. Chodź, sierotko biedna!

Miał chyba łzy w oczach ze wzruszenia nad własną dobrocią. Zwrócił się jeszcze do wychowawcy:

— *A wy kak dumajetie, Nikołaj Wasiljewicz?\**)

Filolog „Wydra“ kłaniał się tylko uniżenie.

Wyszedłem z ławki przerażony. A Troickij objął mnie ramieniem po ojcowsku i prowadził przez długi korytarz szkolny. Uczniowie na nasz widok rozstępowali się w podwójny szpaler, nauczyciele patrzali ciekawie. Woźny otworzył z trzaskiem drzwi dyrektorских apartamentów.

Było to śniadanie piekielne! Jedliśmy je we trzech: dyrektor, jego synalek z siódmej klasy i ja. Zgrabna pokojówka podała nam wspañiałe przekąski: kawior, jakąś nieznaną mi „wiazigę“ i „bałyk“. Nie wiedziałem nawet, co się robi z tem wszystkim! Każdy kęs stawał mi kością w gardle. Pociłem się straszliwie. Mrukliwy Troickij - syn przy-

---

\*) A pan co o tem myśli, Mikołaju Wasyljewiczu?

głądał się mnie i ojcu z nieżyczliwą ironją. Na szczęście dyrektor rozwiódł się szeroko o pochodzeniu tych kulinarnych rozkoszy, sławił bogactwo ziem rosyjskich, no i żarł stary smakosz za trzech. Mogłem milczeć.

Katastrofa spadła na mnie dopiero przy kotlecikach cielęcych. Troickij prowadził teraz ze mną rozmowę w formie indagacji. Pytał o całą rodzinę. Odpowiadałem półsłówkami, w okropnem zmieszaniu płacząc akcenty rosyjskie, ale odpowiadać musiałem. Wyszła najaw i firma „Leokadja“, i siostry, i dziadek Staś, i majątki dziadka Michała... Dyrektor kiwał głową z aprobatą. Wróciliśmy znowu do śmierci ojca — mimowoli stanęły mi łzy w oczach przy tej opowieści. Troickij chwalił teraz poświęcenie lekarzy i wielką zasługę tego zgonu. Zastanowiło go coś przecież, bo przerwał sobie nagłe:

— Dobrze — spytał. — Ale skądże ojciec znalazł się w Carycynie? Czy był na służbie państwowej?

Nie umiałem jeszcze wykręcać się, ani kłamać, a przytem wzruszyłem się do głębi. Palnąłem prosto z mostu:

— Ojciec był na zesłaniu.

Troickij - syn spojrział na mnie dziko,

a stary o mało nie udławił się kotлетem. Twarz sponsowała mu wśród siwizny jak burak.

— Jako „był na zesłaniu“? — wrzasnął wreszcie.

— Nie wiem — rzekłem przerażony.

Dyrektor uderzył w stół pięścią i ryknął:

— *Buntował, znacził!! \**)

Milczałem, struchlały. Wówczas odsunął krzesło z rumorem i wyszedł z jadalni bez słowa.

Wróciwszy do klasy, byłem pewien, że wyrzucą mnie z gimnazjum jeszcze przed końcem lekcyj. Zwierzyłem się ze wszystkiego Umińskiemu, bo pragnąłem pociechy. Ale on, wysłuchawszy, spojrział na mnie szaremi, zimnemi oczyma i rzekł tylko:

— Głupis! *Im* nie mówi się prawdy.

---

\*) Więc był buntownikiem!

## XI. PAN VOGT.

Nie, nie wyrzucono mnie z gimnazjum. Dyrektor zbyt tęgą wyciął ze mną *gaffe*, aby miał się do niej przyznać publicznie. Odwracał się tylko na mój widok ze wstrętem i na ukłon nie odpowiadał wcale. Wyraźnie chciał zatrzeć wszelką pamięć o owem fatalnem śniadaniu. A przecie plotka szkolna szybko rozniosła wieść o przyczynie mojej niełaski. (Może niedyskrecja Troickiego-syna?). Dość, że nauczyciele jęli mnie traktować w sposób szczególny: Rosjanie — z zainteresowaniem, Polacy — z gderliwym współczuciem, a wszyscy razem bardzo surowo. Stałem się ciekawostką szkoły. Ba! nawet uczniowie starszych klas przychodzili na pauzach mnie oglądać. Do djabła! nie było to miłe, ani wygodne.

Na dobitkę dyrektor polecił mnie też, widocznie, specjalnej opiece pedla „Kajmana“.

Któregoś dnia „Kajman“ zatrzymał mnie przy wyjściu ze szkoły.

— Toś ty Kęcki? — przyjrzał mi się uważnie.

— Ja.

— No, dobrze... — rzekł z naciskiem.

Miałem odtąd tego „Kajmana“ stale na karku. Wodził za mną oczyma po wszystkich korytarzach, czyhał na każde moje słowo. Zaraz w pierwszym tygodniu złapał mnie na rozmowie po polsku i odsiedziałem dwie godziny „kozy“. Co parę dni rewidował mi tornister, a strzyc kazał mi się co tydzień. Gdy się zbliżył do grupki kolegów, wtykał tam swój długi nos natychmiast. Nie wolno mi było bawić się, ani biegać. Łaził za mną, jak niańka. Najmniejsze uchybienie regulaminowi wywoływało posępne kiwanie się tego długiego nosa: „To tak, Kęcki? Dobrze. Powiem dyrektorowi“...

Ta piekielna opieka szybko włoczyła mój temperament w ramy rygoru szkolnego. Zdecydowałem w sobie, że szkoła jest to coś, co trzeba w życiu odrobić, jak pańszczyznę, ale że nie jest to właściwe życie. Stałem się wzorowy i obojętny. Uczyłem się nieźle. Celowałem w *extemporaljach*, a i groźne *diktówki* szły mi jak z płatka. Wobec przymusu mó-

wienia w szkole tylko po rosyjsku, oswoiłem się rychło i ze zmiennym akcentem tego języka. Ale wszystko to razem nie obchodziło mnie wewnątrz nic a nic. Ów rok szkoły, a i następny, nie zostawiły żadnego śladu w mej pamięci. *Tabula rasa*. Żyłem dopiero po drugiej i pół, po wyjściu ze szkoły.

Och! ale żyło mi się wtedy bardzo dobrze. Korzystając z bliskości Saskiego Ogrodu, hasałem tam z innymi „sztubakami“ jak żrebię, a po nadejściu mrozów ślizgałem się na swych „halifax’ach“. Wróciwszy zgrzany do domu, zapalałem z powagą lampę we *własnym* pokoju, by zasiąść do lekcji przy ojcowskim biurku. Zresztą czytałem. Śród medycznych dzieł znalazł się przecie w bibliotece ojca Kraszewski, Kaczkowski, „Trylogja“, no i „Lalka“ i „Emancypantki“ Prusa. Wziąłem się do „Trylogji“, bo była najślawniejsza. Połknąłem ją w dwa miesiące — i rzuciłem się na resztę. Co tu gadać! Sienkiewicz i Prus urobili całe moje pokolenie: Sienkiewicz utwierdzał polskość, Prus kształcił jego ludzkość. Trochę ogłupiałem od nawалу tych wrażeń. Aż babka Irena, przyrzawszy się kiedyś u nas na wizycie mej nieco oczadziałej zadumie, jęła nagwałt szeptać o tem z matką. Matka kręciła na to głową

z niedowierzaniem i dosłyszałem jej uspokajające zdanie, „żeć to jeszcze i wiek nie po temu“. Dziś rozumiem, że interesował je mój rozwój seksualny. — Nie, moje panie! Nie rozwijałem się tak szybko. To tylko wielcy artyści poszerzali mi duszę. Może nawet rozpierali się w niej zbyt gwałtownie...

Czytałem masę, bo żyłem właściwie sam. Z Henrysiem Goldmanem nie chciałem się pogodzić mimo jego pracowitych zabiegów, a zresztą spotkała go w tym czasie fatalna katastrofa. Okazało się, iż ponury jego ojciec trudnił się przemytem srebra w sztabach z Niemiec czy do Niemiec. Którejś nocy zjawiła się w naszej kamienicy policja i zabrała pana Goldmana do więzienia. Pani Goldman ryczała jak lew, a nazajutrz tłumaczyła stróżowi z płaczem, że jej męża „prześladują politycznie“, ale gospodarz zaraz wymówił jej mieszkanie. Wyprowadzili się po pierwszym. Nie żałowałem tego wcale.

Przychodziła też do nas zrzadka mała ciotka Józka z babcią Pelcią z Ogrodowej. Przysyłał je dziadek Kwietniak, bo zwiedził się już, widać, o poprawie naszych losów. Ale po ostatnich nieporozumieniach były to już wizyty mocno nakrochmalone, jak spód-

nice babci Pelci. Nawet energiczna ciotka Józka czuła się u nas dość onieśmielona. Gdym opowiadał jej o szkole, wpatrywała się we mnie i nadal z czułością, ale nudziło mnie to szybko. Spróbowałem raz wziąć ją ze sobą do Ogrodu Saskiego, ale kochani koleżkowie nie chcieli się z nią bawić i wrzeszczeli ordynarnie „garbus!“ Wynikła stąd tęga bójka: ledwieśmy uciekli zdrowo. Nie! ulica Ogrodowa miała mi być już na zawsze utraconym rajem.

W szkole przyjaźniłem się tylko z sąsiadem, Kaziem Umińskim, ale odwiedzaliśmy się rzadko, bo — po pierwsze — mieszkał daleko, aż na Franciszkańskiej, a powtóre — był jakiś dla mnie za poważny. Wysoki, trzymał się prawie sztywno, a przemawiał nieco apodyktycznie, choć był starszy ledwie o rok, czy półtora. Miał przytem szczególną manję: lubił się bawić tylko w żołnierzy. Kupowało się więc u Müllera arkusze wojsk po cztery grosze, nalepiało to na tekturę klajstrem i w świąteczne popołudnia odbywaliśmy generalne batalje, waląc grochem ze sprężynowych armat. Nawet Zośka przyłążyła do mego pokoju oglądać te boje, choć przecież nie jej to nie obchodziło. Ale Kazik Umiński był dla niej strasznie szarmancki, a ona mizdrzy-

ła się też jak głupia, że już niby zupełnie do-rosła. Okropnie mnie to irytowało!

Zresztą w domu wszystko miało się ku lepszemu. Kłopotów naprawdę nie było żadnych, a i matka przyszła do siebie już po pół roku; śmiała się teraz dużo i nosiła żałobę z kokieteryją. Na Wigilji była babka Jadwiga i jeden z kolegów ojca, młody i bardzo wesoły. Od babki Ireny dostałem alegoryczny karton Grottgera, przedstawiający udręczoną przez wrogów Ojczyznę. Powiesiłem go w swoim pokoju z dumą i czcią. A pod wiosnę zjawił się u nas pan Vogt. Zjawił się jakoś ni z tego ni z owego, przynajmniej dla mnie, bo strasznie byłem temi czasy przejęty rekolleksjami i pierwszą spowiedzią. Odsuwałem od siebie jak mogłem sprawy świata, ale zauważył przecie, że pan Vogt był u nas raz i drugi. Siedział w stołowym na kanapie i rozmawiał z matką, jakby się dawno znali. Zdziwiłem się, bo pan Vogt był to okropny bogacz i właściciel naszej kamienicy. Wiedziałem, że we dwójkę ze swą matką zajmuje całe piętro od frontu, a codzień czekał nań na podwórzu elegancki powozik w karego konia. Sam widziałem, jak uniżenie kłaniał mu się sam pan Fabijański, gdy przy mnie

zamawiał coś w sklepie. Nie śmiałem się domyślać, czego pan Vogt chce od nas.

Aż tu kiedyś zrobił się w domu wielki gwałt, bo pan Vogt obiecał być na kolacji. Marjanna dostała wypieków. Ale było wino, był nawet tort czekoladowy. Pan Vogt był to brunet po czterdziestce, wysoki, ciężki, ale przystojny. Ubierał się starannie, jak dziadek Staś, a na jednej ręce miał dwa pierścienie z ogromnymi brylantami. Mówił niewiele, ale starał się żartować. Najwięcej chyba rozmawiał z Zośką, która potrafiła pękać z byle czego.

W kilka dni po tej kolacji siedziałem sam w sklepie, gdy z ulicy weszła drobna, starsza już i bardzo energiczna pani. Zatrzasnęła z hałasem drzwi i ruszyła wprost do kontuaru z wielkim chrzęstem jedwabi. Spostrzegłem, że była to staruszka przystojna i bardzo zła.

— Czy niema tu kogo dorosłego? A tyś kto? — pytała ostro.

— Kęcki — patrzałem zdziwiony.

— Wołaj matki. Powiedz, że stara Vogtowa.

Ho, ho! Rozporządzała się jak u siebie. Wyszedłem umyślnie wolno. A przecież matka aż zbladła i wybiegła do niej natychmiast.

Pani Vogtowa bawiła tylko z minutę al-

bo dwie, ale krzyczała o coś cały czas. Krzyczała coś i matka, a po jej wyjściu miała policzki w ognjach. Pan Vogt był u nas jeszcze jeden jedyny raz i rozmawiali ci państwo dość burzliwie. Matka płakała cały wieczór, a potem była ponura.

Spytałem Zośki:

— O cóż chodzi?

— Głupiś! Pan Vogt kocha się w mamie.

— Niech go wszyscy djabli! — mruknąłem.

— Dużo ty wiesz. Tyle, co zjesz.

Wiedziałem, rzeczywiście, mało. Ale pan Vogt przestał u nas bywać.

Niech go djabli!

## XII. M E D A L.

Poczem wyjechałem na wieś, do Zarzecza, do ciotki Geni. Nawet już podróż była bardzo przyjemna, bo ruszyliśmy sami, we dwójkę z Zośką, a w Lublinie wypadło się przesiadać. Mieliśmy dobrego stracha!

A dopiero wieś! Cóż jest wieś? Trochę pól, trochę łąk, trochę lasu i wód, a nad wszystkim ogromny błękit niebieski. Nieprawda! Wieś to rozkosz i raj! Ilekroć po nocy obudził mnie tam chrapliwy głos koguta, czy stróżowska kołatka pod oknem, aż wzdychałem z głębokiego szczęścia, że idzie znowu taki piękny dzień, a za nim inny i znowu inny, jeszcze piękniejszy.

Wszystkim chyba było dobrze w tem Zarzeczu. Wuj Stefan Rokossowski, mąż wielki jak tur, podniósł mnie na powitanie w górę jak szczeniaka i wyszorował mi policzki sumiastemi wąsiskami. Przy ogólnej prezen-

tacji ciotka z miejsca zapowiedziała sucho dwum starszym kuzynom, Zygmunтови i Józiovi, że „jeśli który poważy się palcem mnie tknąć, z nią samą będzie miał sprawę“. Ci wyrazili mi pogardę wzruszeniem ramion. Zaraz też na rozkaz ciotki nauczyli mnie pływać, co było przykre, bo wzięli się do tego bardzo brutalnie, choć skutecznie. Była tam jeszcze ładna kuzynka Jadzia i nauczycielka — Francuzka, aleśmy nie „zadawali się“ wcale z temi babami. Ja miałem swego rówieśnika Mietka, też z pierwszej klasy, choć z Lublina. Zawarliśmy niezłomną przyjaźń.

Ciotka zabrała mi mundur, bo szkoda, dała zaś jakieś stare łachy i rzekła, że wolno mi wszystko, byłem nie utonął, mył zęby i nie spóźniał się na obiad. Szaleliśmy tedy z Mietkiem. Szczególniej ja szalałem z zachwytem. Bystrzyca płynęła wartko zaraz za parkiem, to też prosto z łózka bieглиśmy w spodniach tylko i nocnych koszulach pławić się bez względu na pogodę. Po śniadaniu szło się na okólnik i do stajni. Starsi chłopcy mieli własne wierzchowce, my, niestety, tylko starego wałacha na emeryturze i siodło bez strzemion. Wałach, szelma, miał system nikczemny: za bramą walił ze dwieście metrów tęgiego kłusa, poczem stawał nagle jak wry-

ty, z mordą przy samej ziemi. Jeszcze Mietek utrzymał się czasem za grzywę, ja sypałem się zawsze przez łeb jak worek. Wałach przyglądał mi się wtedy ironicznie i wracał truchcikiem do żłobu. A przecież nauczyłem się jeździć jako-tako, bośmy codzień wykradali starszym szkapy jak panny.

Była też para osłów, chodząca w zaprzęgu po wodę i ku pomocy w ogrodzie. Tę oddano nam do dyspozycji. Tłukliśmy się nimi po całej okolicy. Do dziś mam w oczach małą figurkę Mietka, jak stojąc rozkraczony, w niewielkim wózku (to był właśnie nasz zryk! — powozić, stojąc), okłada batem nieszczęsne osłiska, a te galopują w tumanie kurzu z okropnem wierzganiem. Spotykaliśmy czasem wuja w polu wierzchem. Podjeżdżał do nas wolno na ogromnej chabecie kawaleryjskiej i, policzywszy szpicrutą nasz zaprząg i nas obu, stwierdzał z powagą, że ma teraz cztery osły. Ubogi ten żart powtarzał się niezmiennie. Nie obrażaliśmy się wcale na dobrodusznego olbrzyma. Mietek naciągał wtedy ojca na dziesiątkę i jechaliśmy zaraz do pobliskiej wsi gospodarskiej po cukier lodowaty.

Wieś była zamożna i miała sklepik żydowski. Przed tym sklepikiem czekały nas

stałe konflikty z młodszem pokoleniem miejscowej ludności. Już sam widok naszego pojazdu wywoływał zbiegowisko dzieciarni, zaczęły szły drwiny z zaprzęgu i z nas samych. Bitny Mietek umyślnie przebiegał w lodowatym cukrze, aby zebrało się tej bandy jak najwięcej, bo tęsknił do bójki (z czworaków przy dworze nie było żadnej pociechy — dzieciaki kłaniały się nam tylko pokornie). Gdy śmiechy i wyzwiska stawały się już nazbyt głośne, Mietek czerwieniał na gębę z irytacji i jednym susem wypadł ze sklepika wprost w tłumek jak kula. Ja za nim. Praliśmy obaj jak w cymbał; rozumie się — co starszych. Ale cóż? Ta hołota nie miała pojęcia o honorowej walce. Pierzchało to odrazu jak wróble i brało się do kamieni i pacyn. Walili zdaleka w nas, i w biedne osły, i w sklepik, aż wyskakiwał sam Mordka i strasznym wrzaskiem przerywał tę kanonadę. Jeszcze w powrotnej drodze Mietek wznosił drobną a kościstą pięść i spluwał z gniewem.

— Chamy, psiakrew! — mówił. — Żaden do oczu nie stanie! Tchórze!

Przywiozłem raz z tej wyprawy siniego guza nad samem okiem. Dobry był guz. Aż zwrócił uwagę ciotki przy obiedzie.

— A któż cię tak urządził?

— E, nic... W Józefowie chłopaki kamieniami ciskają — odrzekłem lekceważąco.

— I daliście się tak? — spytał wuj Stefan, ocierając wąsa.

— Jednemu juchę puściłem — mruknął Mietek.

— Mów przyzwoicie, boś nie w stajni — ucięła sucho ciotka.

I tylko tyle. Nikogo nie rozrzewniały nasze guzy. Bo w domu wujostwa ceniono odwagę. Gdy kiedyś Zygmunt założył się z Józkiem, że nie zleci z ujeżdżanego właśnie ogiera, rozprawialiśmy o tem wszyscy przy stole. I wuj i ciotka poszli nawet oglądać tę próbę. Ogier trzasnął zaraz Zygmuntem o ziemię jak djabeł i wywichnął mu nogę w kostce. Zygmunt przeleżał tydzień i wszyscy się z niego śmiali.

O tak! Wieś to raj dla chłopaków! Pomyśleć tylko, że w gorące noce sypialiśmy nie w domu, lecz na stogu zeszłorocznej słomy! W żniwa byliśmy zaharowani: cały dzień Boży zwoziliśmy snopy w nasze osły. Wiąta! Hetta! Ludzie uśmiechali się do nas życzliwie i zdawało mi się niemądrze, że w tej błogosławionej krainie niema miejsca na krzywdę, na złość i zawiść. Żyło się, jak przed wie-

kami. Ciotka kurowała czworaki i całą wieś, a wuj był nawet sędzią gminnym.

Aliści któregoś dnia, przy samym końcu wakacyj, zaszedłem do dworskiego stelmacha, co obiecał wyrychtować mi solidną szablę z dębiny. Obiecać, gałgan, obiecał, ale nie spieszyło mu się wcale, ja zaś chciałem się nią przecież pochwalić w Warszawie przed koleżką Kaziem Umińskim.

Zdyałem tam piątoklasistę Józia, jak oparty o ścianę wozowni kurzył udzieloną mu wyraźnie przez tegoż stelmacha „machorkę“. Popelniał w ten sposób zbrodnię podwójną: raz — że wogóle palił, a powtóre — że palił w podwórzu. Ale drab Józio nie dbał o to wcale. Aż oczy przymykał z rozkoszy, kurząc i słuchając leniwej rozmowy dłubiącego koło wozu stelmacha ze starym już chłopem, niewielkim a paskudnym. Gębę miał chytrzeńką, ślepią kaprawe, wąs rzadki i obwisły.

Znałem tego chłopca. Był to bogacz Wasiak. Siedział na półwłóczku, co tkwił w samym środku zarzeckich pól, jak wrzód. Rozumiałem już na tyle stosunki wiejskie, aby wiedzieć, że ten rodzaj sąsiedztwa nie wiedzie ku dobremu. Nie dziwiło mnie też, że, gdyśmy z Mietkiem mijali czasem Wasiaka

w nasze osły, chłop nie kłaniał się nam wcale, a Mietek zaciął ostrzej, klnąc pod nosem:

— Stary łajdak!

Ale ja nie miałem do Wasiaka żadnej urazy. Dojrzawszy teraz, że na kapocie starego błyszczy coś w słońcu, jakby order, czy medal, podszedłem doń natychmiast.

— Co też to macie, gospodarzu? — pytałem ciekawie.

Chłopisko podało mi połą kapoty z niegłośnym śmiechem.

— A niechże se paniczek obejrzą! Niech se obejrzą...

Ująwszy medal w rękę, przeczytałem napis na okolu. Brzmiał po rosyjsku:

„*Za usmireńje polskawo miatieża*“\*\*).

Aż się wzdrygnąłem. Zrozumiałem odrazu, że Wasiak zdradzał w powstaniu! A to łotr stary, a to arcypies! Ze zgrozą cofnąłem się w milczeniu do Józia, który przestał nagle kurzyć i wrzasnął na mnie i na chłopca:

— Masz co oglądać, głupi! A Wasiakowi też nie wstyd tego świństwa nosić?!

Stary przyjrzał się nam przez szparki

---

(\* Za stłumienie buntu polskiego.

czerwonych powiek i jął pouczać z powagą jak dzieci:

— Nie świństwo to, nie, ino cysarski mendol. Sprawiedliwy mendol! Za zasługi.

— Psie takie zasługi! — splunął Józio z gniewem.

— Ale! Zara psie! Panicz wi, co pańskie, ja — co chłopskie. Kuźden wi swoje. Mało to panowie łońskiego roku luda powywieszali? Gadali, że śpiegi. A naród ino spokoju chciał i tej ziemi świętej okruszynę, cō jom najjaśniejszy cysorz dawał. Ano, zastawęśmy zrobili we wsi i co się jaki pański wójak pokazał, tośwa go za łeb i do powiatu. Zara tyż nastał tej polskiej wojnie koniec!

Roześmiał się obrzydliwie, a widziałem, że i stelmach uśmiecha się pod wąsem. Józio poczerwieniał ze złości i zaklął:

— Psiakrew! Byle co bajecie, Wasiak! Starzyście, a głupiście.

A i ja krzyknąłem:

— Przecieście, u djabła, sami Polak!

Chłop przestał się śmiać i stwierdził z powagą:

— My som katoliki.

Wtenczas właśnie nadszedł z za wozowni najstarszy kuzyn Zygmunt z siódmej klasy. Szedł na kaczki z fuzją i z Bekasem na smy-

czy. Musiał zachwycić coś z naszej rozmowy, bo minę miał jak noc i huknął na Wasiaka bez wstępów:

— Wasiak znowu tu?! Na przespiegi? Wasiak nie wie, że dziedzie zabronił go puszcząć?! Precz mi z podwórza, bo psem wyszczuję! Marsz!!

Stary chłop spojrział nań strasznie i długo żuł w gębie jakąś odpowiedź.

Ale Zygmunt świsnął tylko i rzekł przez zęby, nie puszczając jeszcze smyczy:

— Bekas! Bierz go!

Bekas skoczył na Wasiaka jak ryś. Aż pociągnął Zygmunta o dwa kroki. Wtedy chłop poszedł wolno przez zalane słońcem podwórze. W bramie odwrócił się i pokazał nam pięść.

Udaliśmy, że nikt z nas nie dojrzał tej groźby. Zygmunt rzekł sucho:

— Jeszcze co ukradnie, stary hycel!

Stelmach podniósł na to łeb od roboty i uśmiechnął się do nas z udaną życzliwością. Że niby stoi zupełnie po naszej stronie.

— E, żeby miał kraść, to nie — mówił z pogodą. — Sam bogacz. Ale co śpieg, to śpieg. Cała wieś go się boi. O bele co, już

strażnicy\*) na karku. Prawdziwie hycel, nie człowiek!

Słuchałbym tego dłużej, ale Zygmunt wysłał mnie nagwałt do ciotki, bo coś pilnego. W króciutkiej drodze do dworu widziałem wieś — ów raj ziemski — z innej już strony. Od strony Wasiakowego medalu. Życzliwość i pokora służby wydała mi się naraz fałszywa, zrozumiałem, że stelmach żyje własnem, nieznanem mi życiem wewnętrznem, że gospodarze we wsi niebardzo nas lubią, wuja, Mietka, a nawet i mnie... Nie wiedziałem tylko, czy tak musi być i czy to jest słuszne? Chciałem pytać o to ciotki Geni.

Ale ciotka powiedziała, że przyszedł list od matki i że jutro rano jedziemy do Warszawy. Matka jest zdrowa, tylko stęskniła się za nami. Odwiezie nas tym razem sama ciotka.

Tak się zmartwiłem, tak mi żal było tego ostatniego tygodnia wakacyj, że narazie zapomniałem i o Wasiaku. Byłem oburzony na matkę. Niebardzo chciało mi się wierzyć w ową tak raptowną tęsknotę. „Co się tam znowu stało?” — myślałem gniewnie.

---

\*) Rosyjska żandarmerja wiejska.

### XIII. P O R T R E C I K.

Miałem rację. Wcale nie matczyna tęsknota sprowadziła nas do Warszawy tak nagle. Chodziło wogóle nie o mnie, ani o Zośkę, lecz o ciotkę Genię. Zaraz wieczorem po przyjeździe zaczęły się damskie narady i trwały parę dni. Matka popłakiwała często i gęsto. Nie obeszło się, oczywista, bez babki Ireny, wzywano nawet i dziadka Józefa. Domyślałem się, że znowu pewno interesy złe idą i że może trzeba będzie sklep sprzedać. Tymczasem któregoś dnia zjawił się znowu pan Vogt. Siedział tylko chwilę i był bardzo uroczysty. Zaniepokoiłem się bardzo.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytałem Zośki.

— To znaczy — rzekła spokojnie — że mama idzie zamaż. Za pana Vogta.

Jakby we mnie piorun trzasł! Powiedziałem Zośce, że łże jak pies, i zamknąłem się

w swoim pokoju. Nie poszedłem na obiad, choć wołano mnie kilkakrotnie. Płakałem trochę, ale mało. Rozumiałem, że nic nie poradzę. Świat wydał mi się ohydny, a sam widziałem się sobie, jako człowiek doświadczony i nawet już trochę stary. Idzie nowy cios i moje „porządne“ życie (takie jakie być powinno) ma się zawalić znowu. Dla matki czułem najszczerszą pogardę. Za zdradę pamięci ojca. Mój ojciec — i jakiś tam pan Vogt. Mój ojciec! Toć ledwie rok, jak zginął! Mój ojczu, o, mój ojczu!

Popołudniu zastukała do mnie ciotka Genia. Wyszedłem natychmiast z suchemi oczyma i wobec matki słuchałem w milczeniu ciotczynej przemowy, jak to matkę spotyka właśnie nowe szczęście, jaki to z pana Vogta porządny człowiek, jak to nam teraz będzie dobrze — słuchałem w milczeniu wszystkiego, co się dzieciom mówi w takich razach. Słuchałem w ponurem milczeniu. Nie rzekłem ani wyrazu. Nie oponowałem. Ciotka kazała mi pocałować matkę w rękę — ucałowałem.

I w tej chwili przyszła mi do głowy myśl piekielna. Wyszedłem szybko do matczynej sypialni i, wzięwszy tam z toaletki gabinegową fotografię ojca w pięknej ramce, defilo-

wałem zpowrotem przed temi paniami umyślnie wolno. Szedłem przez pokój krok za krokiem, trzymając portrecik w ręku z ostentacją.

Matka aż krzyknęła na ten widok.

— Pocóż mi to bierzesz, Michasiu?!

— Bo mamie już niepotrzebne — rzekłem okrutnie.

Z piersi matki wydarł się głuchy szloch. Ciotka skamieniała. A ja postawiłem fotografię na swoim biurku i zamknąłem się znowu.

Ale charakter ciotki Geni nie znosił takich historyj. Za chwilę bębniła w moje drzwi drobnymi piąstkami, aż dudniło. Otworzyłem. Ciotka Genia była blada z gniewu, a mars na czole wystąpił jej, jak nigdy. Powiedziała mi drżącymi wargami:

— Jesteś dziecko złe i głupie. Nie rozumiesz nic, nic i nic!

Słuszna. Oczywiście. Ale wtedy musiałem ojca pomścić nawet na matce. Nikomu i nikomu nie wolno było dotknąć ojca w mej duszy! A przytem wiedziałem już przecie, po co ludzie się żenią... Świat wydał mi się wstrętny tego wieczora... Co tu długo gadać!

Był to zresztą jedyny i beznadziejny mój

protest. Dzięki stosunkom pana Vogta sprawa dała się załatwić w miesiąc. Przez ten czas pan Vogt spędzał u nas całe wieczory. Zasypał matkę biżuterją, słodyczami i kwieciami. Oboje promieniali zrozumiałem szczęściem.

Ja starałem się jak najmniej przesiadywać w domu. Zaprzyjaźniłem się wtedy na amen z panią Fabijańską. Bezdzienna ta dama powzięła do mnie matczyną słabość. Siedząc w otwartych drzwiach sklepu przy kasie, kiwała na mnie zawsze, ilekroć przechodziłem. Kazała nawet ustawić dla mnie krzeselko obok kasy. Chodziło jej też pewno o plotki, ale niecierpiałem mówić o domu. Zwierzyłem się jej tylko, że niebardzo lubię pana Vogta. Zresztą bawiła mnie sama technika sprzedaży, gwarany ruch ludzki i interesowały nawet obroty, które, brzęcząc o marmurek, przepływały mi ciągle pod samym nosem. Rozmawialiśmy dużo o szkole i nauczycielach. Gdy sklep pustoszał na chwilę, pani Fabijańska, patrząc z wyrzutem na męża, groziła mu stale, że mnie usynowi. Pan Fabijański, mężczyzna przystojny i tegi, co jako subjekt przyzenił się do wdowy i sklepu, żartował wtedy grubijańsko, że to nie jego wina, skoro i nieboszyk nie dał rady. Śmieli

się zaraz wszyscy chłopcy sklepowi, pani Fabijańska i ja też.

Było mi tam dobrze, a w domu źle. Próbowałem nawet spóźniać się na kolację. Aż pan Vogt zauważył kiedyś dość ostro, że za jego czasów uczniowie nawet klasy drugiej wracali do domu o właściwej porze. Miał rację i obejmował rządy.

Słuchałem więc teraz pilnie jego opowiadań i patrzyłem na wszystko szeroko otwartymi oczyma. Pan Robert Vogt był naprawdę straszliwie bogaty. Wraz z bratem odziedziczył po ojcu przedsiębiornię w Łodzi o kilku tysiącach robotników. Brat prowadził fabryki, a on — stronę handlową przedsiębiorstwa. Kształcił się w Niemczech i w Szwajcarii, a potem zjeździł cały świat. W Ameryce siedział rok, w Rosji trzy lata. Mówił też wszystkimi językami Europy i wszystkimi źle — po polsku nawet bardzo źle. Wydało mi się, że ze swych podróży wywiózł tylko wiedzę fachową i jakieś niemrawe anegdoty o królach, prezydentach i miliardach. Zajmowały go jedynie interesa. Dbałość o rozwój swych fabryk i własne bogacenie się uważał najszczerzej za ofiarną służbę społeczną. Humoru miał niewiele, tylko ogromną i ponu-

rawą pewnośc siebie. Nie widziałem dotąd nigdy, żeby ktoś pijał tyle, co on: codziennie do kolacji szła butelka wina. Nie wpływało to na jego usposobienie ani trochę; czerwieniał tylko zlekka na policzkach. Zośce podobał się bardzo.

Na rozesłane zawiadomienia przysły od rodziny powściągliwe w serdeczności listy. Tylko dziadek Staś nadesłał matce aż dwa kosze kwiatów i przekaz na kilkaset rubli. Całował w liście z galanterją „piękne ręce pięknej pani“ i prosił, żeby nie żałować pieniędzy „na drobne wydatki“, bo on to pokryje z przyjemnością. Ubrano też zaraz Zośkę jak laleczkę, a i ja dostałem mundur galowy o srebrnych guzach i srebrnym galonie.

Bardzo byłem ciekaw, jak też państwo młodzi poradzą sobie z rodziną Kwietniaków. Aż tu kiedyś w niedzielę zjawił się dziadek Kwietniak w tużurku i uroczyście darował nam wszystkie urazy. Opowiadał z wielką pychą, że nowy zięć był u nich na Ogrodowej, pocałował go w ramię (o tu! — wskazał na klapę tużurka) i „doradzał“, aby rzucił głupią sałatę i wziął się znowu do handlu końmi. Może też jechać do dóbr zięcia w Piotrkowskie hodować stadninę. Ale dzia-

dek Kwietniak nie pojedzie, bo zżył się z Warszawą. Rozumiałem chytrze, że będzie mu tu bliżej do kantoru pana Vogta.

Cichy ślub odbył się u Wizytek. Była babka Irena z mężem, wujem Teodorem (czernił włosy i nie znosił tytułu dziadka), był dziadek Kwietniak, bardzo godny, z przerażoną babcią Pelcią, była babka Jadwiga, był sztywny dziadek Józef, no i był dziadek Staś, wesoły i elegancki jak zawsze. Przy obiedzie weselnym było z początku dość nudno. Babka Irena królowała na pierwszym miejscu z istic monarszym chłodem. Starą panią Vogtową bawił dziadek Kwietniak ku jej widocznej udręce. Ale dziadek Staś swą pańską swobodą rozruszał wszystkich po pierwszej szklance wina. Usiana brylantami sąsiadka zakochała się w nim zaraz, a za nią cały stół. „Cóż to za miły człowiek!“ — powtarzali sobie wszyscy, nawet i pani Vogtowa. Sekował żartobliwie wszystkich, szczególnie zaś grubasa-bankiera, który pękał ze śmiechu. Dziś rozumiem, że dziadkowi szło o kredyt garbarni, ale wówczas wszyscy mu byli wdzięczni. Z ojczymem wyściskali się serdecznie. Pamiętam jeszcze z tego wieczoru, że wtedy piliśmy z Zośką szampana po raz pierwszy, a potem kręciliśmy się długo

„w drobną kaszkę“, wbrew sprzeciwom jej nowej guwernantki - Francuzki.

Nazajutrz wstąpiłem sam do pani Fabijańskiej. Musiałem przecie sprezentować swój nowy mundur. Ale pani Fabijańska, wbrew zwyczajom, ujęła mnie nagle oburącz za głowę i ucałowała w czoło po kilkakroć ze łzami w oczach.

— Oj, dziecko, dziecko...

#### XIV. RYCINA GROTTGERA.

Nazajutrz młoda para wyjechała do Paryża, a my przenieśliśmy się na pierwsze piętro od frontu, do pana Vogta. Było tego jedenaście pokojów, w tem dwa ogromne salony i gabinet. Wszystko kapąło od złocień. I ja miałem w swoim pokoju dywan i weneckie lustro. Był kamerdyner, dwu lokai, lokajczyk i pokojówka. Nad tą służbą sprawiała surowe rządy stara pani Vogtowa; syczała na nich cały dzień jak żmija. Zośką i mną zajęła się m-lle Croissard, przystojna choć starsza już panna niezwyklej dystynkcji, nawet nieco sztywna, jako córka kapitana artylerji. Wodziła nas na spacer y i mustrowała mnie po francusku, alem sobie nie robił z tego wiele; owszem, spostrzegłem nawet, że mimo dystynkcji „sypie oko“ do przechodzących pannań. Powiedziałem jej to wprost — i miałem spokój. Uciekałem też jej stale do kolegów, do

pani Fabijańskiej i do firmy „Leokadja“, która zmieniła teraz szyld na „Sabina“, bo garbus uparł się prowadzić ją na własny rachunek. Witano mię tam owacyjnie. Zresztą chodziłem do szkoły i starałem się gwiźdać na wszystko.

Matka wróciła po miesiącu, oczarowana i zakochana w nowym mężu. Przywieźli nam masę prezentów, mnie — całą drewnianą pakę żołnierzy ołowianych. Zośka rzuciła się zaraz ojczymowi na szyję, a on posadził ją na kolanach i ucałował w oba policzki. Gdyby był pocałował i mnie, możeby wszystko było inaczej. Lecz ojczym podał mi tylko rękę i spytał chłodno:

— No cóż? Jakże tam szkoła?

Matka szepnęła mi szybko do ucha: „Pocałuj w rękę! Pocałuj w rękę!“ Ale już nastrój minął. Nie pocałowałem. Przywitaliśmy się, jak mężczyźni, z życzliwą obojętnością.

A zaraz nazajutrz spadły na mnie skargi całego domu. Aż dziw, że w ciągu miesiąca popełnił tyle zbrodni. Skarżyła się pani Vogtowa, że mruk i nieporządziuch, skarżyła się Francuzka, że arogant i szukam złego towarzystwa, skarżył się nawet kamerdyner, że rozlewam przy myciu wodę i rysuję mu posadzki. Matka płonęła rumieńcem za-

kłopotania. Nie czuła się tu jeszcze panią, o nie! A ja wobec tej nieśmiałości wiedziałem odrazu, że nie stać jej na mą obronę i że jestem dla niej raczej ciężarem. Robiła mi wyrzuty, które przyjmowałem chmurnie. Trzeba też szczęścia, że choć naogół uczyłem się nieźle, któregoś tygodnia dostałem odrazu dwie dwójki\*); wykaligrafowano je pięknie w moim dzienniku czerwonym atramentem. Matka załamała ręce. Co gorsza zwierzyła się ojczymowi. Był to najfalszywszy krok, jaki zrobić mogła. Pan Vogt zajął się odtąd moim wychowaniem z właściwą mu solidnością. Co tydzień stawałem w jego gabinecie z dziennikiem w ręce jak skazaniec. Kiedyś też zajechał przed gimnazjum powozem. Stary Troickij przyjął go uprzejmie, gdyż nazwisko Vogt i związane z niem dostatki znane były w kraju. Gdy wezwano mnie na końcu tej narady, ojczym stwierdził, iż „mimo wszystko“ mogę być dobrym uczniem i kazał mi dziękować jego ekscelencji za opiekę. Odbyłem tę głupią — w moim rozumieniu — ceremonję obojętnie. Zastanowiło mnie przecież owo „mimo wszystko“. Rozumiałem dobrze, że dla Moskala Troickiego owem „mi-

---

\*) Niedostatecznie.

mo wszystko“ był mój ojciec, ale w ustach pana Vogta wydało mi się to niegodne i nieprzyzwoite. Oburzyłem się do głębi serca.

Rezultatem tej konferencji był także mój nowy korepetytor, protegowany dyrektora, pan Sakiewicz, student. Nie mieszkał u nas, tylko odprowadzał mnie ze szkoły i zostawał do kolacji, za co brał wielkie pieniądze. Widok jego granatowego munduru ucieszył mnie bardzo: przypomniał mi się pan Srzednicki, który zdradził mnie z panną Heleną. Niestety! pan Sakiewicz nie miał z Srzednickim nic wspólnego prócz munduru. Był niewielki, nosił pomadowany blond wąsik i zadzierał głowę jak kogut. Gdym zaproponował kiedyś na lekcji, żeby przeczytał mi jakie wiersze, odrzekł ze zdumioną godnością, że nie zajmuje się takimi bredniami. Dla ojczyma powziął uwielbienie i tytułował go „panem prezesem“ z wielką unізonością. Był wstrętny. Wkrótce nie miałem z nim o czem gadać. Na dobitkę włóczył mnie po nudnych spacerach i strzegł od niewłaściwych znajomości.

Co to, to nie! Dybali już na moją swobodę! Nie mogłem się na to zgodzić. Pamiętałem, jak ojciec walczył z matką o moje podwórze na Elektoralnej. Zmykałem też Sakiewiczowi na każdym rogu, jak się tylko za-

gapił. Skarżył się na mnie matce (ojczymowi nie śmiał) i znowu słuchałem wyrzutów, alem nie ustąpił, o nie! Ułożyliśmy się wreszcie, że przez dwie godziny wolno mi robić, co mi się podoba, byłem stawiał się na szóstą w pewnej cukierce, gdzie grywał w bilard. Uważałem złośliwie, że i dystygowana panna Croissard bardzo często załatwia o tej porze sprawunki na mieście. Błogosławiłem ten romans.

Matce stałem wtedy wyraźnie na zawadzie. Pograżyła się cała w swoim nowem szczęściu, jak w różanej kąpieli; wchłaniała otaczający ją zbytek jak roślina słońce. Stała się łagodna i zmanjerowana. Starej pani Vogtowej bała się okropnie i ustępowała jej we wszystkim. Dbała już tylko o swoją urodę i sypiała do południa, a panny z magazynów nie wychodziły z domu. Ojczym był o nią zazdrosny posępnie, jak Otello; zdaje się, że chytrze, po kobiecemu, podniecała to uczucie. Wieczory spędzali z gośćmi lub poza domem. Zośka towarzyszyła im często jako podрастаjąca już pannica; stała się wtedy powierniczką i przyjaciółką matki. Nieraz zastawałem te panie w buduarze, wśród szeptów i chichotów z powodu spraw, dla których nie miałem żadnego zrozumienia. Patrzałem ze zdumieniem, jak szybko przystosowały się do bogac-

twą i jak potrafiły zeń korzystać. Były najwidoczniej szczęśliwe. Zośka pogardzała mną wtedy i nawet chciała mnie pouczyć; kuksalem ją za to dobrze na osobności.

Dużą pociechę miałem wtedy z Kazia Umińskiego. Jego opanowana sztywność podobała się nawet panu Vogtowi. Ten nie pochlebiał nikomu: każdą odpowiedź rąbał jasno, związłe i z dużą pewnością siebie. Bywał u nas w domu i ja bywałem u niego na Franciszkańskiej. Mieszkali ubogo w trzech pokojach, bo majątek zabrano im w powstaniu, ale nosili się dumnie. Okazało się, że Kazik jest stryjecznym prawnukiem generała Umińskiego z Rewolucji 1830-go roku. W rogu jadalni, na honorowym miejscu, stała czeczotkowa serwantka, a w niej widziałeś złożone ze czią na górnej półce generalskie szlify z buljonami, zniszczoną furazerką i parę orderów. Kazik pokazywał mi te relikwie z nabożeństwem. Jego ojciec, drobny urzędnik magistratu, który, aby żyć, dorabiał coś jeszcze przy wyścigach, zbierał przecież z pasją wszystko, co napisano u nas o Rewolucji. I Kazik orjentował się już wcale nieźle w tej biblioteczkę. Posługując się moimi ołowianymi żołnierzami z Paryża, odtwarzaliśmy ze znaczną erudycją bitwę pod Grochowem,

tylko że u nas zawsze przy samym już końcu zwyciężali Polacy: odrzucaliśmy walecznie Dybicza za Bug i Narew. Tak, Kazik był zdecydowanym militarystą. Gdym pytał go kiedyś, czem zostanie po skończeniu szkół, odrzekł mi bez wahania:

— Oficerem.

— Jakim? Rosyjskim?...

— Zwarjowałeś? Polskim.

— Przecież naszego wojska niema.

— Będzie — rzekł krótko.

Nie wątpił o tym ani chwili.

I ja w to wierzyłem, tylko on myślał o regularnym wojsku, ja marzyłem o powstaniu. Akurat właśnie Warszawa ocknęła się po długiej śpiączce. Zaczęła, oczywista, młodzież.

Idąc kiedyś Krakowskim do Zamku na spotkanie Kazika, dostrzegłem zbite tłumy studentów. Wylegli aż po pół jezdni i wydawali się bardzo rozgorączkowani. Co moment odzywał się stamtąd chóralny wrzask, co chwila wznosiły się wgórze pięści i laski. Jakiś wysoki brodacz w mundurze wlaźł nagle na podmurowanie i, trzymając się sztachet jedną ręką, drugą gestykulował ku kolegom z wielkim patosem. Miał mowę. Rozumie się, że za chwilę już tam byłem. Poleciałem, nie

pobiegłem, i przepchnąłem się siłą aż do mówcy. Ten ryczał jak tur. Strasznie kłął jakiegoś profesora Ziłowa, co wysłał był depeszę na odsłonięcie pomnika Murawjowa-Wieszatiela w Wilnie.

— Nie będzie byle kacap nam urągał, koledzy! — darł się mówca. — Bo urąga wtedy całej Ojczyźnie, całej Polsce! Protestujmy! Zerwijmy wykłady! Nie czas na naukę, kiedy nam katów wielbić każą! Precz z Ziłowem, koledzy!!

Pięści i laski znowu poszły w górę.

— Precz! Precz — krzyczał cały tłum jednomyślnie.

— Precz z Ziłowem! — krzyczałem i ja.

Jakaś grupa huknęła nagle: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Usłyszałem to z zachwytem. A już wszyscy zdarli czapki z głów i śpiewali z ogromnym zapałem. Śpiewałem i ja jak najgłośniej.

Ale trwało to bardzo krótko. Mówca zeskoczył nagle z podmurówki i dał nura w tłum, a jednocześnie rozległy się gwizdki. Olbrzymi policjanci rosyjscy zaszli nas z obu stron i zabrali jak w niewód. Chwilę jeszcze trwał rozruch i poszczególne konflikty, poczem pod konwojem ruszyliśmy do cyrku-

łu \*). Zrozumiałem, że i ja jestem aresztowany i przestraszyłem się trochę. Jąłem tedy przeciskać się na skraj szeregu, bliżej ku chodnikowi... Już - już miałem szmygnąć między dwóch policjantów, gdy jeden z nich, siwawy już wąsacz, złapał mnie za rękaw.

— A ty czego się tu kręcisz, smarkaczu! — wrzasnął na mnie po rosyjsku. — Marsz do domu!

I sam wypchnął mnie za kordon konwoju.

Udało się. Szedłem do domu kontent z siebie i nieco dumny, a przede wszystkim podniecony. Byłem już prawie pewien, że niedługo wybuchnie powstanie i któregoś ranka, zamiast do szkoły, pójdę się bić z Moskalami. Obliczałem roztropnie, że nim się naród przygotowuje (broń! broń!), minie choćby z rok albo dwa. Ileż wtedy będę miał lat? „Psiakość! dopiero piętnaście“ — myślałem z irytacją.

Byłem tak podniecony, że przy kolacji musiałem przecież opowiedzieć te wypadki, przemilczając tylko skromnie własny w nich udział. Zastanowiły wszystkich, a ojczym nawet się rozgniewał, po swojemu, spo-

---

\*) Komisarjat policji.

kojnie i na ponuro. Mówił, że studenci mają się uczyć, a nie robić głupich awantur, szczególnie teraz, gdy car Mikołaj zgodził się odwiedzić Warszawę. Czas już wreszcie nabrać rozsądku, zgodzić się z tem, co jest, i rozpocząć bliskie, zgodne współzycie obu narodów, Polaków i Rosjan. Gadał o zależności przemysłu „tego kraju“ od Rosji, gadał o łaskach cesarskich, które nas czekają za uległość; gadał i pił wina czerwonego więcej niż zwykle. Puszczalem to wszystko mimo uszu. Dopiero gdy potępił w czambuł „polskich marzycieli“ (przetłumaczył to zaraz na niemiecki — *Schwärmer*), co wolą siedzieć po więzieniach, zamiast spokojnie pracować — nastroszyłem się odrazu. Wydało mi się znowu, że pije do mojego ojca, tem bardziej, że spoglądał przytem posępnie to na mnie, to na matkę. Matka spuściła oczy, a ja poczerwieniałem z gniewu. Na szczęście spytał wtedy szyderczo panna Sakiewiczza, co słuchał go z nabożeństwem:

— No, a pan, panie Sakiewicz? też się pan awanturuje?

— Ja, panie prezesie? — aż zdziwił się blondasek. — Ja? Ja nie awanturuję się nigdy.

Chciało mi się splunąć na durnia. Naza-

jutrz pobiegłem zaraz do Kanoniczek, do babki Jadwigi, aby upewnić się, że studenci mają rację. O tak! Babka stała za studentami jak mur... Pomnik Murawjowa? Rozumie się, że muszą protestować! Nie mogło tu być żadnych wątpliwości. W babczynym pokoiku dało się wyczuć, że tak samo myśli i szpic — Mirek, i cztery kanarki, i trzepoczące się wróble za oknem. Dowiedziałem się przytem, że w Wilnie nawet na ulicy niewolno mówić po polsku i że szyldy na sklepach mają tylko jeden napis — rosyjski. Przejęło mnie to zgrozą.

W kilka tygodni potem była u nas babka Irena. Należała, oczywiście, do tajnego komitetu pomocy dla studentów, których całemi partjami wywożono do Rosji. Zwracała się właśnie o składkę do ojczyma. Odmówił kategorycznie. Padło przytem, widocznie, trochę ostrych powiedzień, bo rozstali się ci państwo z wzajemną abominacją.

Ojczym należał bowiem do zupełnie innego komitetu, do komitetu przyjęcia cara Mikołaja. Złożył nawet dziesięć tysięcy rubli na dar dla monarchy. Ubolewał, że nie cała Warszawa podziela jego lojalność. O nie! Warszawa była daleka od jednomyślnej lojalności. Myślano przeważnie, jak i ja, że to

wstyd przyjmować cara w Warszawie. Opowiadano sobie szeptem o ciągłych rewizjach nocnych, o aresztach i masowem wysyłaniu „marzycieli“ do Rosji. Uparcie krążyła plotka o zamachu, o podminowaniu części placu Trzech Krzyży; podkop miał się zaczynać w browarze Junga. Po domach krążyły odpisy satyrycznych wierszy na „ugodowców“. Powziąłem odrazu pogardę dla tego stronnictwa: nie chciałem uwierzyć babce Jadwidze, że należy do nich i sam Prus.

W dniu przyjazdu cara stałem na Krakowskim wraz z całą szkołą długie godziny. Widziałem owego sławnego kundla, co, szczwany przez rozbawione tłumy, wyrwał przez pustą jezdnię między szeregami żołnierza od Zjazdu do Belwederu. Salutująca carska sylweta mignęła mi tylko przed oczyma: i on spieszył się bardzo. Walił wyciągniętego kłusa wśród ogłuszającego „hurra!“ wojsk i gawiedzi. Patrzyłem na to w milczeniu.

Ano, ojczym dostał order, a Warszawa Politechnikę i pomnik Mickiewicza. Z Mickiewicza ojczym znowu nie był kontent: uważał, że Warszawa ma pilniejsze potrzeby i że ten pomnik jest zbyt cennym ustępstwem dla „marzycieli“. Słuchałem tego człowieka

z obrzydzeniem. Myślałem sobie złośliwie, co by też odpowiedział, gdyby zapytano go o narodowość. Byłby w tęgim kłopotcie! Niemcem już bowiem być przestał, a Polakiem nie został jeszcze. Był tak obcy w tym kraju, jak ja obcy w jego domu!

Boże! jaki obcy czułem się w tym domu! Mieszkałem tam przecież parę lat, a nie mogłem się przyzwyczaić wcale. Cóż mi z tego, że sypiałem mięciuchno, chodziłem po dywanach, jadałem na porcelanie? Cóż mi stąd? Stokroć wolałem swój twardy siennik w firmie „Leokadja“ i tęskniłem do klusek i kaszy z owych świetnych czasów, kiedy ojciec pisywał jeszcze do nas z Carycyna. Całe ojczymowe bogactwo budziło tylko we mnie niechęć i upokorzenie. Kiedy Sakiewicz z pychą zajeżdżał czasem po mnie do szkoły powozem w parę koni, ogarniał mnie wtedy wobec koleżków, zamiast dziecinnego snobizmu, zwyczajny wstyd, że wszystko to przecie cudze i że właściwie nie mam z tem nic wspólnego, nawet nazwiska. Było mi źle!

A przecież dla wszystkich w tym domku stosunki ułożyły się jak najlepiej. Matka urodziła w tym czasie syna, małego Roberta, i teraz zaczęła naprawdę królować. Poszalały za malcem wszystkie damy: i stara pani Vogto-

wa, i Zośka, i panna Croissard, i pokojówka. Nawet ja musiałem przyznać po roku, że bardzo ładny. A ojczym ledwie nie pękł ze szczęścia i dumy. Zaraz sprowadził z Anglii fachową *nursę*, dla której odebrano mi pokój z weneckiem lustrem, dano zaś mniejszy w głębi korytarza obok pokoju kamerdynera. Żonę osypał klejnotami, a stara pani Vogtowa, wobec narodzin wnuka, oficjalnie ustępując matce pierwszeństwa, darowała jej wielkie rodzinne butony brylantowe. Na chrzcinach było chyba ze sto osób. Przyjechał i dziadek Staś z Radomia. Ledwie spojrzawszy na mnie, nie pytał o nic, tylko uderzył mocno po ramieniu.

— No, no, c łopcze! Nie mazgaić się! — rzekł. — Trzymaj się. I ja długo żyłem wśród obcych.

I dał mi dwadzieścia pięć rubli. Złożyłem je bez uciechy w swojej drewnianej szkatułce obok dukata z Matką Boską i innych złotych monet. Tak. Wszystkim było tu dobrze, tylko ja jeden sterczałem samotnie, jak ptak na gałęzi, każdej chwili gotów do odlotu. Często bywałem wtedy u Kanoniczek, u babki Jadwigi, słuchając dawno przebrzmiałych historyj. Najchętniej o ojcu. Skarzyłem się jej nawet, ale ona, jako ko-

bieta, a i z natury uległa wobec losu, niebardzo mnie rozumiała. Wakacje spędzaliśmy w piotrkowskich dobrach pod czujnym okiem pani Vogtowej (matka jeździła z ojczymem zagranicę). Tam oddychałem wolniej, choć nie było, oczywista, porównania z Zarzeczem! Pani Vogtowa syczała na mnie ciągle, a Sakiewicz nie opuszczał mego boku, jak przylepiony. Ale nauczyłem się paplać po francusku, dobrze jeździć konno i strzelać z floweru.

Minęła tak druga, trzecia i czwarta klasa, przeszedłem do piątej, skończyłem lat czternaście, trochę urosłem, nawet zmądrzałem nieco, a było mi coraz gorzej. Zastanawiałem się nieraz nad tem, dlaczego mi tak źle? Złościłem się nawet na siebie. Rozumiałem, że jestem w tym domu zbyt uczony, ale cóż stąd? I Zośka jest zbyt uczona, a śmieje się od rana do nocy. I zaraz spuszczałem głowę; wiadomo mi było aż zbyt dobrze, że nie tylko jestem zbyt uczony, ale i niemiły.

Ojczym mnie niecierpiał — tu był sęk i sedno rzeczy. Czułem to przez skórę, choć po dwu latach był dla mnie tak samo poważnie dobrotliwy, jak i pierwszego dnia. Coprawda nie pogłaskał mnie nigdy, ale nigdy mi też nie rzekł ostrzejszego słowa. Po-

zornie był obojętny. Ale nieraz łowiłem na sobie spojrzenia, pełne tak ostrej niechęci, że mi się zimno robiło i życie brzydło odrazu. „A przecież i uczyć się dobrze“ — myślałem z goryczą — „i staram się jak najmniej tu miejsca zajmować. Czegóż chce odemnie?“.

Dzisiaj rozumiem. Szło tu o zazdrość. Działała tu poprostu retrospekcyjna zazdrość o mojego ojca. Ojczym był teraz, oczywiście, ideałem dla matki, ale pewnym ideałem — o jakże różnym! — pozostał i mój ojciec. Matka musiała coś zdradzić z tych uczuć panu Vogtowi. Może nawet zrobiła to umyślnie, dla ustalenia swej kobiecej władzy? A ojczym, zazdrosny z natury o każdego spotkanego mężczyznę, stał się teraz zazdrosny o zmarłego. O nieboszczyka, którego w dodatku nie rozumiał i którym raczej gardził. Niezdarnie starał się tępić pamięć o nim w sercu matki. Stąd owe gniewne przemowy o „polskich marzycielach“, stąd podnoszenie własnej „spokojnej pracy“! Były to — ponad moją głowę — skierowane do matki wybieczki przeciw ojcu. Daremne usiłowania! Zmarły był z nim ciągle, mieszkał w jego domu — w mojej osobie. Przypominałem mu ojca i rysami twarzy i ową zasadniczą różnicą charakterów. Mówiłem mu każdym swoim

ruchem, że nie był pierwszy w sercu mojej matki; każdy mój krok stawiał mu przed oczyma wizję pierwszej matczynej wiosennej miłości. Gryzł się. Wściekał się ponuro z zazdrości. Tak, ojczym mnie nienawidził.

Nie rozumiałem tego wówczas, ale czułem doskonale. Było mi bardzo źle. Zależać we wszystkim od człowieka, który cię nienawidzi — to bardzo ciężko. Siadywałem też przeważnie w swoim pokoju, cienkimi drzwiami odcinając się od świata. Płakałem nieraz w poduszkę w tajemnicy przed samym sobą. Zасыpiając, lubiłem marzyć, że pani Fabijańska usynowiła mnie naprawdę i że pomagam w sklepie zamiast się uczyć. Projektowałem, oczywiście, zaciągnięcie się na okręt za przykładem Robinsona i ucieczkę do Ameryki... Ale rozumiałem już świetnie niestety, że to bardzo głupie!

Ojczym też rozumiał dziwactwo swej niechęci do mnie. Bo i dlaczegóż ja tylko przypominam mu ojca, a nie Zośka, którą lubił szczerze? Absurd tego uczucia oburzał i jego. Odczuwał też, że robi mi krzywdę. Jako człowiek przyzwoity, starał się ją naprawić. Na gwiazdkę i przy wszelkiej okazji zasypywał mnie prezentami, tak samo jak Zośkę. Na-

prawdę dbał o moje zdrowie, wychowanie i wykształcenie. Raz nawet sam poszedł ze mną do Müllera, żeby mi wybrać wspaniałe niklowane „turfy“ na ślizgawkę. Udzielał mi isticie ojcowskich rad praktycznych. Wchodził czasem do mego pokoju na inspekcję. Ale cóż stąd! Patrzyć na mnie nie mógł.

Kiedys — było to w piątej klasie, na jesiennym — wróciwszy ze szkoły, zauważyłem w swym pokoju brak na ścianie ryciny Grotgera, mojej ulubionej „Polski“, którą dostałem od babki Ireny! Zaniepokoiłem się.

— Janie! — spytałem ostro kamerdynera. — Gdzie mój obrazek?

— Pan kazał zdjąć.

Zgniewałem się na czerwono, ale badałem spokojnie

— Gdzie go Jan podział?

— A w garderobie. Za szafą.

Poszedłem do garderoby, wziąłem rycinę i zawiesiłem ją na dawnym miejscu. Jan przyglądał mi się, kręcąc w milczeniu głową.

Przy obiedzie ojczym ledwie przywitał się ze mną. Matka zrobiła mi awanturę o nieposłuszeństwo, na którą wzruszyłem ramionami.

Ale nazajutrz obraz znikł ostatecznie. Jan nawet gadać nie chciał tym razem. Nie-

ma — i kwita! Rozumiałem, że próżna tu walka. Autorytet musiał być zachowany. Nie zobaczę już swojej „Polski“. Ano, dobrze. Wieczorem marzyłem znowu o sklepie pani Fabijańskiej...

Zacięliśmy się obydwaj. Milczałem posepnie. I ja miałem do tego człowieka awersję. Znowu mnie chciał pouczać o „polskim marzycielstwie“ — tym razem na rycinie Grotgera. Miałem tego dosyć, ach, jak dosyć!

Milczałem tak posepnie tydzień jeden i drugi. Nie chciałem mówić nawet z Zośką, a matce ledwie odpowiadałem. Zośka urągała mi, że mam „wstrętny“ charakter. Dobrze. Siedziałem u siebie.

Któregoś dnia po południu zaszedłem do stołowego, aby napić się wody. Na ogromnym kredensie stała tam zawsze karafka i szklanka. Nalewałem właśnie wodę, gdym usłyszał za sobą znane mi, ciężkie kroki. Ojczym. Spotkaliśmy się oczyma. Uff! Cóż za niechęć!

I on miał interes do kredensu. Zamiast się usunąć, stałem jak przygwożdżony ze szklanką w ręce, w wielkim mieszanym. Ojczym jakby czekał chwilę. Staliśmy tak obok siebie sekundę, milcząc. I nagle, z gniewu wiadać, szarpnął górne drzwi kredensu z taką

siłą, że dostałem niemi w głowę. Wcale nawet mocno, aż szklanka wypadła mi z ręki.

Zmartwiałem. Zbladłem. Wszystka krew jakby stanęła we mnie. Nie czułem bólu, nie słyszałem brzęku rozbitego szkła. W głowie buczało mi jak dzwon.

Uderzył mnie. Śmiał mnie uderzyć!

Odwróciłem się i wyszedłem z pokoju bez jednego słowa. U siebie wziąłem tornister i drżącymi rękami wrzuciłem doń książki i zeszyty na jutrzejszą lekcję. Wziąłem jeszcze dwie fotografje ojca, starannie owinięte w papier, stare łyżwy - halifaxy, lanekę, a w czystą koszulę nocną owinąłem szczotki i grzebień. Wszystko to zmieściło się w tornistrze. Wysypałem jeszcze do portmonetki swoje złote monety — prezenty dziadków.

I poszedłem z tego domu.

## XV. HOTEL.

Minąwszy szybko sklep pani Fabijańskiej, ruszyłem na Nowe Miasto wprost do dziadka Józefa, jako najbliższego z rodziny.

Otworzył mi stary lokaj Mikołaj, żywa relikwja po babce Izabeli. Najwyraźniej był zaskoczony moją wizytą. Nietylko nie prosił mnie dalej, ale tłumaczył żarliwie, że nie można, że dziadek śpi, i wymachiwał nawet rękoma. W sąsiednim pokoju ktoś brzdąkał na fortepianie jednym palcem i cichutko. Ani mi się śniło wychodzić. Zdjąłem tornister i bardzo energicznie kazałem budzić dziadka natychmiast. Stary protestował gorąco: narobiliśmy trochę hałasu.

Drzwi otworzyły się nagle i do przedpokoju wyjrzała młoda główka kobieca.

— Czy to panna z magazynu? Niech wejdzie.

— Nie — rzekłem mężnie — to ja, Kęcki. Do dziadka.

Panna wyskoczyła na to z za drzwi i, chwyciwszy mnie za rękę, pociągnęła za sobą do saloniku.

Mikołaj machnął ręką rozpaczliwie.

— Kęcki? Józia wnuczek? Wiem. Jaki duży! Znakomicie, żeś przyszedł. Tylko że Józio jeszcze śpi. Ale to nic. Pogadamy sobie tymczasem — plotła.

— O tak — powiedziałem oszołomiony — ja mam czas. Chcę tu zamieszkać.

Byłem naprawdę oszołomiony, bo ta miła panienska z pewnością nie miała lat dwudziestu, a mówiła „ty“ o dziadku Józefie. Czulem nosem coś niedobrego.

Ona zaś ucieszyła się bardzo. Była żywa jak iskra.

— Zamieszkać — aż klasnęła w ręce — to świetna myśl! Będziemy sobie mieszkać we trójkę. Bo mnie się, widzisz, tak nudzi! Jak Józio wyjdzie wieczorem, to już nie wiem, co robić. A jak ci na imię, bo zapomniałam?

— Michał — rzekłem z westchnieniem.

W tej chwili ukazał się sam dziadek Józef w szlafroku. Na mój widok aż cofnął się nieco i spytał ostro:

— Czegóż ty tu chcesz?

— Ja... ja chciałem tu zamieszkać — bałem, strasznie już zmieszany.

— Cóż to za głupstwa?! Przecie mieszkaż u matki.

Nie chciało mi się wobec tej panny nic opowiadać.

— Później to dziadkowi wytłumaczę — palnąłem zniechęcony.

Dziadek Józef wzruszył już sucho ramionami.

— Dobrze. Zaczekaj aż się ubiorę. Choć mieszkać ze mną nie możesz.

I ja rozumiałem już to świetnie. Ale miła panienska wszczęła szalony gwałt.

— Józiu! — krzyczała — Józieczku! Ani mi się waż nawet tak mówić. Będzie mieszkał, bo ja tak chcę! Wszystko już obmyśliłam! Józieczku!

I wybiegła za dziadkiem.

A ja wyleciałem również jak z procy do przedpokoju, porwałem swój tornister i, nie kiwnąwszy nawet głową nieszczęsnemu Mikołajowi, wypadłem na ulicę po trzy schody naraz. „Bądźcie zdrowi“ — myślałem. — „Ale ten dziadek Józef! Tum wpadł, jak Piłat w Credo“. Najgorzej, że robiło się już ciemno i dochodziła siódma, a po siódmej nam, uczniom, nie wolno było chodzić po mieście. Nie

chciało mi się siedzieć jutro w kozie za głupstwa dziadka Józefa. Byłem trochę zgnębiony. Wziąłem dorozkę i kazałem się wieźć do babki Ireny.

Babka od wieków mieszkała w tym samym starym domku, na Widoku, w sześciu pokojach od frontu, ale na trzecim piętrze. Pokoiska były obszerne, chociaż dosyć niskie. Gości z inteligencji proszono z przedpokoju do gabinetu „wuja“ Teodora (jak już mówiłem, czernił sobie włosy i gniewał się na tytuł dziadka), za którym była jeszcze sypialnia obojga starszych państwa. Te tylko dwa pokoje stanowiły prywatny apartament gospodarstwa. Resztę lokalu obróciła babka na hotel i to na hotel chłopski. Bo babka Irena — chłopomanka — posiadała rozległe stosunki wśród włościanstwa, szczególnie w Łowickiem, Krakowskiem i na Kurpiach. Przez jej białe ręce szły w lud masowo elementarze Promyka i książeczki Brzezińskiego. Ze dwa razy do roku musiała zjeździć Królestwo wzdłuż i wpoprzek. Chłopi mieli dla niej cześć i zaufanie bezgraniczne, choć „nie zniżała się do ich poziomu“ ani na chwilę. Niosła im tylko swój niezawodny takt, życiową roztropność i męstwo, dobrotliwą powagę i całkowicie, bez reszty, oddane tej sprawie

serce. Chłopstwo zwało ją „naszą panią“ i owa wrodzona i uderzająca pańskość babki była pewnie nienajpośledniejszą z przyczyn ich uwielbienia. Będąc w Warszawie, poważni gospodarze z różnych okolic zajeżdżali do babki jak w dym; czekała ich tam nie tylko staropolska gościnność, ale i dobra rada. Babka raiła im tanich doktorów i adwokatów, ułatwiała dostęp do szkół i do szpitali, całe gminy nieraz zawdzięczały jej wiele w walce z administracją. Miała też cichutki internat dla ich synów i córek, kształcących się w ogrodnictwie, czy gospodarstwie kobiecym; zawsze też ze dwu najbiedniejszych a zdolnych wychowanków pchała przez całe gimnazjum własnym kosztem. Wsie uważały sobie za zaszczyt, gdy jakiś silnie mazurzący dryblas zasiadał na rok czy dwa w konwikcie „naszej pani“: było mu tam dobrze, bogobojnie, patriotycznie i surowo jak djabli. O pieniądze nie było mowy: odwdzięczano się kurakami, prosiętami i wszelkiem dobrem wiejskiem.

Moskale wiedzieli, oczywiście, o tej babki „robocie“, zwiedzała też parę razy więzienia w Królestwie, ale zawsze na krótko — cóż bo mogli jej dowieść? Była bardzo ostrożna i bezpośredniej propagandy politycznej uni-

kała jak ognia, zalecała nawet uległość władzom, bo „przecież mamy czas“. Nie można było jej nic dowieść, a jednak odwiedzane przez nią okolice płonęły czerwonym wprost patriotyzmem. Wysłano nawet kiedyś babkę na rok do Permy czy Kostromy — i cóż? Wróciła stamtąd z wielkimi stosunkami i znowu wzięła się do swojej chłopskiej pracy. Moskale machnęli na nią ręką.

Jak dziś sobie przypomnę, było to wszystko solidne i rozrzewniające. Samo już mieszkanie dawało wyraz tej działalności. Prywatny „apartament“ był umeblowany rodzinnymi antykami różnego kalibru, miał dywany i wcale niezłe obrazy; drzwi do niego były stale zamknięte wedle rozporządzeń „wuja“ Teodora. Po drugiej stronie, w „hotelu“, panowały gięte wiedeńskie pospolitaki i żelazne łóżka; w jadalni ogromny stół był nakryty ceratą, a pod jednym wielkim oknem stał tu babczyny fotel wolterowski, na którym udzielała długich posłuchań poważniejszym gościom. Nigdy nie widziałem tyłu do kupy zebranych „Kościuszków“, co w tym „hotelu“: były Kościuszki malowane, litografowane, sztychowane, rzeźbione w drzewie, odlane z brązu i lepiące wprost z gliny, jak Adam. Za Kościuszką szedł Kiliński, a za tym znowu

Kazimierz Wielki, król kmotków. Reszcie ścian zajmował Matejko, no i, oczywiście, „Polonia“ i „Lithuania“ Grotgera. Nad każdym łóżkiem żelaznym wisiał ogromny obraz religijny. Było bardzo czysto, ale w powietrzu stała zawsze leciuchna woń juchtu i potu mimo wietrzenia.

Drzwi tego wieczora otworzył mi dryblas Wójcik z siódmej klasy, babczyny wychowanek i przełożony drabów z męskiej stancji. Przywitał się niezgrabnie i zapukał nieśmiało do drzwi „apartamentu“.

Babka zdziwiła się na widok mojego tornistra. W gabinecie, w połowie ledwo mojej opowieści, już ją machać ręką niecierpliwie. Na wieść o wizycie u dziadka Józefa wydała okrzyk zgrozy.

— Jakto?! I u Józefa byłeś?!

— A dokądże miałem iść? Tylko że tam mieszkać nie chcę — uśmiechnąłem się po męsku, choć dyskretnie.

Babka spuściła oczy na chwilę, ale potem gniewała się na mnie bardzo. Jestem nie-mądry, przyczyniam zmartwień matce, mam fanaberje i przywidzenia. Owo uderzenie było z pewnością nieumyślne. Wszystko od a do z — głupstwo. Mam wracać do domu natychmiast, Wójcik mnie odwiezie.

— Nie wrócę — rzekłem posepnie.

— Wrocisz! — zirytowała się babka. — Odeślę cię natychmiast, smarkaczu!

— Nie wrócę — przeczyłem z goryczą. — Nikt mnie bić nie będzie. Jak mnie babcia nie chce, to sobie pójdę.

Jakoż jałem się zabierać. Widziałem się już na placu Teatralnym, u Kanoniczek, u kochanej babki Jadwigi. Ale na to wyszedł właśnie z sypialni „wuj“ Teodor, wyświeżony i pachnący wodą kolońską. Przebierał się i słyszał, widać, wszystko, bo, ucałowawszy mnie w głowę, rzekł krótko:

— Chłopiec ma rację. Nikt nie ma prawa go uderzyć. Zostanie u nas, skoro przyszedł.

Babka jakby osiadła nagle pod tym głosem. Próbowwała tłumaczyć dość nieśmiało.

— Ależ drogi Teodorze... To przecież tylko fantazje. Nawet miejsca dla niego nie mam...

Na pięknie wygolonej twarzy dziadka mignęła leciutka ironja.

— Jak uważasz, Reniu — mówił grzecznie i stanowczo. — Nie masz dla niego miejsca, to znajdzie mu się stancję. Tymczasem zostanie u nas.

Ucałował jeszcze rękę babki, jak księż-

nej, i poszedł do Resursy. *Roma locuta*. Babka nie mówiła do mnie nic więcej, tylko uprzątnęła mi biurko do odrabiania lekcji i posłała Wójcika po matkę. Była zła, a ja byłem kontent i zdumiony występem dziadka Teodora. Miałem go dotąd za pantofla. Tymczasem okazywało się, że ci państwo wiedli tylko w jednym domu dwa życia odrębne, każde dla siebie, na podstawie, widać, milczącej umowy. Dziadek Teodor, do cna zniechęcony ciężkimi przejściami w powstaniu, dzielił swój czas między winta i fachową pracę na kolei Wiedeńskiej, gdzie był wyższym urzędnikiem. Żarliwą działalność babki przyjmował zato ze spokojną rezygnacją, bez zainteresowania, ale i bez protestu. Zdawał się nie dostrzegać nawet owego „hotelu“ we własnym domu. Ożywał się dopiero wtedy, gdy babka siedziała w więzieniu: gryzł się wówczas i robił wszystko, aby wydostać ją jak najprędzej. Tak, bezdzietni ci państwo kochali się na swój sposób — bardzo grzecznie i nieco chłodnawy.

Wkrótce zjawiała się matka z panem Sakiewiczem. Siadłszy na fotelu, gorącemi łzami zlewała moją gramatykę łacińską. Zaczęło się znowu o tem, że uderzenie było z pewnością nieumyślne, że jestem niewdzięczny,

że mam zły charakter i żebym wracał natychmiast. Naciskałem od czasu do czasu mój guz na czole, żeby, broń Boże, nie ustąpić. Ale nie ustąpiłbym i tak. Przyszła mi nawet do głowy świetna myśl.

— Mamusiu! — wtrąciłem wśród matczynych łkań. — I cóż mamusi szkodzi, że pójdę na stację? Będę miał tam kolegów.

Ten ściśle praktyczny argument otarł lzy matki odrazu: ścierałem nim posmak skandalu. Matka westchnęła już tylko i oddała mnie panu Sakiewiczowi.

Ten martwił się szczerze i miał czego, bo tracił pełny żłób. I on próbował mnie przekonywać, alem się zastrzegł ostro, żeby nosa w moje sprawy nie pchał, a raczej pilnował własnych, studenckich, bo wiem przecież — dodałem jadowicie — że wielu z jego kolegów, co nie tchórzili przed Moskalami, dotąd siedzi na zesłaniu w Rosji. Zamilkł i osowił do reszty.

Kolację jadłem na ceracie w licznym towarzystwie. Prezydowała, oczywiście, sama babka Irena, prowadząc ożywiony dyskurs z tęgim, szpakowatym i wesołym gospodarzem w łowickim stroju. Pozatem zasiadło jeszcze do stołu czterech drabów z męskiego

konwiktu pod komendą Wójcika, troje dorodnych dziewcząt i wiekowa pani Suchodolska. Pani Suchodolska straciła męża i dwóch synów w powstaniu w nieszczęsnej bitwie pod Batorzem i odtąd mieszkała u babki. Miała twarz uduchowioną, przejrzystą jak alabaster, a ostrą jak brzytew. Gdy prześmiechy młodych stawały się zbyt głośnie, uśmierzała je samem wzniesieniem brwi. Tak było trzeba. Bo draby patrzyły na dziewczęta żarłocznie, jak wilki, a panny znów rumieniły się jak piwonje. Nabierając leniwych pierogów z kopiastej misy, myślałem, że bardzo słusznie czyni pani Suchodolska, sypiając razem z dziewczętami i to przy samych drzwiach.

Po kolacji Wójcik czytał głośno rozdział „Trylogji“ i wszyscy wzdychali z zachwytem. Siedząc w swym wolterowskim fotelu, babka komentowała jeszcze chwilę ten utwór w rozumieniu patryjotycznym. Chmielnicki przypomniawszy jej Surowowa, za czem szła rzeź Pragi i, oczywiście, wiktoryja Raclawicka. Słuchaliśmy tego z nabożeństwem i poziewaniem, a Kościuszko kłaniał się nam uprzejmie ze wszystkich obrazów.

Spałem w najwspanialszym pokoju hotelowym, razem z wesołym gospodarzem. Le-

żałem już w łóżku, gdy tamten, rozbierając się, zagabnął mnie zniecka:

— A panicz to, słyszę, na mamę się obraził? Co?

— Hm — mruknąłem.

— Bo my, na wsi, to mamy na takie obrazy sposób. Wie panicz?

— Jaki? — spytałem naiwnie.

Gospodarz zdjął rzemyk od pasiastych spodni i machnął nim parę razy w powietrzu: „ciach! ciach! ciach!”

— A taki! — roześmiał się szczerze i gburowato.

Wzruszyłem ramionami ze złością, ale chłop zabrał się właśnie do modłów. Kłąłem więc w duchu, jak mój kuzyn Mietek z Zarzecza. „Chamy!” — myślałem. — „Za to was piorą, żeście chamy!” — Nie wydawało mi się, żebym kiedy został chłopomanem, jak babka.

Gospodarz huknął się jeszcze parę razy w piersi z westchnieniem i powstał. Na widok mojej groźnej miny roześmiał się znowu. Poczem podszedł do mego łóżka i podał mi łapsko wielkie i twarde jak patelnię.

— Nie trza się gniewać — rzekł — bom ino żartował. Pacierz panicz mówił?

— Mówilem — odrzekłem rozbrojony.

— No to spać. Z Bogiem!

Zdmuchnął lampę i zaraz chrapał potężnie.

## XVI. OGRÓD SASKI.

U babki Ireny mieszkałem tylko przez tydzień. Na babce sprawdzała się zasada, że kto odda serce ludzkości, nie ma go dla najbliższych. Coprawda i mnie nie było wygodnie w tym młynie. W moim pokoju hotelowym goście zmieniali się codzień, a czasem panował tam taki tłok, że musiałem sypiać w stolowym na kanapie; nawet lekcyj nie miałem gdzie odrabiać. Zato „wuj“ Teodor zabrał mnie ze sobą do Wielkiego Teatru na „Pana Twardowskiego“, żebym zobaczył przecież staropolski strój choć na scenie. Był to wieczór czarodziejski: wytrzeszczałem oczy, jak talerze, na wszystko, co się działo, i na kontusze z wylotami i na zadziwiające trykoty baletnic. Na tem zresztą skończyła się opieka „wuja“ Teodora. Moim losem zajęła się sama babka Irena gorliwie i z niecierpliwością. Ale nie poszedłem na stację.

Nie. Zamieszkałem w samym Saskim Ogrodzie, u dalekiego kuzyna, Bronka Wiśniewskiego. Bronek jeszcze na uniwersytecie zawarł braterską przyjaźń z Bolesławem Hirszfeldem, bogaczem i właścicielem Instytutu Wód Mineralnych w tym właśnie Ogrodzie Saskim. Dzięki jego stosunkom Bronek dzierżawił kawiarenkę przy Małym Ogrodzie i zajmował Biały Domek przy samem wejściu do Instytutu. Był też, o ile pamiętam, ekspertem kwietników i oranżeryj miejskich, nie jako ogrodnik, lecz jako uczony botanik.

Bronkowi mówiłem „ty“ od maleńkości, bywał bowiem w swoim czasie u ojca dość często. Witał mnie też bardzo serdecznie. A ja byłem w siódmym niebie. Bo pomyśleć tylko — mieszkać w samym Ogrodzie Saskim! W mieście i w ogrodzie! Biały Domek był maleńki, zbudowany w głupowatym „stylu“ Dworca Wiedeńskiego, miał nawet jakąś śmieszna wieżyczkę, ale wśród zieleni bżów i kasztanów bielił się jak cacko. Stary kawaler Bronek rezydował na parterze, a na pięterku — jego ojciec, wiekowy profesor Hipolit, i ja. Poczujęm się tam jak w raj. Przewieziono mi biurko ojcowskie, biljoteczkę, wszystkie pamiątki, a nad biurkiem zawiesiłem z dumą swoją wyprocesowaną „Polskę“

Grottgera. Jak świetnie było się tam uczyć i czytać przy wesołej lampie „błyskawicznej“! Ślizgawkę miałem tuż pod nosem i w ziemi „holendrowałem“ co dnia.

Broniek nie krępował mnie wcale. Był to mąż uczony. Poza ukochaną fizjologją roślin nie obchodziło go chyba nic na świecie. Przesiadywał u siebie na dole w laboratorium, albo w piwnicy, gdzie miał ciemnię. Stały tam maszyny elektryczne i różne nieznanne mi przyrządy, a na oknach, na półkach i wprost na ziemi tłoczyły się słoje z wszelakim paskudztwem. W „laborce“ zawsze też było czuć woń zgnilizny, a nieraz dolatywały stamtąd zapachy tak piekielne, że zamykaliśmy drzwi na górę coprędzej. Wieczorami pisywał też wiele i często przychodziły doń listy z zagranicy, z uniwersytetów, francuskie i niemieckie. Ubrania miał stale popało-  
ne kwasami, ale gębę wesołą i dosyć przystojną, choć nie czesał się bestja nigdy. I to go nie obchodziło.

Nie obchodziła go nawet owa dzierzawiona kawiarenka, z której żył przeciw. Kawiarenka szła zresztą nieźle, bo Mały Ogród cały dzień pełen był dzieciarni, która musiała na szczęście coś jeść na drugie śniadanie i podwieczorek. Rządziła tam pani Julja i rzą-

dziła znakomicie. Pani Julja była przystojna, miała ciemne włosy, bardzo białą cerę i męża w Tworkach, na którego musiała pracować. Stąd pewnie smutek w jej oczach i cicha energja, z jaką pędzała usługujące dziewczęta w krakowskich strojach. Rozjaśniała się tylko na widok kudłatego Bronka. Gdy siadał obok niej przy kasie, podsuwała mu zawsze jakieś rachunki, ale on wzruszał ramionami i plół okropne głupstwa. Twierdził zawsze, że na rachunki ma czas dopiero wieczorem, u siebie w domu: mam wrażenie, że istotnie sprawdzali je nieraz do późna. Najwidoczniej lubili się bardzo i pani Julja miała nawet wpływ na Bronka: dzięki niej strzygł się co dwa miesiące i raz na rok, choć ze wstrętem, przyjmował nasłanego przez nią krawca. Stołowaliśmy się wszyscy w tej właśnie kawiarni i byłoby to bardzo zabawne, gdyby nie ojciec Bronka, stary zrzęda, pan Hipolit (nie lubiłem tego starca); tylko kolacje gotowała nam surowa kuchta Katarzyna.

O ile w domu ojczyma gnębił mnie brak polskości, o tyle u Bronka miałem tej polskości po uszy. Nie przez niego samego, bo i to obchodziło go niewiele, ale przez jego gości. W Białym Domku bywała cała żywa i czyn-

na inteligencja Warszawy. W dnie powszednie przychodzili interesanci, a w niedzielę w saloniku z pianinem na parterze zawsze brakowało krzeseł dla świetnych intelektów: musiałem im nosić je zgóry. Goście ci pracowali przeważnie nad podniesieniem kultury narodowej i nie kryli się ze swemi nazwiskami. Ale zdarzali się i tacy, co mieli tylko imiona i pseudonimy. Oho! ten rodzaj zapamiętałem dobrze jeszcze z dzieciństwa, z ojcowskich czasów, i niektórych poznawałem nawet, choć oni mnie już zapomnieli; nie miałem też żadnych złudzeń co do znaczenia ciężkich pak, przywożonych do ciemni Bronka w piwnicy! Byli to politycy czynni i nielegalni, ukrywający się przed żandarmami. Wszyscy zresztą, nazwiska i pseudonimy, mężczyźni i kobiety, byli weseli, przeważnie bardzo zapaleni i — zdawało mi się — dość gadatliwi. Ja, na swoim miejscu w kąci pod piecem, nastawiałem oboje uszu sztorcem, jak szpic. Mówili wtedy przeważnie o czytelnich Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności i gniewali się bardzo na antysemickie pismo „Rolę“. Spierali się o znaczenie religji w życiu ludu i o wartość społeczną kleru. Wiedli fachowe dyskursy o kółkach rolniczych, wieczornych szkołach dla rzemieślników i ochronkach wiejskich. Marzyli o ka-

sach Reiffeisena i komasacji gruntów chłopskich. Gadali o Poznańskim i Galicji, jakby dla nich nie było kordonów. Klócili się nieraz tego, szczególnie, gdy zdarzył się jakiś zadzierzysty „pseudonim“. Miałem wrażenie, że „pseudonimy“ traktowały „nazwiska“ nieco zgóry, czy też że „nazwiska“ same czuły respekt dla „pseudonimów“.

Najwięcej podobał mi się pewien „Wiktor“.

Był młody, przystojny, dobrze ubrany, nieco pochylony w barach, miał tęgi wąs i litewski akcent. Pod krzaczastemi brwiami szare oczy patrzyły ostro i wesoło. Nie robił sobie z nikogo nic. Śmiał się głośno i często. Pamiętam, że kiedyś, mówiąc o powstaniu, skończył twierdzeniem, że on sam, Wiktor, poprowadziłby je stokroć lepiej. I śmiał się. Kiedyś znowu, wysłuchawszy dyskusji o owych czytelnich, rąbnął krótko:

— No tak! Tylko że my zbudzimy Polskę inaczej.

— Jak? — pytano.

— Siłą!

I śmiał się znowu. Widać było, że nie uwierzył mu nikt, oprócz mnie. O, tak! ja wierzyłem święcie, że Wiktor „wygrałby“ powstanie. Poszedłbym za nim w ogień!

Gdy myślę dziś o tych ludziach, nie mogę oprzeć się rzewności. Cóż to za zapał, cóż za szlachetność, cóż za miłość, cóż za wzniosłość wprost biła z tych twarzy! Wielu pomarło już teraz, a żyć będą ze mną do mogiły; inni starzeją się w szczęściu, że doczekali cudu wedle wiary swojej. Czuję się wśród nich jak w najbliższej rodzinie. Niektórzy znajdowali chwil kilka i dla mnie, smarkacza z kąta pod piecem. Drogi pan Stanisław Krzemiński, członek ongiś Rządu Narodowego, starzec o natchnionych oczach i geście, podchodził nieraz do mnie i, podniósłszy w górę palec, pouczał patetycznie:

— Pamiętaj, synu, że żyć warto tylko dla wielkości!

I całował mnie w czoło.

Drogi, zacny panie Stanisławie! Nie umiałem ocenić cię wówczas: ani twej nieprzebranej erudycji, ani ostrego rozumu, ani proroczych prawie syntez politycznych — nie, tego nie umiałem jeszcze; pokochałem cię poprostu za twoją skromność i dobroć. Tak samo jak pewną wysoką pannę Marję, o pięknem nazwisku, gołębiem sercu i o rysach tak rasowo polskich, że aż chłopskich: ona jedna prowadziła tam ze mną rozmowy jak z do-

roslým: naprzykrzałem się też jej dość często.

Iluz ich było! Pamiętam Bolesława Hirszfelda, wielkiego patryotę, co wybierał się właśnie do Szwajcarii „skończyć żywot chory“ (pamiętam, iż na wieść o jego śmierci Broniek płakał jak bóbr, łkał tak, że i ja, patrząc nań, zapłakałem — a powinna go była płakać Polska cała). Pamiętam Marjana Bohusza, który też miał opuścić nas wkrótce... Pamiętam oboje Bukowińskich, Edwarda Abramowskiego, Stanisława Stempowskiego, Sujkowskich i Nałkowskiego i Posnera, śliczną pannę Sempołowską, panią Wróblewską, i Brzezińskiego i wesołego doktora Radziwiłłowicza. Boże! jakże imponowała mi piękna i surowa twarz Aleksandra Świętochowskiego! A widywałam tam i innych wielkich pisarzy: samego Żeromskiego, i Sirkę, i młodziutkiego Wacława Berenta. Pamiętam pewnego pana Stanisława, o panińskiej cerze i bujnem owłosieniu, prawie młodzieńca jeszcze, a urodzonego organizatora, co konsekwentną energją potrafił kierować do wspólnego młyna i najburzliwsze wody...

Byłem wtedy ogromnie zajęty. Przedewszystkiem, nawet bez pomocy głupiego Sakiewicza, zacząłem uczyć się świetnie, bo po-

prostu lekcje zaczęły mnie zajmować. Pokochałem łacinę i grekę, pasjonowałem się do historii, matematyka ujęła mnie w swoje chłodne tryby. Zabierało to sporo czasu. A tu, jak na złość, stałem się znowu „chłopcem na posyłki“. Wyśługiwał się mną tym razem cały zespół Bronkowych gości. Gdy trzeba było coś załatwić bardzo konfidencjonalnie, szło się jak w dym do Michasia. Michaś — tu! — Michaś — tam! Nosilem różne podejrzone paczki, pozornie niewinne bileciki, a nieraz musiałem w Saskim Ogrodzie uczyć się na pamięć kilku niezrozumiałych dla siebie zdań, by wypowiedzieć je bez błędu pod wskazanym adresem na Wolskiej czy Stalowej. Ceniono we mnie wielce, iż nie pytałem o nic nigdy — i tak nie było mi tajne co się święciło! Im bardziej jednak ceniono moją dyskrecję, tem więcej musiałem ganiać. A wszystko natychmiast i nagwał! Pamiętam jak „Wiktor“ pchnął mnie kiedyś wprost z pod pieca na Targówek; laziłem trzy godziny z dumą i marzeniem o jego wdzięczności; ale! nawet mi nie podziękował: powiedział — dobrze! — i koniec. Jakoś w zimie z połową „gości“ zabrano do Cytadeli, ale cóż? ocalała połowa używała na mnie dalej. Mam wrażenie, że wyzyskiwano mnie trochę patryjotycz-

nie, ale znosiłem to z pychą. U wysokiej pan-ny Marji na Koszykowej musiałem być prawie codzien: bywałem, choć skracało mi to czas ślizgawki.

O! żyłem wtedy znakomicie i rozwijałem się z dnia na dzień jak pąk. Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie stary gdera, profesor Hipolit. Pan Hipolit wykładał niegdyś w Szkole Głównej; kiedy rząd założył Uniwersytet, podał się do dymisji, bo nie chciał uczyć się po rosyjsku. Pięknie. Ale poświęcenie to wywołało w nim, niestety, urazę do życia, do narodu i do całego świata. Stetryczał na amen. Wykładał już tylko na pensjach, ale lekcyj miał niewiele, bo wszystkich zrażał jego nieznośny charakter. W dodatku cierpiał na podagrę i ataki bólu wystukiwał nam laską ze złością. Z Bronkiem usiłował kłócić się czasem, ale ten uciekał zaraz, machnąwszy ręką. Moja obecność przynosiła mu niestety, ulgę: miał wreszcie na kogo gderać.

Wszedłszy do mego pokoju zaraz po przeprowadzce, rozglądał się po nim z obrzydliwością. Końcem laski dotknął mej lanki, mych Halifaxów i kiwał głową pogardliwie. Widok „Polski“ Grotgiera nad biurkiem rozgniewał go wyraźnie.

— Grottger. Hm... Grottger — mrucał.  
— Już i bębnom tę truciznę szczepią! Powstanie było głupie!! Rozumiesz, smyku?! Głupie!

Obraziłem się za powstanie. Nie wiedziałem, że cała Szkoła Główna poszła za Wielopolskim, a przeciw powstaniu. A gdybym był nawet wiedział, to i tak straciłbym całą sympatię do tego starca.

Czepiał się mnie odtąd o wszystko. O proste trzymanie się przy stole, o plamy na mundurze i o zabłocone buciki. Ale najbardziej gniewała go moja nabożność.

Bo byłem wtedy naprawdę pobożny. Ocknęło się we mnie gwałtowne pragnienie Boga. Wszystkimi siłami duszy pragnąłem zbliżyć się do Niego, zbliżyć się poprostu, jak szczerze kochające dziecko. Chciałem mieć Ojca w niebie. Nie było w tem, rzecz prosta, żadnych mistycznych wzlotów, tylko ogromna dziecinna ufność. Rzecz można, iż tuliłem się do Boga. Przed szkołą wstępowałem co rano do św. Antoniego na Senatorskiej, poczem oddawałem dziadom wszystkie pieniądze i nawet śniadanie, wręczone przez surową Katarzynę. Chciałem, żeby moja miłość do Boga była czynna— i głowa bolała mnie z głodu na lekcjach. Byłem bardzo niemądry. Za jakieś

przewinienia dodawałem sobie do pacierza litanje, i jeszcze litanje, to też moje wieczorowe modły trwały tak długo, że aż kolana mi cierpły.

Złapawszy mnie kiedyś na tych praktykach, pan Hipolit ledwie się nie wściekł z niepojętej dla mnie irytacji. Jął walić laską o podłogę z takim łomotem, że aż Broniek przyleciał z dołu, jak na pożar.

—A to co znowu?! — wrzeszczał profesor. — Co to znów za zabobony w tym domu!! Na dewotkę mi się tu kierujesz, głupcze?! Niema żadnego Boga!! Ja ci to, stary, mówię! Niema żadnych bogów! Wszystko głupstwa!! Głupstwa!!

Walił laską i pieniał się poprostu. Przestraszyłem się — toć ten starzec bluźni! wyraźnie — bluźni. Drżałem na całym ciele. Aż Broniek jął łagodzić, machając po swojemu ręką:

— Dałby ojciec chłopcu spokój! I tak mu to czasem przejdzie.

— Nie przejdzie. Wcale nie przejdzie! — rzekłem gorąco.

Stary wściekł się znowu, ale nie mógł już gadać z zadyszki. Groził mi jeszcze laską zdaleka, na co wrzuszaliśmy tylko ramiona-

mi, ja i Broniek. Poszedł wreszcie z okropnem sapaniem.

A nazajutrz przyniósł mi ładnie oprawną książkę Drapera: „Dzieje stosunku wiary do rozumu“.

— Masz tu ode mnie. Przeczytaj zaraz! — nakazał. — Przeczytaj mi koniecznie!

Był to dar Danajów. Czytałem tę książkę, a nawet musiałem czytać, bo mnie egzaminował. Napęliła mnie przerażeniem. Nie miałem jeszcze pojęcia o krytycyzmie, ani o dystansie historycznym. Oddano mnie na pastwę ordynarnie komentowanych faktów. Żałowałem Giordana Bruna i Galileusza, zniechęciłem się do św. Dominika i widziałem ognie Inkwizycji na placach Salamanki. Pocieszyło mnie trochę, że i Kalwin spalił w Genewie Servet'a. We łbie miałem chaos. Modliłem się gorąco co wieczór w ciemnościach, żeby nie drażnić pana Hipolita, a serce ssala mi troska. Musiałem z tem coś począć. Próbowałem dręczyć Bronka, ale machał mi na to ręką ze zwykłą obojętnością. Poszedłem więc do spowiedzi.

Spowiadałem się już oddawna nie u prefekta, tylko u proboszcza naszego kościoła szkolnego. Tego zacnego księdza znała cała młodzież Warszawy z tego, że ją kochał.

Przychodzili doń zbrodniarze ze wszystkich szkół, oczywista ze starszych klas, z bardzo ciężkimi grzechami: nie odchodził odeń nikt bez pociechy. Mnie znał już dobrze. Zawsze przygaszał nieco moje uniesienie: niecierpiał zelantyzmu. Ale dziś, gdym zaczął bełkotać o swoim Giordanie Brunie i św. Dominiku, starzec zdziwił się i zmartwił bardzo. Wypytał mnie o wszystko dokładnie, o pana Hipolita i o Drapera. Wzdychał ciężko. Nie usiłował wojować z Draperem w konfesjonale. Polecił mi oddać sobie tę książkę na przechowanie i unikać innych, podobnych. Dał mi wreszcie rozgrzeszenie i kazał iść za sobą do zakrystji.

Tu modlił się długo sam, a ja stałem bezradnie, pełen swojej winy bez winy. Złożył mi wreszcie dłoń na ramieniu i rzekł z głęboką boleścią:

— Piotr zaparł się Pana potrzykroć, a ty, synu, zaprzesz Go się trzy tysiące razy.

— O nie, księżu!... — obruszyłem się z żalem.

Pokiwał tylko smutnie siwą głową i kazał mi klęknąć przed obrazem Męki. Sam ukląkł koło mnie.

— Odmówimy jedyną modlitwę, jaką nam Pan przekazał. Za ciebie i za tego nie-

szczęsnego starca. Powtarzaj za mną głośno.  
*Pater noster, qui es in coelis...*

— *Pater noster qui es in coelis* — powtarzałem ze łzami w oczach.

## XVII. WIOSNA.

Dorastałem. Kończyłem szesnasty rok. Jąłem rość śmiesznie szybko, jak szparag. Matka za każdą wizytą otwierała szeroko oczy: znowu byłem dłuższy o kilka centymetrów! Zanim zdążyła mi coś sprawić, chude łapska wystawały mi z rękawów o łokieć, a spodnie miałem po kostki. Stałem się z dnia na dzień wysoki i łąziłem na swych nowych długich nogach z niezdarną gracją, jak żyrafa. W barach byłem zresztą szeroki, a w biodrach wąski. Wiele mam do zawdzięczenia panu Hipolitowi: cały dzień ryczał na mnie, żebym się trzymał prosto (może i lubił mnie trochę, kto go wie?).

Sam, osobiście, przyjąłem te zmiany ze zdziwieniem i pewną niechęcią. Bo i w duszy coś popsuło mi się nagle. Mój dość ostry charakter stopniał jak воск; owładnęła mną tkliwość i tonąłem w bezprzedmiotowej czułości. Znowu zatęskniłem do poezji. Pochła-

niałem arcydzieła z czytelną jak krem z czekoladą, do przesyty. Ledwie nos mi wystawał z toni romantycznych melodramatów. Wiktor Hugo trzasnął we mnie jak piorun. Milcząc ponuro, wołałem o Cosettę. Odkryłem Słowackiego i kułem weń nosem jak żóraw.

Był kwiecień. Kasztany gotowały się do wybuchu, miały już pączki bzy i wszelka krzewina. Ptactwo poszalało i budziło mnie codzien o szóstej. Świeciło radosne słońce. Szedłem zaraz na inspekcję zieleni w puściutkim ogrodzie. Było puściusienko. Pachniało poruszoną ziemią. Klepałem po drodze pomniki sztuk i nauk i mówiłem na głos Słowackiego. Dla samego siebie. Rzeczy — oczywiście — najposepniejsze.

*„Bądź zdrowa! Drugi raz cud się powtórzy:  
„Martwy, odemknę Ci w grobie ramiona,  
„Kiedy ty przyjdiesz, do zbielelej róży  
„Podobna, zasnąć...*

*„Zasnąć... —* powtarzałem wzruszonym falsetem, przyciskając dłoń do piersi. I oto na zakręcie ujrzałem maleńki krzaczek pokryty żółciutkiemi listkami. Aż mi dech zaparło. Pośród ogromnych nagich drzew był tak strasznie naiwny i odważny. Pierwszy wypuścił listeczki, delikatniejsze od różanych

płatków. Zaryzykował. Miał ufność do świata. Pochyliłem się nad nim — i z oczu trysnęły mi bezsensowne łzy. Wściekłem się na siebie. „Baba! baba! i dureń!“ — urągałem sam sobie. A musiałem płakać dalej.

Tak. Stałem się ohydnie płaczliwy. Właśnie umarł był nagle dziadek Józef i na pogrzebie zbeczałem się, jak bóbr, choć nie czułem doń przecie wielkiej miłości. Z byle powodu stawały mi w oczach wielkie łzy, jak kretynowi. Złościłem się na siebie ciągle. Co by powiedział dziadek Staś, widząc, że kieruję się wyraźnie na beksę i ślamazarę!

Moja egzaltacja religijna też dosięgła wtedy swego zenitu. Działo się to za wpływem kolegi Józia Grabowskiego, co z siódmej poszedł na księdza. Spotykaliśmy się często na owych modłach porannych u św. Antoniego przed tym samym ołtarzem. Uśmiechał się do mnie nieśmiało jak do wtajemniczonego, a kiedyś zagadał pierwszy. Była to chłopaczyna niewielka i szczupła, o ostrej brodzie i gorejących oczach. Pochodził chyba z Frankistów, czy też miał matkę Żydówkę, bo sztywne czarne włosy wiły mu się, jak murzynowi. Uczył się kiepsko, był dziwacznie cichutki i pokorny i jakby stale nieprzytomny. Na lekcjach czytywał pod ławką rzeczy

zdumiewające: „O naśladowaniu Chrystusa“ i listy Franciszka Salezego. Siadywał często z zamkniętymi oczyma i stężałą twarzą: modlił się? czy odprawiał medytacje? Prefekt, arystokrata z rodu, ksiądz surowy i dumny, traktował go zapobiegliwie jak cieplarnianą roślinę; rzecz można, iż z pewnym szacunkiem i prawie z czułością. W klasie miano go za idjotę.

Przebywaliśmy teraz razem dość dużo. Józio nie pochwalał oddawania śniadań dziadom, choć doceniał wagę czynnej miłości. Nie. Od tego są dewotki. Wynałazł natomiast pewną nieszczęsną rodzinę, której pomaga, jak może. Niestety, może bardzo niewiele, bo nie jest zamożny. Zaprowadził mnie też do swego szewca Poniatowskiego na Stare Miasto. Szewczyna miał sparaliżowane nogi, ale był zadzierzysty i z łóżka nawet rządził liczną rodziną. Lubił czytać i książki uderzyły mu do łba. W czasie pierwszej wizyty perswadował mi długo, że jest herbu Ciotek i skuzynowany ze Stanisławem Augustem. Może i miał rację. Dałem mu złote pięć rubli dziadka Stasia, bo i co miałem robić z takimi koligacjami? Przyjął to z godnością, a pani Poniatowska kłaniała mi się bardzo nisko. Wracając, słuchałem wstydliwie gorącego

monologu Józia o zachwyceniach św. Teresy i o tem, jak strasznie kocha św. Franciszka z Asyżu. Miał przy tem łzy w oczach.

Słuchałem wstydliwie, bo czułem się niegodzien tych rozmów. Gnębiła mnie świeżuchna męskość. Jakże tu mówić o św. Teresie, gdy moje noce pełne były wizyj raj Mahometa? Nagie hurysy kiwały na mnie w śnie cudnymi rączkami. Nie jedna i nie dwie — całe masy. Przypominały nieprzyzwoite ilustracje do starego wydania „Bajek“ Lafontaine’a, które widziałem w dzieciństwie na biurku dziadka Józefa. Och, jakież czyniły gesty! Często miałem którąś tuż, na poduszce, przy kołocącym sercu: patrzyła na mnie dziwnie z pod ogromnych rzęs. Czułem wtedy niewysłowioną błogość i budziłem się gwałtownie.

Nielepiej było i w dzień. Wcale nie lepiej. Drapieżnemi oczyma, jak hakami, zdzierałem natychmiast suknie z każdej ładniejszej kobiety. Na widok nagiej szyi ślina lepiła mi się w ustach jak żywica. A przecie nie chciałem tego! Ach! jak nie chciałem! Miałem siebie samego w pogardzie i obrzydzeniu. Zwierzę! Wydawałem się sobie anormalny i pełen perwersji. Wspomnienie religji wstrząsało mnie skruchą i żalem.

Ach, jak trudno jest żyć! Czulem się nieczysty jak żyd po zetknięciu się z trupem. Akt miłosny zdawał mi się brutalny, pełen grzechu i zła. A pragnąłem go przecie! Staralem się z tem walczyć. Chodziłem ze spuszczone-  
mi oczyma, żeby nie patrzeć. Cóż z tego? Zrobiłem wtedy przerażające odkrycie, że kształt nóżek kobiecych jest piękny. A krakowskie dziewczęta w naszej kawiarni miały krótkie sukienki. Naprawdę życie jest bardzo trudne!

Podczas obiadów rumieniłem się co chwila jak piwonja i na pytania mamrotałem coś pod nosem tak głupio, że zwróciło to nawet uwagę Bronka, który przywiązał się do mnie z serca. Zawołał mnie zaraz do siebie i pouczał prawie z gniewem, żebym nie oddawał się czasem samotnym marzeniom, bo to świństwo, i unikał jak ognia „tych tam z ulicy, co zaczepiają mężczyzn“... Patrzałem nań okrągłemi ze zdumienia oczyma: ani mi to było w głowie. A i on, zacząwszy z ferworem, pomалу, patrząc na mnie, jął bełkotać z irytacji, aż, zaczerwieniony do łez prawie, ryknął wściekle: „A niechże cię djabli, osłe jeden!“ — i wyrzucił mnie za drzwi.

Teraz wziął się do mnie profesor Hipolit. Wziął się metodycznie. Przyniósł dwa atlasy i kazał mi je przeglądać; w jednym widzia-

łem najintymniejsze części ciała kobiecego w przekrojach wzdłuż i wpoprzek, w drugim wstrętne skutki najsmutniejszych chorób. O przeklęte atlasy! Były to rzeczy straszne! Były to rzeczy okropne! Znowu zakreśliły mi się łzy z żalu nad samym sobą. O, straszne atlasy! Cóż bo jest człowiek? *Pulvis, ciner et nihil*. Cóż jest miłość?!

A pan Hipolit tkał starczym palcem w atlas ze śmiechem.

— Ładne piersiątko, co? Ładne? Podobają się młodym chłopcom?

Głupi, zły pan Hipolit! Głupi! Bo już nazajutrz zapomniałem o jego wstrętnych atlasach. Prześliczne atlasowe piersi kobiece! Głupi pan Hipolit! Kochałem się już w nich wtedy, choć nie wiedziałem jeszcze, jak są czarujące, jak potrafią być wdzięczne i wzruszone!

Piersi kobiece! No tak, burzyła się we mnie krew i burzyła się cała młodzieńcza niewiedza o życiu. Brał górę zdrowy instynkt. Chwilami rozpierała mnie wściekła pycha, żem oto dorósł, żem mężczyzna, żem mocny i mogę wyzwać cały świat! Precz z umartwieniem! Musi być dobrze, jak jest, skoro czuję w sobie potęgę! Precz z grzechem! Rozwierałem ramiona i przeciągałem się tego i roz-

kosznie. — Znowu tęskniłem za ojcem. O, on-  
by mi wytłumaczył moje rozterki prosto,  
nie jak pan Hipolit i nawet nie jak Broniek!  
Całowałem jego blaknącą już fotografię.  
Czekałem, że może się odezwie. Czekałem  
cudu.

Przyszedł, oczywista. Była piękna i mia-  
ła ze dwadzieścia pięć lat. Była naprawdę  
piękna. Gdy Broniek posłał mnie do niej po  
raz pierwszy, osłupiałem z nadmiaru tej uro-  
dy. Ledwie mógł przemówić. Królowa. Wy-  
soka, kształtna, o rysach bogini i wielkich  
zimnych oczach. Kiwnęła mi głową chłodno,  
jak paziowi. Byłem też jej pazim dość dłu-  
go, choć nie dowiedziała się o tem nigdy i nie  
wie po dziś dzień. Och, było to śmieszne!  
Zbiegałem po trzy schody i mówiłem sobie  
ze wzruszeniem: „Królowa. Moja królowa“.

Zginąłem marnie. Oszalałem. Myślałem  
już tylko o niej. Z niesłychanym nakładem  
odwagi i sprytu wyciągałem od Bronka cen-  
ne informacje. Kudłaty Broniek raz tylko  
łypnął na mnie okiem po łobuzersku, zresztą  
odpowiadał chętnie i wyczerpująco. Rozu-  
miał mnie, gałgan, świetnie i popierał tę mi-  
łość. O tak, była jeszcze panną („Jak i ja!“—  
myślałem z zachwytem). Kobieta z wyższem  
wykształceniem, bardzo poważna (cudownie!

cudownie!). Pracuje w „kulturze“, ale chy-  
ba jest socjalistką. Rozumie się, iż zostałem  
natychmiast socjalistą, jak mój ojciec i jak  
panna Marja (królowa Mary! — bo z na-  
tchnień pana Krzemińskiego czytywałem już  
wówczas Shakespeare'a). Pękając pewnie  
z mej dyplomacji, łotr Broniek zapytał mnie  
kiedyś półgębkiem i obojętnie, czybym nie  
zechciał czasem jej pomagać (Jej pomagać!)  
w Czytelni Naukowej — róg Marszałkowskiej  
i Alei? Kochany Broniek! — zarumieniłem  
się do łez i odmówiłem surowo. Nie śmia-  
łem. Nie mogłem. Nie wiem, czybym zniósł.  
Nie byłem godzien. Siadywałem zato w tej  
Czytelni co popołudnia ze srogą miną nad  
„Matin'em“ i „Illustration“. Pasłem nią oczy  
i drżałem, żebym nie musiał się kłaniać.  
Oczywista, nie zauważyła mnie wcale. — Zna-  
lażłem kiedyś jej fotografię w witrynie na  
Nowym Świecie (bo naprawdę była piękna).  
Zrobiłem gwałt w tym zakładzie. Wywlokłem  
łysego fotografa na ulicę i musiał wyjąć ją  
przy mnie. Pękał ze śmiechu, twierdząc, że  
sprzedać jej nie ma prawa, choć dawałem  
rubla i dwa. Zaśmiewał się do łez. Mogę ją  
oglądać tu, w pracowni, choćby i przez go-  
dzinę. Był to człowiek zacny: wyszedł na  
chwile. Wtedy chwyciłem fotografię i —

w nogi. Ukradłem. Ukradłem i nosiłem ją w pugilaresie, tylko w lewej kieszeni, na sercu. — Wogóle oczadziałem. Wszystkie drogi w tem mieście prowadziły przez ulicę, co miała szczęście ją gościć. Spacerowałem pod jej oknami jak sztyldwach. Zapisalem się na „Uniwersytet Latający“, by słuchać z nią razem wykładów Mahrburga. — Skretyniałem na amen.

Najzabawniejsze, że właściwie nie podobała mi się wcale. Stokroć bardziej działały na mnie nasze dziewczęta w krakowskich strojach. Och! nie śmiałem dotknąć tej urody nawet myślą. Wibracja tego uczucia była tak wysoka, że już sam nie słyszałem go wcale. Był to jakiś już inny poziom i inny wymiar, zupełnie bezsensowny. Uśmierzała me zmysły, jak zimna kąpiel. Nawet nie śniła mi się nigdy, a odpychała od innych kobiet. Było mi znowu spokojnie, świetnie i niemądrze. Miał rację Bronek! Oho, Bronek, choć bardzo uczony, nie był taki głupi!

Przyszedł pierwszy maja tamtego roku. Zwagarowałem, bo byłem tego dnia bardzo zajęty. Dostałem raniutko naglące wezwanie od szewcowej ze Starego Miasta, abym wstąpił tam koniecznie, przedewszystkiem zaś

miałem na głowie szykującą się na dzisiaj manifestację socjalistyczną.

Zamiast do szkoły, ruszyłem tedy do panna Poniatowskiego. Tu spotkała mnie pierwsza przykrość. Pan Poniatowski wydał mi się od samego rana bardzo podekscytowany: gadał więcej niż zwykle i bardzo jakoś złośliwie. Daną mu przez Józia książkę nabożną zwrócił mi ze śmiechem. Szewcowa prosiła o trzy ruble. Miałem przy sobie tylko dwa. Wyszedłem niekontent, ale musiałem wrócić się z bramy po ową książkę, której zapomniałem. Wtedy doszedł mnie przez drzwi niemily wrzask królewskiego kuzyna:

— Poszedł wreszcie ten szczeniak?! Co zostawił? Dwa tylko?! O, ścierwo sobacze! Felek, dymaj po wodę!

Brakowało mi, widać, jeszcze chrześcijańskiej pokory — obraziłem się. Bo dobrze, że „szczeniak“, ale poco zaraz „ścierwo“? Nie liczyłem, coprawda, na wdzięczność tego szewca, a przecież jego wymysły mnie ubodły. Ubodły w sensie nikczemności natury ludzkiej wogóle, w sensie nędzy wszelakiego uczucia. Cóż jest człowiek? Wyszedłem na ulicę nieco przygnębiony i smutny.

Otrząsnąłem się już na Placu Zamkowym. Pal djabli szewca! Miałem stokroć

ważniejsze rzeczy do załatwienia! Trzymałem przecież w ręku, jak buławę, zwinięty w rurkę zeszyt w jaskrawo-czerwonej okładce, bom śpieszył właśnie na ową manifestację socjalistyczną. Musiałem tam być nie ze względu na swoje młodziutkie przekonania (roilo mi się głupiuchno w łepiecie, że chodzi tu o równy podział dóbr ziemskich, co wydało mi się bardzo i bardzo rozsądne). Nie. Gdyby chodziło tylko o ten podział dóbr, poszedłbym raczej zwyczajnie do szkoły. Nie—szło tu o sprawę ważniejszą. Piękna panna Marja, jako socjalistka, będzie pewno na tej manifestacji, musiałem więc być i ja. Szedłem jej bronić. Głucha fama rozniosła po Warszawie, że będzie to pierwsze masowe wystąpienie; nie wątpiłem o ostrych represjach. Jakiś kozak-barbarzyńca mógł przecież zdzielić ją nahajem równie dobrze, jak kogo innego. Ja! Królową Mary! Bładłem na tę myśl. Musiałem jej bronić! Szedłem jej bronić z czerwonym zeszytem w ręce.

Fama miała rację. Już na Placu Trzech Krzyży tłumy stały zbite, jak na procesji. Przedzierałem się przez nie z trudem i rozpaczą. Szukać w nich panny Marji, było to szukać szpilki w trawniku. Szukałem przecież. Rzuciałem się jak szczupak w sieci. Pod

cukiernią Sans-Souçi usłyszałem po raz pierwszy w życiu śpiew „Czerwonego Sztandaru“. Nie obeszło to mnie nic a nic. Biegłem dalej. Ulica Piękna, Szopena, Aleja Róż! Niema panny Marji! Zapuściłem się aż pod Belweder.

To mnie ocaliło. Bo przeciw tłumom wystąpili i żandarmi, i kozacy, i piechota gwardji. Wracając, słyszałem tylko daleki ryk i zgiełk. Było już po wszystkim. Zabrano manifestację do Cytadeli. Tu i ówdzie widziałem już tylko porzucone kapelusze i laski. Wojsko odeszło. Pozostałe oddziały policji patrzyły podejrzliwie na mój czerwony zeszyt. Skręciłem w Piękną ze strasznym zmartwieniem. Pewno zabrali i pannę Marję. Nie obroniłem jej! Nie umiałem jej obronić!

Niebo zawlokło się chmurami i począł mżyć ciepły deszczyk wiosenny. Wróciłem tramwajem do domu, zgnębiony i głodny. Dzieciaki z Małego Ogrodu rozeszły się przed deszczem, w naszej kawiarni było pusto. Panna Julja siedziała przy kasie jak zwykle. Poszedłem do kuchni po szklanę mleka. W korytarzyku spotkałem jedną z dziewcząt, czarną Weronkę o ładnych nogach. Może i cza-

towała na mnie, bo odrazu spytała ze śmiechem:

— Czego to pan Michaś taki smutny?

Wzruszyłem ramionami i chciałem iść dalej, ale ona objęła mnie nagle za szyję i przycisnęła sobą do ściany. Całowała mnie, nimem się opamiętał. Buchnęły na mnie wary. Czułem jej uda na swoich, a odpychając dziewczynę, miałem pod rękami jej piersi. Mocowaliśmy się dłuższą chwilę: nie mogłem przecież miażdżyć tych ślicznych twardych półkul! Starąłem się rozplątać siłą jej ręce, a ona wcisnęła się we mnie cała. Och! nie mogłem tego wytrzymać! Ulegałem, a w głowie tłukła mi się żałosna myśl: „Cóż za zdrada! Cóż za ohydna zdrada!”

Wtedy właśnie zjawiła się na hałas pani Julja. Krzyknęła na Weronkę, a mnie wyprowadziła za rękę jak smarkacza. Mimo wszelkich wysiłków z oczu sypnęły mi się łzy jak groch. Pani Julja spojrzała na mnie ze zdziwieniem i kazała usiąść przy sobie. Gładziła mnie lekko po włosach, ucałowała nawet w czoło i przytuliła wreszcie moją niemądrą głowę do własnej piersi. Mówiła tkliwie jak matka:

— No i co ci się stało tak złego? Któż cię

znowu tak skrzywdził? Uspokój się... Ty głuptasie! Ty duży głuptasie!

Wstrząsał mną głęboki szloch. I żalu, i wdzięczności. O, piękne, dobre, przytulne, atlasowe piersi kobiece!

### XVIII. KONSPIRACJA.

Wakacje spędziłem w Zarzeczcu u wujostwa Rokossowskich. Ciotka Genia ze zwykłym taktem nie pytała mnie wcale o przejścia w domu pana Vogta — zaprosiła poprostu do siebie, bo nie miałem gdzie się podziać. Opanował mnie tam dziki głód: żyłem po to, aby jeść. Na kredensie w jadalni stały całe lato dzieje słodkiego mleka prosto z piwnicy — pijałem tego z garniec dziennie. To też pod koniec wakacji stałem się wyraźnie niedźwiedziowaty w barach. Próbowałem tej siły na meblach, na koniach i na Mietku, który, po licznych zmaganiach, musiał z głuchą wściekłością uznać moją przewagę. Wróciliśmy do domu złachani jak psy i zaraz po wieczornej kąpeli spaliśmy kamiennym snem. Nie było tu miejsca na eteryczną miłość, ani na erotyczne marzenia. Uznałem dziewczki folwarczne za brzydkie i brudne, a pokojówkę mieliśmy z ramienia ciotki:

w wieku kanonicznym. Mietek traktował tę sprawę z ordynarnym humorem, podkochując się równocześnie w panience z sąsiedztwa — jakoś to godził. Nie lubiłem nawet z nim o tem gadać. Fotografja panny Marji blakła mi w kieszeni. Jadłem i łachałem. Było świetnie.

Wróciłem do Warszawy, do szóstej klasy, zupełnie już dorosły. Spowaźniałem. Sztuba wydała mi się jakaś inna i koledzy inni. Wszyscyśmy dorosli. Nie było już mowy o strzyżonych łepetach bez wyrazu jak bilaradowe kule. Były to już indywiduala, temperowane przynależnością do nacji i klasy społecznej. Większość stanowili Polacy, za nimi szli Żydzi, potem Rosjanie.

Zdawałoby się, iż stosunek nasz do zaborców-Rosjan powinien być najciekawszy. Nic podobnego. W ówczesnej Warszawie i w całym Królestwie działał się wówczas nieustający cud. Polacy za jakąś cichą a niezłomną umową nie dostrzegali żyjących wśród nich Rosjan. Choć było tego mrowie i to mrowie najpaskudniejsze. Widywało się ich po urzędach i jako maszerujące wojska — pozatem właściwie nie istnieli zupełnie. Nikt przyzwoity ich nie przyjmował w domu, ani pokazywał się z nimi w miejscach publicz-

nych (chyba arystokracja). Stosunki ograniczały się do interesu (zwykle łapówki) i zimnej dyplomacji. Był to chyba najpiękniejszy dowód żywotności narodu. — To samo działało się i w naszym gimnazjum. W szkole byliśmy dla siebie grzeczni, a poza szkołą nie znaliśmy się wcale. Mówiło się do Moskali po polsku, a oni odpowiadali po rosyjsku. Zresztą ich dobre koleżeństwo nie zawiodło nas nigdy; przy wszelkich psich figlach szła do nich delegacja i wówczas stali za nami murem. Polityka nie grała tu żadnej roli.

Z Żydami było gorzej, znacznie gorzej! Poza nielicznymi Żydami-Polakami, był to pierwiastek wrogi i dosyć wstrętny. Trudno mi inaczej powiedzieć. Wszyscy ci synowie Nalewek i Gęsiej, zwykle inteligentni w pierwszym dopiero pokoleniu, razili nas swym niepokojem i całą obyczajowością. Byli hałaśliwi, brudnawi, lizuchy, aroganci i niebardzo dla nas zrozumiali. A dopieroż litwacy! Jakże tu siedzieć cały rok koło koleżki, który chucha ci w nos najprawdziwszą cebulą! Ze względu pewnie na trudny dla nich dostęp do gimnazjum bractwo to trzymało się go rękami i nogami: stąd nawet jako na kolegów trudno było na nich liczyć. Moskale

traktowali ich z brutalną pogardą, my, Polacy, z subtelniejszą, bardziej im pewnie niewawistną. Staraliśmy się i ich nie dostrzegać.

Wśród Polaków mieliśmy sporą grupkę ziemiańską. Był jeden hrabicz, było ze trzech z „półtovej szlachty“, mówiącej po francusku, a reszta zwykle bracia-łaty na jednym folwarku. Ci trzymali się kupy. Kwitła wśród nich sarmacka tężyzna. Mieszkiwali po oficjalnych stancjach szkolnych, zwykle u pedli i co chciwszych profesorów, którzy łagodną protekcją przepychali ich pocziwie z klasy do klasy. Wdzięczni pupile urządzali im za to hałaśliwe brewerje i w domu, i w szkole, i na mieście. W tej grupie zwracano uwagę na nazwisko, na krój munduru i wysokość kołnierzyka; kwestją szyku było tu potajemne bywanie na operetce. Byli zresztą niemądry, szczerze młodzi i naprawdę weseli. Czując za sobą majątek, gwizdali i na władze szkolne. W razie naglącej potrzeby umieli się „postawić“ i — o dziwo! — zazwyczaj skutecznie. Podczas gdy ubożsi drżeli przed rosyjskimi upomnieniami jakiegoś srogiego belfra, w oczach „dziedziców“ migotało wówczas bezczelne i pogardliwe: „gadaj sobie zdrów choćby do jutra!“ Przez pewną mimo-

wolną prawie ekskluzywność nadawali ton klasie i budzili zarówno snobistyczny podziw, jak i niechęć. Mieli silne poczucie honoru: obrażeni, prali natychmiast i prali tęgo. Uczyli grzeczności.

Trzymali z nimi „sztamę“ synowie bogatych przemysłowców, o niemieckich przeważnie nazwiskach, bardziej chyba jeszcze rubaszni i hałaśliwi, ale cóż? nie mieli, gałgany, wdzięku — byli raczej poczciwi i ordynarni. Klasa lubiła ich bardzo, choć chępli się pieniędzmi.

Pozostali mi jeszcze synowie „wolnych zawodów“ i zwyczajna biedota. Ci byli, oczywiście, najliczniejsi — i najciekawszy. Nie znały tu nic ani nazwisko (boć i tak wówczas wszyscy prawie koledzy Polacy, ubodzy i zamożni, byli szlachtą z pochodzenia), ani bogactwo, ani elegancja: ceniono tu tylko inteligencję. Inteligencja, inteligencja! Co cię zajmuje? ile wiesz? co czytałeś? Najzdolniejsi płonęli wprost świętym ogniem ogarnięcia umysłem *wszystkiego, wszystkiego* — i spalali się nieraz na tym ogniu. Gardzono tu fizycznym walorem człowieka, bagatelizowano charakter: określano fanatycznie: „ten jest inteligentny“, „ten głupi“. „Głupiec“ było werdyktem ostatecznym: inteligent mógł siedzieć

obok niego na ławce i rok i jakby nie widzieć go wcale; „głupiec“ był dlań przezroczysty jak szkło, bez smaku i zapachu jak woda. Ci smarkacze o wczoraj zbudzonej głowinie byli pełni pychy intelektualnej jak rabini: wchłaniali tę swoją „inteligencję“ jak gąbki, żłopali ze źródeł poznania jak żrebaki. Właśnie jak żrebaki, jak małe dzieci! Bez kierunku! bez opieki! bez kontroli! Nie chodziło tu, broń Boże, o wiedzę szkolną. „Być inteligentny“ znaczyło wiedzieć o wszystkim na świecie. I to wiedzieć natychmiast, z dnia na dzień! Wiedzieć — a więc czytać, czytać i czytać! Czytać całymi dniami, czytać i po nocach! Nie chodzić na spacer, nie ślizgać się, nie grać w tenisa — tylko czytać. Czytać Darwina i Huxley'a, czytać Lassalla i Marxa, czytać Sombarta i Sorela, czytać Burckhardta i Renana, czytać Heckla i Höffdinga! A dopiero literatura piękna! Jęła właśnie wychodzić „Chimera“, zjawił się Przybyszewski i ukazało się „Próchno“ Berenta. Odkryto Nietzschego. „Jakto! Nie czytałeś jeszcze Zarathustry? Genjalne!“ — wołano ze zgorznięciem. — Było to wrzuszające i idjotyczne. Już sam wygląd takiego „inteligentnego“ bęwała budziłby dzisiaj żal. Plecy zgarbione, cera ziemista, okulary na krótkowzrocz-

nych ślepiach, psujące się zębiska, spodnie za krótkie i wydęte, włosy tłuste i pełne łupieżu, strzyżone niby na jeża, a zaczesane niedbale z czoła wtył, czapczysko brudne i zmięte jak wiecheć, a z każdej kieszeni palta sterczący grzbiet jakiejś mądrej książki. *Ecce juvenis!* Wyrobiły się w tej branży i pewne przesady, których śmieszności te uczone łby nie dostrzegały: nowej czapki nosić tam nie wypadało, a już, broń Boże, uczesać się na rozdziałek! Nie wypadało! Inteligent uchybiłby tem sobie śmiertelnie w oczach współmęczenników wiedzy. O, głuptasy! Pomysleć tylko, że była to przeważnie biedota i że taki osioł, aby dopomóc rodzinie, miewał nieraz jeszcze po trzy i cztery korepetycje! Kandydowali też do suchot wszyscy, a za mojej pamięci powien smyk z ósmej klasy dostał choroby nerwowej z przepracowania. Ale zato jeśli który wytrzymał i naprawdę nabił sobie łeb po wręby! Cóż za chwała! Chodził taki mędrzec w glorii wśród swoich, a nieraz jego sława sięgała i do innych szkół warszawskich. Gdy raczył przemówić: Cadyk! sza! słuchać! — Najzabawniejsze, że prawdziwie wyższych inteligencji było wśród tego bractwa akurat tyle, co

w każdym środowisku ludzkim. Większość wyrabiała się poprostu na fanatyków.

Co do mnie samego, tułałem się raczej wśród koleżków, właściwie do żadnej grupy nie należąc, choć sympatji mi nie brakowało. Jeden z dziedziców, Stasiak Rutkowski, zagadywał mnie nawet dość często. Ojciec jego sąsiadował z dziadem Michałem i — jak się okazało — nieraz po sumie, u kanonika, dziadek okazywał Staśkowi żywe moją osobą zainteresowanie. Stasiak wiedział o mnie mało, ale zato mógł wiele opowiedzieć mi o dziadku. Dziad Michał wystawił sobie nowiusieńki pałac i parę lat temu się ożenił „z panną, uważasz, niemłodą już i niebogata, ale z wielkiej rodziny“ — przeciągał Stasiak z szacunkiem. Dzieci? nie, dzieci nie mieli. Stasiak dziwi się bardzo, że nie pojedę tam, czy nie napiszę choćby: dziadek robił mu podobno co do tego słodko-kwaśne aluzje. „Głupiś, chłopie! Stary skąpy, bezdzielny, i ta-a-kie majątki!“ Wzruszałem na to tylko ramionami, bo pobyt u babki Ireny znowu zniechęcił mnie do rodziny. Byłem zato parę razy u Staśka na stacji, ale jakoś niebardzo mi się podobało; robili dzikie „kawały“, obżerali się i tyle.

Inteligenci znów pamiętali mi jeszcze

owe występy powozem z głupim Sakiewiczem. Budziło to w nich grubą nieufność. Któryś zapytał nawet niedyskretnie, czy to prawda, że pan Vogt jest moim ojczymem? Zapytał i na moją twierdzącą odpowiedź aż zarumienił się ze zmieszania i zgrozy: był to oczywisty socjalista i musiał nienawidzić wielkiego przemyślu. Zresztą, szczerze mówiąc, i ja niebardzo Ignąłem do tych mądrali. Wydawali mi się nadęci i trochę komiczni. Myślałem z pychą, że każdy z Bronkowych gości ma więcej inteligencji w małym palcu, niż te draby w skudłaconych łepetach.

Chadzałem samopas. Przyjaźniłem się tylko z Kaziem Umińskim, ale na jego własny sposób: chłodny, nieco sztywny i bez uniesień.

Któregoś dnia Kazik zapowiedział, że przyjdzie do mnie w interesie. Łaziliśmy cały wieczór po ustronnych alejkach Saskiego Ogrodu. Gdy wróciłem do siebie, głowa płonęła mi jak pochodnia. Bo Kazik bez żadnych wstępów, po swojemu, spytał mnie szorstko, co myślę o dzisiejszym położeniu Polski i o wadze organizacji w życiu narodu? Serce aż sparło się we mnie. On zaś, wzięwszy słowo honoru, objaśnił, że wszystkie starsze klasy w szkołach i wszystkie szkoły w Pol-

sce związane są wspólnym węzłem gotowości patriotycznej. Każda klasa ma „kółko“ wybranych patriotów, każde kółko wybiera delegata do „koła“ gimnazjalnego, każde gimnazjum wysyła reprezentanta do „Centralnego Koła Uczniowskiego“. Celem kółek jest wyrabianie ducha obywatelskiego i kształcenie w polskości przez studia nad historją i literaturą narodową. A dzięki całej organizacji, w razie jakichś wrogich poczynań rządu, wszystkie szkoły staną politycznie jak mur.— Słuchałem tego chciwie, jak bajki: i co jeszcze? co jeszcze? — Ano, nasze gimnazjum ostatnio zależało nieco pola: brak żarliwości i pieniędzy. Postanowiono wciągnąć nowe siły. Czy chcę należeć do kółka? — Chcę, chcę! rozumie się, że chcę! — Muszę pamiętać, że w razie wykrycia wylecę ze szkoły, jak z procy. — Dobrze, dobrze. — Język trzymać za zębami, nie mówić nic nawet rodzinie — on, Kazik, ręczył za mnie honorem. — Dobrze, dobrze! — No, to dobrze. Przyjdź w niedzielę do Zielińskiego z ósmej. Tu i tu, o piątej.

Kolację jadłem nieprzytomnie. Takie rzeczy! takie sprawy! I ja o niczem dotąd nie wiedziałem! U nas w szkole brak żarliwości i pieniędzy. Pieniądzy! Zaraz rzuciłem do

portmonetki kilka złotych monet dziadka Stasia.

W niedzielę nie poszedłem, ale poleciałem pod wskazany adres. Wziąłem takie chody, że ludzie oglądali się za mną. A przecie nie przyszedłem pierwszy: obszerny, ohydnie secesyjny salon kolegi Zielińskiego, syna znanego adwokata, był już rojny i gwarany. Wkrótce zebrało się kilkunastu draba z naszej klasy. Przeglądałem koleżków z ogromną ciekawością: więc to są owi ukryci patryjoci! Przeważali, oczywiście, „inteligentni“, ale było i kilku „dziedziców“ i nawet jeden zabijaka o niemieckim nazwisku. Znalazło się i dwu Żydów-Polaków: jeden ze znanej powszechnie rodziny, drugi — zwykły ubogi Kohn, niebardzo nawet lubiany ze względu na kostyczność jęzora. Dało się odrazu wyczuć, że niektórzy są tu po raz pierwszy i dosyć onieśmieleni: cisnęli się koło fortepianu jak owce. Ja siadłem, oczywiście, obok Kazika Umińskiego.

Wszyscy „nasi“ wlepiali oczy w pewien róg, gdzie przy gospodarzu Zielińskim stał — student Uniwersytetu. Prawdziwy student Uniwersytetu, w długim mundurowym tużurku, jakie lubili nosić „inteligentni“ studenci. Student! Dla nas — powaga! A ten czego tu

chce? Był niewielki, blondas, o żółtych wąsikach, i przypominałby mi pana Sakiewicza, gdyby nie rozumna dobroć na brzydkiej zresztą twarzy. Ścisnął każdego z nas za rękę bardzo serdecznie, ale nazwiska swego nie wymieniał. Zrozumiałem odrazu — oho! polityk nielegalny! Strasznie mi się to wszystko podobało! Czekałem niecierpliwie jego przemowy, boć na to pewnie przyszedł.

Przemówił, rozumie się. Gadał bez żadnego patosu i jak równy do równych. Mówił o sytuacji politycznej zaborców, o coraz większym ucisku moskiewskim, o potrzebie oporu i o szykowaniu się do tego oporu. Wspomniał o wizycie cara Mikołaja w Warszawie i o memorjale generał-gubernatora ks. Imeretyńskiego. (Wstyd mi się zrobiło: słyszałem już o tym memorjale u Bronka, ale słyszałem piąte przez dziesiąte!) Łagodnie wyrzucał nam, młodzieży, opieszałość. Jest nas przecież w klasie przeszło czterdzieści, a tu, w tym pokoju, ilu? kilkunastu. Pracujemy nad sobą mało, nawet składki trudno od nas wyciągnąć. A przecież i te grosze idą na narodowe cele! jakże tu organizować opór bez pieniędzy? Zamało serca wkładacie w sprawę, koledzy! Zamało!

Skończył, a myśmy wzruszyli się, widać,

bo dały się słyszeć liczne zakłopotane chrząkania. Ja wzruszyłem się najbardziej, bo nagle i niespodziewanie dla siebie samego (jakby mnie djabeł pociągnął za kołnierz!) znalazłem się obok studenta i wysypałem przedeń na stolik swoje złote monety. Wysypałem i zaraz nosem poczułem głupstwo. Stałem w ponsach.

— Ja, ja... proszę kolegi... ja tu... swoje oszczędności... — dukałem zmieszany.

Na poczucie humoru koleżków było tego za wiele. Rozległy się naprzód tłumione chichoty, potem śmiech chóralny. Obróciłem się wściekły. Ale student zerwał się na to z miejsca i jednym poziomym ruchem dłoni uciął tę wesołość.

— Co za śmiechy! — krzyknął ostro. — Z czego się koledzy śmieją?! Że znalazł się choć jeden, co bierze rzecz poważnie? Czyn kolegi był szlachetny. Naśladować, a nie śmiać się!

Ucisnął mi dłoń nieco patetycznie, poczem wróciłem na miejsce czerwony jak burak. Kazik siedział naburduczony. Na szczęście odezwał się spokojny głos Staśka Rutkowskiego:

— I ja mogę dać pięć rubli. Więcej nie mam.

Podchodzili teraz wszyscy do stolika kolejno i składali, co kto miał. Istna procesja. Nawet Kohn dał półrubłówkę, wzruszając ramięmi. Jedyną i potrzebną, jakbym widział.

Teraz dopiero zaczęło się właściwe posiedzenie. Przewodnictwo objął kolega Hynek, co nie zdziwiło mnie wcale. Znałem go mało, bo siedział drugi rok w naszej klasie, ale jego energiczna postawa nadawała się do przewodnictwa. Był to ciemny brunet o surowym i władczym spojrzeniu. Należał z urodzenia do dziedziców (bo mieli gdzieś tam majątek), ale nie bratał się z nimi wcale; z „inteligentami“ wdawał się czasem w dyskusje, ale związłe jakieś i z jego strony pogardliwe. Miał stosunki we wszystkich klasach i w szkole był wiecznie zajęty cichymi konferencjami po kątach: dlatego pewnie został na drugi rok. Był to urodzony społecznik.

Jak świetnie prowadził to posiedzenie! Otwierałem okrągłe oczy, bo wszystko było dla mnie nowe. Owe protokoły, porządki dzienne, absolutorja dla dawnego zarządu, wybory nowego prezydium... Ach! jakże się kłócili! jak sprytnie i jak umiejętnie! Okazało się, iż istnieje wśród nas podział na dwie partje — postępowców i narodowców. Z na-

rodowcami szli i dziedzice konserwatyści, postępowcy zaś mienili się wszystkimi odcieniami czerwieni aż po socjal-demokrację włącznie.

Już przy wyborach zaczęła się heca. Przywódca „postępu“, kolega Sielnicki, pokastujący dryblas o wpadłej piersi, przy wydatnej pomocy kostycznego Kohna opierał się reelekcji Hynka, narodowca. Cóż kiedy głędził, bestja, inteligentnie, a zawile i nudno. My, nowi członkowie, stanowiliśmy jęczyczek u wagi. Poszliśmy, oczywista, za grzmiącą wymową Hynka. Sam głosowałem za nim.

Teraz dopiero pokazał Hynek, co potrafi. Pod jego sugestją odwalaliśmy punkty porządku dziennego jak na komendę. Raz — dwa! raz — dwa! Dopiero przy kwestji prenumeraty pism opozycja wściekła się znowu. Nie chcieli narodowej „Teki“, żądali postępowego „Promienia“. Kohn, z pianą na ustach, wrzeszczał na całe gardło:

— Jeden jedyny ustęp „Manifestu Komunistycznego“ wart tysiąc razy więcej od całych roczników waszych bzdur!!

Próbował przemówić za „Promieniem“ i nasz student. Ale Hynek przerwał mu zaraz dobitnie i sucho:

— Kolega jest tylko naszym gościem!... Odbieram koledze głos!

Ten zamilkł i skinął nawet głową z aprobatą. A przecie wszczął się ogromny gwałt. Krzyczeli wszyscy jeden przez drugiego. Hynek obraża naszych gości! Hynek tyranizuje!

Dzwonek w rękę Hynka aż skowyczał z irytacji. Nie wytrzymałem i znowu skoczyłem na środek. Ryknąłem wielkim głosem:

— Koledzy! O cóż chodzi! Bierzmy i „Tekę“ i „Promień“! Dla zgody! Bez zgody nie będzie Polski!

Wszyscy jakoś umilkli nagle i patrzyli na mnie jak na warjata. Korzystając z ciszy, Hynek warknął tylko sarkastycznie:

— Nasz entuzjastyczny kolega znowu pragnie nas pouczać. Jest to może szlachetne, ale tym razem bezcelowe. Głosujmy, panowie.

Przygwoździł mnie. Wśród ogólnego śmiechu, ruszyłem na miejsce jak zmyty. Chichotali i moi najbliżsi sąsiedzi. Zgniewałem się i spojrzałem każdemu groźnie w same oczy. Przymilkli.

Spojrzałem i na Kazika Umińskiego. Siedział jeszcze bardziej naburduczony. Po chwili dopiero nachylił mi się do ucha i rzekł:

— Rzucasz się trochę... Więcej spokoju. Westchnąłem ze wstydu. Miał rację.

## XIX. AWANTURA.

Miał rację. Byłem idjota. Wróciwszy do domu ze spuszczoną głową, robiłem generalny rachunek sumienia. Spojrzałem na swą „Polskę“ Grottgera nad biurkiem. Jestem dureń. Nawet Jej służyć nie umiem. Mało wiem o Niej wreszcie. Toć każdy z tamtych kolegów lepiej się orientuje w życiu narodu ode mnie. Jestem dureń.

Postanowiłem to odrobić. Zaczyna panna Marja z Koszykowej miała teraz ze mną prawdziwy krzyż pański. Musiała opowiadać mi wszystko o partjach i ugrupowaniach politycznych w Królestwie i za kordonem, o przywódcach i ludziach znanych w narodzie. Miewała prawdziwe wykłady. Dała mi wreszcie na odczepne długie spis książek i czasopism. Wziąłem się do dzieła ostro: lekcje i poezja poszły w ką, tkwiłem w polityce po uszy. Czytałem, czytałem i czytałem.

Na posiedzeniu „kółka“ siadywałem te-

raz cichuteńko jak mysz, tem bardziej, że koledzy po owym pierwszym występie traktowali mnie pogardliwie. Jeden jedyny Kohn zbliżył się do mnie nazajutrz i walnął mi prosto z mostu:

— Głupioście wczoraj gadali, bo głupio, ale macie przynajmniej odwagę.

Ten wątpliwy komplement chwycił mnie przecież za serce. Zaprzyjaźniłem się z kolegą Kohnem i nawet bywałem u niego w domu. Mieli sklepik norymberski na Rymarskiej. Stary pan Kohn, jak to żydowscy ojcowie, świata nie widział poza dziećmi i marzył, że będzie miał syna doktora. Mówiąc mi o tem, uśmiechał się błogo. Matka harowała. Była jeszcze piętnastoletnia Reginka, zupełnie już dorosła. Patrzała na mnie oczyma jak otchłanie i rumieniła się do łez. I ja czerwieniłem się po szyję, bo podobała mi się bardzo.

Kohn zajął się mojem wykształceniem społecznem gorliwie. Kładł zresztą nacisk tylko na ekonomję i socjologję, bo sam był żartym socjal-demokratą. Żył nadzieją rewolucji proletarjatu. Pod jego auspicjami czytywałem Engelsa i Bebla, Kautskiego i Plechanowa. Zradykalniałem i ja i przeszedłem zdecydowanie do „postępowców“. Przecież

już i tak w zeszłym roku z miłości do pięknej panny Marji zostałem socjalistą.

Tak. Lubiłem Kohna bardzo, a przecież rozeszliśmy się po kilku miesiącach. Nie z mojej, ani z jego winy. Poszło nam o patriotyzm, o Polskę. Kohn uważał się za autochtona tego kraju i za równie dobrego Polaka, jak i ja. Z pewnością kochał nasze pochmurne niebo, nasze piaseczki i laski. Ale cóż stąd? Tkwiał w tej ziemi jak witka bez korzenia. Do historii naszej miał niezrozumiały dla mnie wstręt, a dzisiejsze losy kraju obchodziły go na chłodno i raczej teoretycznie. Było mu wyraźnie wszystko jedno, kto tu rządzi, skoro rządził kapitał i burżuazja. Polakami wyraźnie gardził; nawet o proletariacie wyrażał się z irytacją: „te ordynarne chamy nic nie potrafią zrozumieć!“ (A spostrzegłem, że nędza ghetta wywoływała w nim serdecznie współczucie). Najwięcej oburzało mnie jego ciążenie do Rosji. On, który na wzmiankę o sprawach za kordonem wykrzywił się z nudy, znał stosunki rosyjskie nawylot i przejmował się niemi gorąco. Uważał Królestwo za jakiś beznadziejny półwysep, przyczepiony do wielkiego kraju o świetlanej przyszłości. A już literatura rosyjska! Dostojewski, Tołstoj,

Gorkij, Andrejew — same cuda! Shakespeare, Racine — zacne stare ośliśka!

Kłóciliśmy się tego. Aż przyszedł wybuch.

Poczęstował mnie właśnie broszurą Róży Luxemburg, atakującą ideę naszej niepodległości. Czytałem to, zgrzytając zębami. A nazajutrz w oczach Kohna podarłem ją na kawałki i wymówiłem sobie podobne błazeństwo. Aż syknął.

— Wy to zawsze z tą waszą Polską! Zrozum: tu idzie o ludzkość!

Wściekłem się. Powiedziałem, że nie rozumiem, dlaczego Polska właśnie ma się poświęcać dla ludzkości. I że nie chcę go widzieć na oczy. — Zerwaliśmy przyjaźń.

W tym czasie opanowałem już znakomicie technikę zebrań i nabiłem się wiedzą o Polsce jak armata. Którejś też niedzieli na „kółku“ wygłosiłem dziewiczą mowę. O szczęściu! o radości! Poszła gładko. Okazało się, że jestem wcale wymowny. Mój wniosek się utrzymał. Sam Sielnicki mi wieszował, a Kazik chrząkał z zadowoleniem. Odtąd gadałem często i koledzy wrócili mi szacunek. Tylko że zawsze byłem za czynem i to za czynem możliwie szybkim: wolałem to od mielenia słów.

Tak minął mi ten rok, a potem i zdrowe wakacje w Zarzeczcu.. Przeszedłem do następnej klasy.

Uch, jak mi się nie chciało wracać ze wsi tego roku! Rozpierała mnie fizyczna tężyzna, rozleniwilem się i powziąłem wstręt do książek i wszelakiej mądrości. Jeździć konno aż do zmęczenia, wylegiwać się na sianie, pędzać wzrokiem chmurki po niebie, słuchać rechotania żab — oto mądrość i raj!

Trzeba było wracać. A jak na złość szkoła tego roku stała się szczególnie ponura. Uczyli w tych rosyjskich gimnazjach nieźle, ale nastrój panował tam zawsze paskudny. Ów nieznośny zakaz mówienia po polsku (głupi i nie do wykonania zresztą), ogólny kierunek rusyfikacyjny, bezustanne szpiegostwo pedli — zatruwały całe życie szkolne. W nauczycielach widzieliśmy przedewszystkiem urzędników policji: traktowaliśmy ich też z pogardą i nienawiścią. Trzeba było ciągle mieć się na baczności przed obrazą uczucia narodowego. Przed surowymi rygorami najskuteczniej broniło kłamstwo. Łgaliśmy też jak z nut, nie mówiliśmy słowa prawdy. Na najniewinniejsze pytanie „belfra“ w sprawach pozaszkolnych odpowiadało się z zasadą „nie“ i „nie wiem“. Gdy się przyśnił dy-

rektor — łągało mu się i we śnie. Kłamstwo, kłamstwo, i kłamstwo! Było to okropne!

No i doprowadzało słabszych do depresji. Na jesieni tego roku zastrzelił się jeden z moich kolegów. Tragiczny ten wypadek wiązał się z istnieniem „kółek“ szkolnych. Przyszły samobójca zakochał się w siostrze głupawego koleżki i chciał go uszlachetnić przez wciągnięcie do organizacji; dla zachęty wymienił jakieś nazwiska. Poczem pokłóciły się dzieciuchy i tamten dureń zagroził w pasji wydaniem całej sprawy władzom. W biednego Jurka jakby piorun strzelił. Zgłosił się jeszcze z tem do Hynka i, otrzymawszy słuszne urąganie, w domu wywalił sobie w pierś z dubeltówki. Biedny Jurek. Odprowadziliśmy go na Powązki całą klasą. Biedny Jurek! Zrobił to niepotrzebnie, bo tamtemu ani się śniło zdradzać naprawdę. Wyszczuliśmy zresztą gałgana ze szkoły jak psa: musiał się przenieść do innego gimnazjum. — Ta śmierć wywarła w szkole głębokie wrażenie i wywołała szczególniejsze skutki. Ogarnęła nas psychoza samobójcza. Co tydzień ktoś do siebie strzelał. Jeden z ósmej został na miejscu, w szóstej podbito w porę drugiemu rękę, nawet w piątej jakiś smyk przedziurawił sobie kulą oba policzki...

Brzydko się w szkole działo. Przepłoszyli się nawet i nauczyciele. Na szczęście ów głuptas z piątej wprowadził do tej manji pierwiastek komiczny.

Ledwo się uspokoiło, aż tu — bęc! nowa historja! Był to rok feralny. Wypadła właśnie rocznica śmierci rosyjsko-ukraińskiego pisarza, Hohola-Janowskiego, i kuratorjum zarządziło uroczyste akademje we wszystkich szkołach. Masz ci, djable, kaftan! Hohol miał wielki talent, ale popisał o Polakach rzeczy obrzydliwe. I oto nam, Polakom, każą ze zwykłym taktem uczyć go oficjalnie. W organizacji zawrzało jak w ulu. Niepodobna! Byłaby to hańba! Od czegoż wreszcie jesteśmy? Nie dopuścić! Odbywały się teraz zjazdy delegatów ze wszystkich szkół, z całego Królestwa. Uchwalono opór. Opór! Opór! Na naszych zebraniach (byłem już delegatem klasy do Koła Gimnazjalnego) gardłowaliśmy, oczywista, za najostrzejszym oporem. Nie zezwolić na żadne akademje! Nie puścić nawet smarkaczy z młodszych klas! Niech szkoła świeci pustkami! Gadałem i gadałem: mogłem wreszcie mówić o prawdziwym czynie. Trzeba stworzyć komitet wykonawczy! Trzeba się eksponować! Można wylecieć ze szkoły. Kto ryzykuje? Rozumie się, że ja —

ale kto więcej? Zgłosiło się jeszcze dwóch, zgłosił się pochmurnie i Kazik Umiński.

Kochany Kazik! Obmyśliśmy z nim wszystko dokładnie. Przez cały tydzień członkowie organizacji szerzyli wśród Polaków i Żydów polskich wieść o zakazie brania udziału w haniebnej uroczystości. Głucha fama rozniosła po szkole nawet tajemnicze wzmianki o srogich karach, jakie czekają przeniawierców. Zapanował nastrój nerwowy. A już w przeddzień akademji jeden z „naszych“, członek orkiestry szkolnej, poprzecinał struny instrumentów rżniętych i napełniał mydła w trąby i klarnety. Stworzony *ad hoc* pod mojem przewodnictwem oddział bojowy ustalił metody działania. Prosiłem Kazika, żeby się nie narażał. Nie, nie będzie się narażał: ma tylko rozlać assafetydę w auli i po korytarzach.

Wszystko udało się świetnie. O pół do dwunastej sprawdziłem swoje posterunki. Były na miejscach co dwadzieścia kroków. Niektóre zatrzymywały już śpieszących do szkoły malców: mówiło się głuptasom poprostu, że akademja odwołana, i przeważnie zwracali do domu. Energiczniejszych, co się przemycić chcieli, brał w obroty koleżka Kozieński, drugoroczny z piątej, chłopisko nad

wiek olbrzymie i z tęgą lagą, stojące przed samą szkołą; dochodziły też stamtąd wrzaski i nawet płacze.

Mój własny posterunek był wysunięty najdalej. Łapałem tylko uczniów starszych klas, Polaków i Żydów. Obmyśliłem taktykę pełną prostoty. — Chwytałem koleżkę za guzik szynela i mówiłem ostro, choć niegłośno:

— A dokąd? Zawracać, bo dam w mordę!

Robiłem jeszcze groźny ruch pięścią — i wystarczało to przeważnie. Bo co za przyjemność dostać w gębę na ludnej ulicy? Ale jeśli się któryś indyczył i upierał, nie biłem go wcale, o nie! groziłem tylko spokojnie: „Odpowie pan przed sądem koleżeńskim” — i oddawałem go dalszemu posterunkowi, gdzie powtarzała się podobna komedja. Szło jak z płatka. Trudno się było przez naszą sieć przedostać. Po kwadransie widziałem coprawda wściekłego Kozielskiego, jak walił środkiem ulicy w towarzystwie szkolnego szwajcara i policjanta do cyrkułu — ale to trudno! ofiary być muszą! sam się na to naprosił. Co do mnie, bawiłem się świetnie. Myny koleżków po owem kategorycznym „dam w mordę” były nieopłacalne. Zawróciłem tak ze trzydziestu. Wszedłem właśnie

w grubszy konflikt z aroganckim litwakiem Goldbergiem z ósmej i trzasnąłbym go chyba naprawdę, gdyby w tej chwili właśnie nie odezwał się obok słodko-kwaśny głos pedla „Kajmana“:

— A, pan Kęcki? Jak miło... Cóż pan tu robi?

Bodajesz z piekła nie wyjrzał, łotrze! Zeglałem z przyzwyczajenia:

— Śpieszę do szkoły.

— Właśnie patrzę na pański pośpiech od kwadransa. Lepiej niech się pan nie faturguje. Odprowadzę pana do domu.

— Dziękuję. Sam trafię.

— Ze mną bezpieczniej, panie Kęcki... Mógłby pan mieć jakie przykrości z policją... A to i dla szkoły przykrość.

Zrozumiałem, że w razie oporu pójdę i ja do cyrkułu, jak Kozielski. Ruszyłem tedy do domu, ale takim krokiem, że szelma musiał biec przy mnie jak wyżeł. Na Tłomackiem stanął zasapany i kłaniał mi się ironicznie.

— Żegnam pana, panie Kęcki. Żegnam pewnie na długo — gadał z zadyszką.

O, tak! Wszystko udało się świetnie. Akademja spaliła na panewce, szkoła jeszcze nazajutrz cuchnęła assafetydą okropnie, a na-

uczyciele chodzili ponurzy. Myśmy się cieszyli, ale z niepokojem w sercu.

Niepokój był słuszny. Bo po tygodniu, w czasie jakiejś lekcji, wszedł do klasy nasz nowy po Troickim dyrektor, Chabarow, i ogłosił, iż z postanowienia rady pedagogicznej wszyscy, co nie wzięli udziału w akademji, dostaną na kwartał trójki ze sprawowania. Poczem spojrzął z nad binokli na Kazika i na mnie i dodał sucho:

— *A wy, gaspada Kenckij i Uminskij — wy iskliuczony iz gimnazji\**).

Zabiło mi serce, a Kazik nasepił się straszliwie.

## XX. PODRÓŻ.

Wracałem do domu ponury. Bo choć byłem niby przygotowany na najgorsze, miałem przecież nadzieję, że uda mi się bezkarnie. Ano, nie udało się. Trzeba ponosić konsekwencje. Rzekłem tedy przy obiedzie z posępnem męstwem, iż wyrzucili mnie właśnie ze szkół. Nikt nie pytał za co, bo sprawa Hohola poruszyła już całe miasto. Pan Hipolit odrazu rozkrzyczał się potężnie:

— Oto skutki romantycznych polityk! Do takich głupstw prowadzą obrazki Grottgera! Buty będziesz zelował, dryblasie!

I Broniek nachmurzył się bardzo. Ale po chwili zawiadomił mnie, że sam już od lata jest w pertraktacjach o profesurę z Wszechnicą Jagiellońską i że najpewniej przeniesie się do Krakowa jeszcze przed Nowym Rokiem. A możebym i ja z nim pojechał, żeby tam szkoły kończyć?

— Bo cóż myślisz robić?

---

\*) A panowie Kęcki i Umiński zostają usunięci ze szkoły.

— Nie wiem. Zastanawiam się.

Zastanawiałem się nad tem aż do bólu głowy. Przedewszystkiem rozejrzałem się w swej sytuacji materialnej. W zasadzie nie była zła: toć po dziadku Józefie dostaliśmy, Zośka i ja, owe kamieniczki na Nowem Mieście i kilkanaście tysięcy w banku. Ale cóż z tego? Przed rokiem właśnie wezwano mnie wraz z Bronkiem do sędziego pokoju, który odczytał mi akt, mianujący ojczyma moim opiekunem. Miał zarządzać naszym majątkiem do pełnoletności. Przywitałem się z ojczymem grzecznie, choć chłodno, ale przeciw treści samego aktu zaprotestowałem gorąco. Wtedy nawet Broniek wrzasnął na mnie, ojczym wzruszył sucho ramionami, a sędzia uśmiechnął się z lekceważeniem. Zrobili, co chcieli. Dostawałem odtąd przez matkę kilka rubli na drobne wydatki — zresztą gospodarowali według własnego uznania. W mojem ówczesnem zrozumieniu — zabrali mi wszystko. — Rozmyślałem — cóż mam jeszcze? Ano, babka Jadwiga wspominała o jakichś dwóch tysiącach, niedopłaconych ponoć ojcu przez dziada Michała z przekazu dziadka Józefa...

Nazajutrz poszedłem do gimnazjum po papiery. Dyrektor nie odpowiedział wcale

na mój ukłon i rzekł mi sucho, żebym przysłał kogoś starszego z rodziny. Niech to djabli! Spotkany na korytarzu Stasiak Rutkowski rzucił mi do ucha szeptem: „Co się będziesz martwił? Wal do pana Kęckiego ze Stróży!“ Poszedłem do współtowarzysza niedoli, Kazia Umińskiego. Panowała w tym domu ponurość jak w rabinową noc. Pani Umińska witała mnie z milczącą goryczą, wierząc, jak to matka, żem to ja wciągnął syna w ekscesy i że jestem wszystkiemu winien. Płakała zresztą ciągle. Kazik łąził jak struty. Nie chciał prawie gadać. Ledwie dowiedział się od niego, że w kuratorjum nie zdecydowano jeszcze, czy mają nas wypędzić z „wilczym biletem“ (bez prawa wstępu do innych szkół w państwie), czy też pozwolą na kończenie w Rosji. Jego ojciec włóczy się już po urzędach i składa jakieś podania.

W domu zastałem matkę łkającą i zrozpaczoną. Uch, te damskie łzy! Z nudą zniosłem wszystkie wyrzuty, ale na wzmiankę, że ojczym znowu zajmie się moim losem, wściekłem się odrazu. „Nie chcę panu Vogtowi nic więcej zawdzięczać“ — mówiłem — „nic a nic!“ I matka się uniosła, poczem wyszła z wielką obrazą, pełna — jakem uważał — cichych postanowień.

Znowu mnie wezmą w kluby! Za nic! Trzeba było działać szybko, zdecydować się gorączkowo. Kogóż, u licha, posłę do tego przekłętego gimnazjum? — Bronka? — nie wydawał mi się dość praktyczny. — Poruszyć babkę Irenę? — żeby mi znowu urągała? — Sprowadzić dziadka Stasia z Radomia? — powie, że jestem niedojda i ślamazara. — Wiem. Pojadę do dziadka Michała, jak mi radził Staś Rutkowski. Wyciągnę od niego dwa tysiące i ruszę z Bronkiem do Krakowa, czy zdam maturę w Rosji, jak się uda. A może dziad Michał okaże mi naprawdę życzliwą pomoc, jak to obiecał po śmierci ojca?

Ucieszyłem się z tej decyzji. Zapalił się do niej i Kazik Umiński, któremu zwierzyłem się natychmiast. Korzystając z tego zapалу, prosiłem, żeby jechał ze mną, bo mi samemu głupio. Koszta biorę na siebie, a cóż ma tu do roboty? Rzeczywiście, nie miał nic. Zgodził się też zaraz. Co ważniejsza, zgodzili się i jego rodzice, bo przykro było na Kazika patrzeć, taki był zgnębiony. Niech pojedzie, niech się rozerwie. Świetnie. Więc jutro na Wiedeńskim o dziewiątej.

Znakomicie nam się jechało. Oczywiście trzecią klasą. Wziąłem wszystkie swe kapi-

tały w złocie (niewiele już tego było zresztą, bo zrujnował mnie szewc Poniatowski oraz własna hojność patriotyczna) i kupowałem na stacjach pomarańcze, a Kazik miał zapasy podróżne z domu. Podjadaliśmy sobie nieźle. Pod Skierniewicami wsiadło do naszego przedziału dwu bardzo wesołych drabów i zagrali w „pasek“. Bardzo prosta gra. Na oczach wszystkich zwija się pasek tak, aby w środku krążka zostały dwie pętlice, poczem trafiaj sobie w jedną z tych pętli patykiem: jeśli po rozwinięciu paska kijek zostanie w pętli — wygrałeś! — jeśli nie — toś przegrał! Bardzo prosta gra i nawet niedroga, bo po dwadzieścia groszy, tylko nie miałem, widać, do niej szczęścia. Wyjmo- wałem pieniądze i wyjmo- wałem, musiałem nawet zmienić pięć rubli — aż się Kazik zirytował. Po przegraniu dwóch rubli i ja się uspokoiłem. Wtedy miłe draby przysiadły się do nas i bawiły konwersacją tak wesołą, że pękaliśmy z uciechy.

Wysiedliśmy w Pniewie. Należało wynająć konie, bo do Stróży było ponoć dwie tęgie mile. Zgodziłem jakąś bryczuszkę, miałem dać zadatek — a tu portmonetki niema. Okradli, gałgany! Rzuciłem się do pociągu — ale! poszedł. Z gniewu ruszyłem do stacyj-

nego żandarma ze skargą. Ten kazał nam pokazać matrykuły, przeglądał je długo i nieufnie, poczem ziewnął i wzruszył ramionami. Właściciel bryczki kłął pod nosem. Chmurni ruszyliśmy piechotą.

Zgrzaliśmy się już po godzinie. Djabło niewygodnie jest dźwigać walizki na dalszy dystans! W dodatku przy każdym ludzkim osiedlu opadały nas kundle, jak dziadów, choć byliśmy porządnie ubrani: czuły, szelmy, nosem pustki w kieszeni! W drodze przez długą bez końca wieś gospodarską wlekliśmy za sobą całe zgraje tego paskudztwa. Kmiotki przyglądały się nam podejrzliwie.

Poczem lunął wcale tęgi deszcz. Pókiśmy jeszcze maszerowali przez piachy, szło to jako tako, ale gdyśmy się dostali na lepsze grunty, na lepką glinę — rozpacz! Do nóg czepiały się pacyny jak armatnie kule, a w koleinach i wyrwach stała już woda po kostki. Spróbowaliśmy iść bocznymi ubitemi steczkami — ale! Były tak śliskie, że po minucie leżałem już w błocie, klnąc straszliwie, a za moment leżał i Kazik. Kazik nie kłął, ale purpurowy z gniewu, przyznał się, że ma pół rubla. Możeby naprawdę wziąć konie? Akurat doganiał nas właśnie starszy chłopina w dwie hetki. Stój! Nie musiało już być

do Stróży daleko, bo zgodził się bez targów, tylko chciał pieniędzy na rękę. Dobrze. Uff! jechaliśmy przecie, choćby i moknąc.

Jechaliśmy tak z kwadrans. Aż oto na jakimś rozstaju chłopiek stanął i mówi do nas z flegmą:

— To mnie tera na prawo... A panowie prosto, aby za górkę — i Stróże.

Widziałem, że Kazik poczerwieniał na to, jak rak, ale pohamował się przecież i odrzekł z równą prawie flegmą:

— No, no!... Jazda, psiakrew, bo żebyśmy się nie pokłócili! Jazda!

I pokazał ogromną pięść, bo tęgi był jak ja. Jechaliśmy dalej w milczeniu, dobre pół godziny, poprzez tę górkę i drugą, i bokiem pięknej dąbrowy, i długą aleją starych lip. Zajechaliśmy tym trybem i przed duży pałac piętrowy, bardzo na owe czasy wspaniały, choć nowiusieńki.

Nasz pojazd raził trochę przy tym pałacu. Samiśmy byli też mokrzusieńcy i zaszargani w glinie, jak nieboskie stworzenia. Dzwoniąc do drzwi paradnych, czułem się nieprzyjemnie.

A tu wychodzi chłopisko o pół głowy odemnie wyższe, w zielonym stroju strzelca, o gębie dosyć bezczelnej.

— Do kogo to? — pyta sucho.

— Do pana Michała Kęckiego — rzekłem.

Strzelec odpowiedział nie mnie, tylko naszemu woźnicy, i odpowiedział klątwą:

— To ty, jucho, nie wiesz, że wozem to od podwórza! Ja cię, jucho, nauczę!

Chłopina wzruszył ramionami. A ja się wściekłem. Zbladłem z obrazy i krzychałem prawie:

— Brać mi rzeczy, nie gadać! Meldować panu Kęckiemu, że wnuk przyjechał!

W tej chwili dojrzałem w głębi hallu samego dziada Michała. I on na mój widok przyspieszył nagle kroku, a na samym progu stanął, jak wryty. Skłoniłem się, bardzo jeszcze zły.

— Michał Kęcki jestem, dziadku.

Wydał mi się jakby jeszcze niższy, a mniej chyba brzydki. Zestarzał się przez te lata i siwy włos pozornie złagodził mu rysy. Mój przyjazd zaskoczył go nad wszelkie spodziewanie. Chwycił mnie za rękę i gadał z chrząkaniem:

— Toś ty Michaś?... Toś ty Michaś Kęcki?...

I jeszcze raz powtórzył:

— Toś ty tamten Michaś?... Taki ogromny?...

Ucałowałem go w ramię, bo ciągle nie puszczał mi ręki ze swojej.

— Tak, to ja, Michał, dziadku — śmiałem się. — A to mój przyjaciel i kolega, Umiński.

— Bardzo mi miło... Bardzo się cieszę... — mówił dziadek grzecznie. I naraz, jak nie huknie na olbrzymiego strzelca:

— A ty czego, gamoni, tu sterczysz?! Brać rzeczy paniczów do żółtego na piętro! Józefa mi dawać!

Ostre miał dziad Michał humory! Zaraz w hallu wrócił do pamiętnego mi nieco ironicznego tonu:

— Przyjechałeś wreszcie... Ano, lepiej późno, niż nigdy. Choć zapraszałem cię nieraz i oddawna...

— Nie wiedziałem, czy mi dziadek rad będzie — plotłem zakłopotany. — Bo ja do dziadka w interesach!

Dziadek uniósł siwych brwi ze zdziwieniem.

— W interesach? Patrzcie no... I ty już w interesach do mnie? Ano dobrze, że choć interesu mamy wspólne — roześmiał się nagle. — A cóżeście się tak utyłali, panowie?

Ale już stary lokaj Józef tańczył koło nas, jak koło panien. Nie pytał o nic, prosił tylko, żeby panicze zechcieli zdjąć szynele, to się je duchem przesuszcy i wyczyści. Podwieczorek da nam na górze, a tymczasem i kąpiel się zagrzej. Niechże panicze pozwolą za nim... Dziadek aprobował wszystko w milczeniu.

Byłem trochę zawstydzony tem przyjęciem, a Kazik chyba nieco oszołomiony wspaniałością otoczenia. Obszerny widny hall, szerokie froterowane schody na piętro, nasz pokój o dwóch łóżkach duży i wesoły, a urządzone jak salonik. Na korytarzu jeszcze spotkaliśmy pokojówkę, dziewczynę młodziutką, a takiej urody, żeśmy obrzucili się oczyma jak na komendę.

— Fiu! fiu! — rzekł Kazik.

Ogarnął nas błogostan i optymizm. Piłiśmy podaną sobie na srebrnej tacy białą kawę z kozuszką, wspaniale odziani w kąpielowe prześcieradła, dostarczone nam zapobiegliwie i dowcipnie przez starego Józefa. Wysoki strzelec wziął do czyszczenia nasze mundury z życzliwym szacunkiem. Skądś zbliżka dochodził łomot nalewanej wody... Zapadał zmrok. Było nam bardzo dobrze.

## XXI. STRÓŻE.

Po godzinie wezwano mnie do dziadka.

Siedział w gabinecie za potężnym biurkiem. Pokoisko było duże i dość posępne, zasłane dywanami i pełne oszklonych szaf bibliotecznych. Nad temi szafami długim i ponurym szeregiem szły ciemne bohomy: jakem się domyślił — portrety rodzinne. Na jednej ze ścian nad otomaną, na rozwiniętym czapraku, połyskiwał niewyraźnie jakiś oręż. Ściana obok biurka zawieszona była minjaturami, medaljonami i zwykłemi fotografjami w najrozmaitszych ramkach.

Było ciemnawo. Pokój oświetlała jedna jedyna stojąca na biurku lampa naftowa. W jej ostrym blasku rysy dziada Michała nie cieszyły łagodnością. Znowu poczułem się nijako. Szczególniej, gdy zagadnął mnie prosto z mostu:

— Więc jakież to interes cię sprowadza?

— Bo proszę dziadka... Bo widzi dzia-

dek... — jękałem się z początku. — Mówiono mi, że ojcu należała się od dziadka drobna sumka, którą teraz właśnie chciałbym odebrać. Z procentami, jakie narosły.

Wypsnęły mi się jakoś te „procenty“, bo dawniej nie myślałem o nich wcale. W ostatniej dopiero chwili wydał mi się cały interes poważniejszy, jeśli „z procentami“ właśnie. Ale dziadek Michał jakoś nie zwrócił wcale na te procenty uwagi. Nie patrzył nawet na mnie od czasu, gdy zacząłem gadać. Rozmyślał nad czemś i stukał sobie ołówkiem w biurko. Stukał i stukał, tak długo, żem począł się narazie niepokoić, a potem irytować. Cóż to znowu? Nic nie odpowiada. Nie słyszał? Lekceważy mnie?

— Ze składanemi procentami! — wypaliłem głośno.

— Z procentami — powtórzył dziadek i nagle zdziwił się, jakby mu coś teraz dopiero w ucho wpadło. Uniósł na mnie siwej głowy. — Z jakimi procentami? — spytał.

— Składanemi!

— Jakimi?!

— Składanemi! — zdumiała mnie ta starcza ignorancja. — Zaraz to dziadkowi wytłumaczę... — zapaliłem się. — Kapitał

wzięty na składany procent, licząc po 5 rocznie, podwaja się...

Lecz dziadek już obu rękami machał na te wywody. Zdawało mi się nawet, że przez wąskie wargi przewinał mu się uśmiezek.

— Dobrze, dobrze! — przerwał. — A ileż mają wynosić te twoje należności?

— Dwa tysiące.

— Dwa tysiące?! To dla ciebie „drobna sumka“?

— Dla mnie?! Dla mnie ogromna! Tylko dla dziadka drobna, bo słyszałem, że dziadek jest bogaty. A mnie teraz tak strasznie potrzeba pieniędzy!...

— I na cóż to?

— Bo... Bo wyrzucili mnie ze szkół.

Dziadek aż się poderwał nieco z fotela.

— Bój się Boga, Michaś! Za co znowu?!

Trzeba było opowiadać. Opowiadałem szeroko, a dziadek kiwał głową w zmartwieciu. Nie gniewał się na mnie wcale. O, nie! Rozumiał, zdaje się, wszystko. Nie obraził się też, gdy ledwie wspomniawszy o istnieniu organizacji, zastrzegłem się ostro, że mówić mi o tem nie wolno, nawet dziadkowi.

— To nie mów — zgodził się posępnie.— I tak wiem. Tak już, widać, być musi.

Poczem pytał mnie sam o moje życie.

Gadałem jak na spowiedzi. I o ojczymie, i o babce Irenie, i o Bronku... Dziadek przyznał mi odrazu, że pan Vogt nie miał prawa mnie uderzyć. Dziwił się tylko, że się do niego wtedy nie zwrócił.

— Myślałem, że nikt już o mnie nie dba! — burknąłem znowu.

— Cóż? Miałem cię się może, smarkaczu, prosić? — odburknął mi dziadek ostro.

Dalej mówiliśmy o profesurze Bronka i o projekcie przeniesienia mnie do szkół krakowskich. Dziadek aż głową począł mi na to trząść z pewną złością. Mowy niema o Krakowie. Bo jakże wtedy z wojskiem? Ekspatrować się? Zmieniać poddaństwo? Nie, człowiek ma siedzieć tam, gdzie się urodził. Mowy niema o Krakowie.

— Jutro pojedę do Warszawy i zajmę się twojami sprawami — decydował dziadek zwięźle. — Może obejdę się bez pana Vogta, skoroś nań niełaskaw. Sprawy finansowe załatwię z matką. Ale masz mnie słuchać! Dobrze?

— Dobrze, dziadku.

Dziad Michał poweselał teraz i jął pytać o Kazia Umińskiego i o naszą podróż. Kpił z tej wyprawy wcale dobrze, choć nie przy-

znałem się do gry w „pasek“. Woląłem ten dyshonor schować dla siebie.

— A za cóż najęliście chłopca? — pytał dziadek ze śmiechem.

— Kazik miał jeszcze pół rubla.

— A ty nic?

— Nic. Tylko dukata, co mi go dziadek dał kiedyś.

— To ci go nie ukradli?

— A nie. Bo go noszę w pugilaresie.

Dziadek Michał spowaźniał znowu.

— Pokaż — rzekł.

Dukat z Matką Boską był zawinięty w tę samą ciągle, dobrze już brudnąwą bibułkę woskowaną. Dziadek oglądał go przez chwilę, poczem uniósł ze stołu lampę ku owym wiszącym nad biurkiem portretom.

— To jest twój pradziad, od którego ja go dostałem — pokazywał. — Tu, na tej minjaturze—jako podporucznik drugiego pułku ułanów w trzydziestym, tu — po cywilnemu, tu — z kolegami za powstania, tu — na Syberji, w kajdanach... Staś do niego najpodobniejszy i Irena...

Tak oto poszło mi z dziadkiem owego wieczora. Najpomysłniej. Zaszedł jeszcze do nas na górę, aby sprawdzić, jak mówił, czy nam będzie dobrze, i znowu z wielką kur-

tuazją witał w Kaziku „przyjaciela wnuka“. Umiński kłaniał się, zarumieniony jak panna. A za pół godziny lokajczyk prosił nas na kolację.

Całe towarzystwo zastaliśmy w małym saloniku koło jadalni. Było to towarzystwo dobrze już wiekowe, poza jedynym panem Święckim, administratorem, milczącym i tę gim szlachciurą lat trzydziestu. Na kanapie obok konfidentki, suchej panny Piotrowskiej, rozsiadła się szeroko babka Krystyna, żona dziada Michała, niestara nawet jeszcze i ongiś niebrzydka, ale okropnie już rozlana. Całując jej rękę, spostrzegłem odrazu, że powzięła do mnie niechęć od pierwszego wejścia. Mało to mnie obeszło, bo zabawiła mnie w tej chwili szczególna sytuacja jej ojca, pana Telesfora. Pan Telesfor, mężczyzna wielkiego wzrostu, kompletnie łysy, a z barwionym na blond wąsem, wyglądał dwa razy młodziej od swego zięcia: tymczasem dziadek tytułował go „ojcze“, a on mówił do dziadka „kochany Michale!“ Było to śmieszne.

Przedstawił nas jeszcze dziadek z wielką atencją pewnemu małemu i grubaśnemu starcowi, który — sądząc po lśniącej siwiznie i zmarszczkach — w wielkim już musiał być wieku. Uścisnął go dziadek przy tej

okazji za ramię i rzekł do nas prawie uroczyście:

— To szanowny pan Szmidt, mój jeszcze profesor z Łowicza.

— Profesor nie profesor, zwyczajny nauczyciel! — zachnął się grubas. — A panowie nie lubicie nauczycieli, co? — zaśmiał się do nas.

Nie zdążyliśmy się nawet roześmiać, bo babka Krystyna z kanapy zagadnęła właśnie Kazika wysokim sopranem, a z wyraźną złośliwą intencją:

— A pan z jakich Umińskich?

Kazik odrzekł na to po swojemu gromko i spokojnie:

— Mój pradziad był generałem za Królestwa.

Wszystkim podobała się ta odpowiedź. Ale otyła pani nie dała za wygraną i przeniosła na mnie swe ataki:

— A kto pana rodzi, panie Kęcki? Bo zapomniałam.

— Jako? kto mnie rodzi? — zdumiałem się naiwnie. — Matka.

Panna Piotrowska parsknęła drobnym śmieszkciem. Zarumieniłem się z przykrości.

— No, tak. Ale jak pańska matka jest z domu?

— Kwietniaczanka — burknąłem ostro. Chybabym wypalił babce jakie głupstwo, ale już pan Telesfor chrząknął z niesmakiem, a dziadek rzucił tylko dwa wyrazy:

— Droga Krystyno...

Owo „droga Krystyno“ powiedziane było takim tonem, że wszystkim naraz zrobiło się nieprzyjemnie. Była w tym tonie suchość, niechęć, rozkaz i najszczerza pogarda. Wszystko to w ironicznym zestawieniu z czułym słowem „droga“ cięło jak policzek. Och, dziad Michał potrafił być niemiły! „Droga Krystyno“ — słyszałem później po tysiąc razy, a babka zawsze ponsowała na to z gniewu — i milkła. Ścinał ją tem powiedzeniem i w ziemię wbijał. Była zresztą we wszystkim odeń zależną, a oboje niecierpieli się z serca. Od lat już mieszkali każde w swoim skrzydle pałacu i babka co roku wyjeżdżała na długie miesiące zagranicę, czy do rodziny. Dziadek godził się na to chętnie, tylko zalecał groźnie oszczędność.

Uch, jakże dziadek babki nie lubił! Zrozumiałem później, iż szło tu przedewszystkiem o brak dzieci. Dla dzieci przecież ożenił się z tą panną, starszą już i ubogą, a wielkiego rodu! Toć on, człek raczej skąpy, aż pałac wystawił na przyjęcie przyszłego po-

tomstwa, tych wymarzonych Kęckich! A tu nic. Ani jednego! Z dziwaczną w tym względzie męską logiką dziadek Michał winił babkę i tego darować jej nie mógł. A może przyszły i inne rozczarowania? Babka Krystyna kochać dziadka, jako kobieta, nie mogła — to pewna.

Przy kolacji uwaga znowu skupiła się na nas obu: byliśmy dla tych starszych państwa atrakcją. Tym razem zaczepił nas profesor Szmidt. Był to, mimo wieku, staruszek żywy i zapalny jak proch.

— Cóż to? — zaczął ostro, — słyszę, że wyrzucili panów ze szkół? Za cóż to znowu?

Odpowiedziałem zwięźle, bo już mnie to nudziło. Kładłem nacisk, że brały w tem udział wszystkie szkoły w całym kraju.

— Tem gorzej! Tem gorzej! Już wiem ku czemu to znowu idzie! — przerwał mi grubas agresywnie. — Wiem do czego to znowu prowadzi: do lasu, do konika i do szabli! Widziałem to już raz!... A kto się będzie uczył w tym kraju? Kto się będzie uczył, pytam?!

— Jakto, kto? — rzekłem, zdumiony. — Przecie niewielu wyrzucili.

— Niewielu, ale najlepszych. Dobrze wiem: zawsze wyrzucają najlepszych! Zostają same hebesy, co się uczyć nie mogą i nie

chę! Bo i poco zresztą Polakom nauka? — ironizował z gniewem—Polakowi byle awantury robić i po lasach się tłuc! W to nam graj i tego nam dość! Gdzie indziej Helmholtze się rodzą, Roentgeny, Darwiny, Huxleye, a w Polsce — ułani! Na co kogo stać! Gdzie indziej w głowach się pali, nas tylko w pięściach świerzbi! Jak Szkoła Główna uchwaliła uczyć się za powstania, to Alma Mater z Krakowa przysłała jej skórkę zajęczą! I słusznie. Bo poco Polakom nauka?!

Aż się starzec zasapał. A myśmy milczeli, oszołomieni impetem tej napaści. Ale już pan Telesfor przybywał nam z odsieczą.

— Bismarck wysyłał nas do Monaco, a profesor śle do lasu — łagodził żartobliwie. — A tu nawet jeszcze i kruki o nowem powstaniu nie kraczą.

— Bismarck?! — zaperzył się profesor odrazu. — Bismarck był to nasz wróg, ale mąż wielki! Ho! ho! Żebyśmy to takich polityków miewali!!

— Już też niebardzo nam wypada Bismarcków chwalić... — mruczał pan Telesfor z pewnem znudzeniem.

Reszta towarzystwa również niewiele się przejmowała temi wywodami. Zrozumiałem, że z profesora impetyk z natury, a oponent

dla zasady. Unikając więc już tylko zwracania jego uwagi, wdałem się z dziadkiem w przydłuższe rozmówki o rodzinie. Okazało się, iż ten właśnie temat zainteresował wszystkich: musiałem długo gadać o babce Irenie, o babce Jadwidze i o Zarzeczcu wujostwa Rokossowskich. Babkę Krystynę zaciekawiał szczególnie dom i majątki pana Vogta. To już mi się mniej podobało.

A najmniej podobała mi się sama kolacja. Sądząc ze wspaniałości nakrycia, z ilości talerzy i szkła, spodziewałem się nienajgorszej uczyty. Aż zęby na nią ostrzyłem. A tu dano mi jakieś jajko sadzone, jakiś mizerny kotlecik — i kompot z suszonych śliwek! Ogarnęła mnie najpierw zgroza, a potem opanowała melancholjja. Jakto? my tu bez obiadu — i kompocik? Po dwumilowej drodze na piechtę? „Ależ z dziada Michała skąpiradło!“ — myślałem posepnie. — „Żeby ten niecznośny profesor nie przeszkodził, zjadłbym choć chleba ze dwie pajdy!“ Spojrzałem na Kazika: i on był ponury.

Nasz smętny nastrój przypisano zmęczeniu i wysłano nas spać na górę. Ledwo drzwi za sobą zamknąwszy, rzuciłem się na Kazika jak lew.

— Masz jeszcze co z zapasów? Dawaj!

— Nic — wzruszył ramionami z boleścią.

— Musiał przecie zostać choć chleb po serdelkach!

— Wyrzuciłem...

— Toś kiep! — stwierdziłem wściekły.

Siedzieliśmy z kwadrans w szczerem zmartwieniu. Myślałem już o alarmowaniu służby, gdy — jak na potarcie lampy Alady-na! — zjawił się we drzwiach z tacą zacny Józef. Herbata, chleb, wędlina. Stary tłumaczył dobrotliwie:

— Jaśnie pan kazał zanieść, że to panice po dalekiej drodze...

Ledwie go nie uściskał! O kochany, rozsądny i wcale nie taki skąpy dziadzie Micha-le! Rzuciliśmy się na tacę, jak wilki. Żarliśmy, nie jedliśmy!

A potem zaraz spać. Miałem gasić lampę, gdy Kazik odezwał się z łóżka:

— Słuchaj, Michał! A wiesz, bestjo, że ja mam jeszcze dwa ruble?

Zdumiałem się.

— Łiesz! To czegoś nie wziął koni?

— Ba! — rzekł. — Rozpusta babilońska! W pasek tobyś grał, a walizek dygować nie możesz? Z tobą do ruinybym doszedł!

Cisnąłem w niego poduszką.

## XXII. DZIAD MICHAŁ.

Dziad Michał zabawił w Warszawie cały tydzień, no i—rozumie się—załatwił wszystko jak najlepiej, choć w sensie bardzo dla nas niespodzianym. Okazało się, iż obaj, Kazik i ja, mamy tu, w Stróżach, szykować się do matury, którą zezwolono nam łaskawie zdawać w obszernych ziemiach Cesarstwa. Dziadek wizytował państwa Umińskich na Franciszkańskiej i uprosił, aby nie rozdzielano teraz Dioskurów, związanych wspólną klęską. Zgodzili się, a my na tę wieść poczerwienieliśmy z uciechy. Za dwa tygodnie przyjedzie nasz nowy pedagog, rutynowany korepetytor, pan Kulesza z uniwersytetu; tymczasem możemy ruszać do stolicy, żegnać się z nią na czas dłuższy. Gdyśmy zostali sam na sam z dziadkiem, pocałowałem go w rękę i dziękowałem bardzo serdecznie — kiwnął mi na to głową.

Łatwo się mówi — żegnać! Ściskając

kochanego Bronka, płakałem rzewnymi łzami. Ścisnąłem i pana Hipolita-zrzęde, ścisnąłem i panią Julję, tylko naszych dziewcząt w krakowskich strojach ścisnąć się bałem. Matkę wycalowałem po rękach i twarzy tak żarliwie, że ze łzami w oczach uchylała mi się przecież, bom starł jej cały puder i zniszczył koafjurę. Tylko z Zośką zegnaliśmy się chłodno: zwarzjowała wtedy ta gidja na punkcie opanowania i dystynkcji. Zabrałem wszystkie swoje pamiątki wraz z „Polską“ Grottgera i — jazda do Stróży na nowe życie!

Dobre to było życie! Tym razem nie grałem już po drodze w pasek i zajechaliśmy z Kazikiem przed pałac wolantem, jak hrabiowie. Czekał już na nas w Stróżach obiecany pan Kulesza, energiczny i bardzo przystojny student prawa. Ten „udzielał“ nam wszelkiej humanistyki, ale tylko humanistyki, bo matematykę zastrzegł dla siebie surowo — sam profesor Szmidt. Znęcał się nad nami pocziwiec okropnie, ale jakże się cieszył, że znowu może uczyć! Podkuł nas w tej matematyce na cztery kopyta. A jak się gniewał! jak wrzeszczał! — pękaliśmy z radości na tych lekcjach.

Pan Zygmunt Kulesza stał się zaraz ucie-

chę całego domu i okolicy. Żywy, towarzysko obyty, ciągle coś musiał aranżować i organizować: taki miał charakter. Nasze panie, babka i panna Piotrowska, zakochały się w nim odrazu (panna Piotrowska chyba na poważno?): woził te damy z panem Telesforem po sąsiedztwach i nawet do Stróży ściągwał gości ku ironicznemu zdziwieniu dziadka Michała, odludka. Z profesorem Szmidtem spierał się o stanowisko humanistyki w klasyfikacji nauk (staruszek irytował się wtedy na czerwono, jak indor), z panem Telesforem — o politykę. O politykę kłócił się poważnie. Był ideowym narodowym demokratą i jednym z wodzów tego stronnictwa wśród młodzieży. Próbował, oczywista, zaagitować i nas, swoich uczniów. Bezskutecznie. Ja miałem się wyraźnie ku socjalizmowi, machnął też na mnie ręką bardzo prędko, tem bardziej, że byłem w dyskusjach uparty jak koń, a dosyć gwałtowny. Wziął się do Kazika — ale i tu trafił na kamień. Kazik znowu wysłuchiwał wszelkich tyrad z obojętnym spokojem.

— Dobrze — mówił wkońcu.

— Co dobrze?

— A wszystko, co pan mówi. Można mieć i takie przekonania. Tylko, że mnie to nic nie obchodzi.

— A cóż pana obchodzi, u Boga Ojca?!—  
irytował się pan Kulesza.

— Mnie obchodzi tylko sprawa oporu  
czynnego. Czynnego oporu. A wszystko mi  
jedno, kto się tem zajmie, socjaliści czy na-  
rodowcy.

— Czynny opór? Jakże to pan rozumie?  
Cóż to za fantazje?! — dziwił się student.

Lecz Kazik chmurniał na to i zrywał kon-  
fidencje. Milczał. I on nie dał się nawrócić.

Zato przekonania i zapał pana Kuleszy  
bardzo przypadły do smaku dziadkowi Micha-  
łowi. Wyróżniał go i radził się go w pewnych  
kwestjach. Za jego namową zjawił się w Stró-  
żach „Przegląd Wszechpolski“ i „Gazeta  
Warszawska“. Uważałem też, że dziadek  
wplacał na ręce studenta pewną sumkę mie-  
sięcznie, o której przeznaczeniu obaj milczeli  
jak grób. Coraz też przysyłał dziadek znacz-  
niejsze nawet kwoty, bo po paręset rubli, pod  
wskazane mu przez pana Kuleszę adresy: to  
na gimnazjum w Orłowej, a to na Towarzy-  
stwo Szkoły Ludowej w Krakowie, a to na  
Skarb Narodowy w Rapperswilu... Zdumie-  
wałem się, patrząc na tę dziadkową hojność.  
Ten starszy pan, co potrafił bardzo być przy-  
kry o suknię dla żony i o spalony obrus, co  
żałował gościom każdej butelki wina, a sobie

cytryny do herbaty, — w społecznej filantro-  
pii okazywał powściągliwą rozrzutność. Da-  
wał, i to dawał dość łatwo, byle miał ufność  
do sprawy i ludzi. A ten pan Kulesza! Potra-  
fił sobie dziadka owinąć koło palca! Dziada  
Michała! Podziwiałem pana Kuleszę.

Podziwiałem go i zacząłem być on tro-  
chę zazdrosny. Bo przywiązałem się do dziad-  
ka Michała szybko i bardzo gorąco. A dziad-  
dek — jak na złość! — po owych pierwszych  
danych mi dowodach szczerzej życzliwości, po-  
zornie nie zwracał już na mnie wcale uwagi.  
Nawet Umińskim zajmował się więcej, niż  
mną: Kazik dostał lepszego wierzchowca i no-  
wiuteńkie siodło angielskie. Małomówny z na-  
tury, dziadek zwracał się do mnie rzadko  
i tym samym ironicznym tonem, co do wszyst-  
kich. Oburzało mnie to. Spostrzegłem prze-  
cie, że nieraz przygląda mi się ukradkiem  
i słucha uważnie tego, co plotę. Na moje za-  
latujące socjalizmem wywody krzywił się  
bardzo brzydko. Ale nie mówił nic.

Aż kiedyś, późną już wiosną (a cóż to by-  
ła za wiosna! słowiki dawały w parku chó-  
ralne wprost koncerty!), dziadek rzekł mi po  
podwieczorku krótko i w formie rozkazu:

— Chodź, Michał!

Przed gankiem czekała już stara brycz-

ka dziadkowa w jednego konia (człowiek ten nie miał za grosz snobizmu) i mój wąż pod kozackim siodłem. Dziadek wsiadł i wziął lejce z rąk furmana.

— Złaź! Sam pojedę.

Dziwiłem się, kłusując koło bryczki, dokądże to jedziemy i dlaczego sami? Dziadek nie raczył mnie objaśnić. Mówiliśmy bardzo mało i o rzeczach nudnych: jak tam nauka idzie? Ano, idzie. Takeśmy dojechali do naszego miasteczka, ze trzy wiorsty drogi. Szwargocący na rynku faktorzy rzucili się do nas wdyrdy. Dziadek stanął przed sklepem Szulima Reinfelda. Sklep handlował żelastwem i miał składzik narzędzi rolniczych: mieścił się w porządnej kamieniczce z balkonami.

Na widok dziadka powstał rozruch śród kędzierzawych subjektów i zaraz zza drzwi w głębi sklepu ukazała się srebrna i długa, iście patryjsza broda. Pan Szulim Reinfeld był dobrze już zgarbiony wiekiem i dlatego wydawało się, iż kłania się bardzo nisko. Ale surowy wyraz pergaminowej twarzy przeczył temu wyraźnie. Dziad Michał pośpieszył kilka kroków naprzeciw starca, jakby go nie chciał fatygować, i — ku memu zdziwie-

niu — podał mu rękę z wcale serdecznym, jak na dziadka, uśmiechem.

— Dzień dobry, panie Reinfeld. — mówił głośno — przyjechałem pogadać trochę.

Patrjarcha gestem zaprosił nas do pokoju, zastawionego meblami ciężkimi i wielkiej wygody. Nimeśmy usiedli, dziadek złożył mi rękę na ramieniu i mówił bardzo głośno, prawie do ucha starca. (Ten niedosłyszał już wyraźnie.)

— Panie Reinfeld! Chciałem przedstawić panu stryjecznego wnuka! Michaś Kęcki, syn Michała!

Starzec podał mi rękę i długo gładził srebrzystą brodę.

— Syn doktora Michała? Bardzo był zacny człowiek. Daj Boże takich więcej! Mojego wnuczka Józefa leczył w Warszawie...

Z rozmowy tych panów rychło poznałem stosunki majątkowe i rodzinne pana Reinfelda. Posiadał dwa domy w stolicy, lat miał chyba z dziewięćdziesiąt, a potomstwa bez liku. Ów wnuczek Józef, którego ojciec leczył, był już wziętym adwokatem i dobiegał czterdziestki. Martwił się o jakiegoś prawnuka Stanisława, który — po zajęciach na uniwersytecie warszawskim — studjował teraz historję w Krakowie.

— Bardzo uczony! Bardzo uczony!... — mrucał z westchnieniem.

Dziadek powstał. Wtedy starzec ujął moją rękę w obie swoje przezroczyście dłonie i rzekł z powagą nie do mnie, tylko do dziadka Michała:

— Przyjemnie poznać nowego Kęckiego, panie dziedzicu.

Byłem bardzo zdziwiony.

W powrotnej drodze, zaraz za miasteczkiem, zagadnąłem dziadka wręcz, któż to jest ten Reinfeld?

— Mój dobrodziej — odparł dziadek zwięźle.

Milczeliśmy chwilę, wlokąc się noga za nogą.

— Bo widzisz — zaczął dziadek — jak mi ojca Moskale wzięli, miałem dopiero lat osiemnaście, a tu dosłownie rąk nie było o co zahaczyć. Za głowę się chwyciłem, jakem zobaczył to zniszczenie. Marzec, czas z pługiem wyjść w pole, a tu po stajniach pustki, ledwie parę starych wywłok po wszystkich folwarkach. W cugowej jedna jedyna Arabela, półkrwi angielfka, ojca ulubiona wierzchówka. Krowy na palcach zliczyłeś, a z całej stróżeckiej owczarni ledwie kilka macior i jeden tryk... Ani ziarna do siewu, ani pieniędzy...

— A cóż pradziad z tem zrobił?

— Ba! Twój pradziad był wielki pan, kasztelanic. Serca do gospodarstwa nie miał nigdy. Jak z wojska po Rewolucji wrócił, to już tylko konie i myślistwo miał w głowie. Bawił się. Choć pił mało i w karty nie grał, bo to się Kęckich nie trzyma. W domu nawet rzadko, jak pamiętam, siadywał, tylko czwórka po Królestwie jeździł, bo przyjaciół miał w każdym powiecie. Bale lubił, kobiety i pojedynki, że to mężczyzna był piękny i z ogniem. Staś do niego najpodobniejszy i Irena...

— A któż w majątkach rządził?

— A był taki ojca przyjaciel, kapitan Kwiatkowski, starszy już człowiek, kryształowej uczciwości. Ten gospodarował. Nienajlepiej, ale i nie źle. Umarł przed samem powstaniem. A tu zrobili właśnie ojca naczelnikiem cywilnym województwa. Wziął się do tego ojciec całą duszą, jak do wszystkiego, co robił. Palilo mu się to w rękach. Pieniądze zewsząd ściągał, partje odziewał i obuwał, broni dostarczał, żywności, służbę szpiegowską urządził świetnie... A jak czego nie starczało, albo był gwałt — dawał swoje. Nasze fornalki włóczyły się cały rok po kraju z wszelkiem dobrem. Póki starczyło. Bo w rok wszystko rozdał. Szczęście jeszcze, że majątki

przepisał na matkę, inaczejby Moskale zabrali. To jedno rozsądnie załatwił.

— A cóż prababka na to?

— Matka? Świata za ojcem nie widziała. Jak wszyscy ludzie. Nawet służbę potrafił do siebie przywiązać, jak nikt. Miał Wojciechastangreta, który o wszystkim wiedział i prawą ręką mu był w tem powstaniu — i cóż? Przy powstaniu w powiecie i w Warszawie, że to głupiego udawał, połowę zębów mu wybili, a ten ani mruknął.— „Nie wiem i nie wiem“—nic nie wiedział. A stary Jan, lokaj? Jak ojca wzięli, wyjechał do Warszawy, zamieszkał na Franciszkańskiej i codzień od rana do wieczora stał pod Cytadelą jak pies. Przyzwyczaili się do niego wreszcie i dali mu obiady ojcu nosić. Nosił, kolana ojcu z płaczem całował i własne oszczędności rulonikami w ręce mu wtykał. Ba, ojciec! Wesół był zawsze i zuchwałej odwagi. Partje odwiedzał przed samą bitwą i walczył z innymi. Cud, że go nie zabili. Jak przyjechali go brać, naczelnik wojskowy i rotmistrz żandarmów, to przyjął ich jak gości, ze śmiechem. Obiad po re wizji kazał dać wspaniały, resztki wina z piwnicy wyciągnął, żartował, a na stacji, po strze miennem, darował temu naczelnikowi i po-

wóz, którym jechali, i ostatnią parę cugową. Po pańsku na Syberję ruszył! Taki był.

Zamyślił się, dziadek i ja, nad naszymi ojcami. Podobni byli do siebie, weseli i ofiarni. Obaj Kęccy.

— A cóż mu groziło?

— Szubienica. Podejrzewali go Moskale słusznie, że żandarmami narodowymi dowodził i szpiegów wieszać kazał. Ale dowieść mu nie dowiedli.

— A cóż Reinfeld w tem wszystkim?

— Ano, Reinfeld majątek nam ocalił. Jakem wrócił ze szkół i ręce z rozpaczy rozkładał, mówi mi matczyńsko, że Reinfeld już przysyłał po mnie i wzywa do siebie, do miasteczka. Pojechałem, bom wiedział, że byli z ojcem w konszachtach. Myślisz, że dobrze mnie przyjął? A jakże! Ponury był jak noc. Nazywał mnie paniczem, nie panem, rozłożył mi na stole rewersy ojcowskie, (a było tego z ostatniego roku mnóstwo) i pytał, co myślę teraz robić. Wzruszyłem ramionami, bom rady nie widział żadnej, chyba sprzedać za półdarmo. Wtedy zaczął mi rozkazywać ze złością. Przedewszystkiem należy ojca ratować: na klacz Arabełę ma chrapkę rotmistrz żandarmów, więc trzeba odesłać mu ją zaraz, żeby raport łagodny złożył; sam mam jechać

do Warszawy zawieźć ojcu pieniędzy, bo pewno bez grosza w Cytadeli siedzi. W pole niech wychodzą odrazu z tem co jest, a on sam na najbliższym jarmarku nowe fornalki mi sprzęże. Rewersy matka podpisze. Dał mi na drogę i dla ojca sto rubli, a kazał wracać duchem. Rozkazywał, bom i dzieciuch był prawie. „Tu robić trzeba, robić!” — krzyczał na mnie — „bo na głupstwa pieniędzy nie mam!” Ano, cóż? Marłem ze wstydu — a dziękowałem.

— I cóż miał w tem Reinfeld za interes?

— W tem sęk, że interesu nie miał żadnego. Mógł nas stradować, choćby i zaraz. Dopiero później dowiedziałem się od ojca, że razem broń sprowadzali. Reinfeld przemycał ją z Belgji przez pruską granicę za narodowe pieniądze. Wielkie sumy przez jego ręce przeszły! Niebezpieczne to były sprawy, polegały na tajemnicy i honorze. Znali się z ojcem oddawna, liczyli na siebie i nie zawiedli się obaj. Stąd później Reinfelda wdzięczność i pomoc.

— Pewnie że wdzięczność — mruknąłem sceptycznie. — Dorobił się wcale nieźle.

— Głupis, Michał! — rzekł dziadek ostro. — Nic jeszcze nie rozumiesz! Że się dorobił? No i co? Miał stracić? Mógł wisieć

każdej chwili — musiał choćby o rodzinie myśleć. A karabiny, mówił ojciec, dostarczał jak złoto, nowiusienkie. Dużo ty wiesz! Poważne w kraju firmy brały pieniądze i same potem denuncjowały Moskałom transporty na granicy. Transporty czego? — braku, zardzewiałego żelastwa! *Pecunia non olet*. Wiedz, Michał, że uczciwość na świecie rzadka jak diament, a wdzięczności prawie wcale niema. Rozumiesz?!

— Rozumiem, dziadku — potwierdziłem, choć uwierzyć w to nie mogłem jeszcze. Ani rusz!

— Otóż wziąłem się do orki i do siewu i co tydzień jeździłem do Reinfelda z listą płac. Sprawdzał mi ją nieraz, bo to człek surowy i nie po naszymu wychowany. Ale pieniądze dawał. Na jesieni sprzedał mi zbiory, wypadła niezła sumka, chciałem mu choć część oddać. Nie pozwolił. Kazał w folwarki pchać. Dorobiłem się wtedy koni lepszych i inwentarza. Rażniej poszło, choć czasy były djablo ciężkie. Przyszła moskiewska Komisja Włościańska z polakożerców: wszystko robili, żeby dwór z chałupą pokłócić. Na Wieliszewo, które też nasze było, ale ze wsią na czynszach, nawalili mi takich serwitutów, lotry, żem uradził z Reinfeldem parcelować.

Tak się też stało. A tu ojcu i Staškowi ślij gotówkę na Sybir, brat Józef żąda spłaty, Irena gwałtuje, Jadwiga pisze o posag do Kanoniczek... Latami sypiać nie mogłem z tych kłopotów. Radziłem się Reinfelda we wszystkim. Trzeba było i Radzyń sprzedać.

— Radzyń dziadek sprzedał?! — wrzasnąłem ze zgrozą.

— A sprzedałem — uśmiechnął się dziad Michał. — Nie było rady. Musiałem sprzedać. A później odkupiłem — dodał z pychą.

Wjechaliśmy na niewielkie i płaskie nawet wzgórze, z którego widać przecież było jak na dłoni całą tę równą okolicę. Dziadek stanął. Po połyskliwym złocie rżysk jak szmaragdy rozsypały się sadami folwarki: Stróże, Stara Wieś, Olszówka, Radzyń i Dąbrowa. Przy zachodzącym słońcu strzelały kępami drzew jak płomieniem. Wyżej nad inne wzniesiona, płonęła włoka starych dębów na Dąbrowie. Pałac stróżecki biał dumnie poprzez gęstwę.

Dziadek patrzył. Widać było z surowych rysów, że przyciska ten widok do serca, jak dziecko. Nie dziwiłem mu się wcale.

— Dla tej tu ziemi — wskazał biczyskiem dziadek — całem swoje życie stracił. Warowałem na niej jak pies przez lata i lata,

aż do siwego włosa. Sąsiedzi bawili się, kochali, żenili za młodu — ja nic. Najbliższa rodzina zamiast zrozumienia i wdzięczności usunęła się ode mnie, jak od dziwadła. Michał na ziemi został, Michał majątki zabrał, Michał się bogaci, Michał skąpi. Nawet ojciec, jak wrócił, pokpiwał sobie ze mnie.

— To pradziad wrócił z tej Syberji?

— A wrócił. Żelazny był człowiek. Tylko nogi sobie od kajdan osłabił i konno już jeździć nie mógł. Ale humoru się nie wyżył. Przywitał mnie, jakbyśmy się wczoraj rozstali, i kazał dać sobie pieniędzy. Dziwił się bardzo, że ja fornalkami jeżdżę; zaraz też kupił cugantów piękną parę i sforę chartów. Pojechał do Reinfelda i klepał go po ramieniu ze śmiechem. Jeździł po sąsiedztwie i po polowaniach ze swoim Wojciechem. Wybrał półwłóczek najlepszej ziemi i kazał mi na tego Wojciecha przepisać rejentalnie. Wiesz, gdzie Wojciech siedzi? O tu, kolonja na Olszówce! Taka ziemia! — westchnął dziadek. — Kazał... dałem. Należało się zresztą, choć dużo, uważam, dostał. Zresztą wszystko robiłem, co ojciec kazał. Do gospodarstwa mi się nie mieszał, tylko gotówki żądał. O moje zgryzoty nie dbał nic. Ja się o każdy grosz zabijałem, a ojciec mi: „Przy-

gotuj, Michał, na sobotę sto rubli, dwieście rubli, trzysta rubli“. Rodzinę tego lokaja, co mówiłem, ozłocił formalnie, że to sam stary już umarł. Żądał i uśmiechał się. Kiedyś odmówiłem wreszcie, bom i naprawdę nie miał. Nic mi ojciec nie powiedział, ani słowa, tylko znów zjawiły się u Reinfelda ojcowskie rewersy, niewielkie nawet, bo choć był hojny, na siebie samego niedużo wydawał. Zgryzłem się wtedy okropnie, że już ojciec ode mnie nie bierze, bom strasznie ojca kochał. Wziąłem któregoś wieczora całą kasę — trzysta pięćdziesiąt dwa ruble, jak dziś pamiętam — i położyłem na stole przed ojcem. Uśmiechnął się, wstał, wziął sto rubli, resztę odsunął i pocałował mnie w głowę. Niedługo już pożył. Zaziębił się na polowaniu i w trzy dni poszedł. Uścisnął mnie jeszcze za rękę i powiedział: „Dziękuję ci, Michał“.

Zamilkł. Milczałem i ja, bo co było gadać!

— Tych zgryzot, tych kłopotów dziesiątki lat wyżyć się nie mogłem... — ciągnął dziadek. — Budynki trza wszędzie nowe stawiać, Radzyń odkupić mam okazję, bo w drugie ręce już szedł — a tu mi Stasiak ze swoją garbarnią! Co mi tam garbarnia! Przemó-

wiłem się z nim ostro — a ten do adwokata! Darować mu tego nie mogę! Przecież mu nie zapierałem, mógł parę lat poczekać! Jedyną pociechę miałem wtedy z twojego ojca: przyjeżdżał tu do mnie co lato. Myślałem, że już dla niego pracuję, że po mnie to obejmie. Ale! Socjaliści go znętili i na doktora poszedł.

Tu urwał nagle i na konia cmoknął.

— No, co tam! — mruczał. — Niema o czem mówić!...

Ruszyliśmy truchcika. Ogromnie mi się mój dziad Michał podobał! Ale przecież miałem jeszcze wątpliwości na sercu.

— Dziadku! — rzekłem. — A do powstania dziadek nie poszedł? Dlaczego?

Dziad Michał tak się zdziwił, że aż zdart konia. Stanęliśmy znowu. Spojrzał mi w samé oczy.

— Co ty myślisz, zem ja tchórz? — powiedział bez żadnego gniewu. — Nie. I kto ci nagadał, zem nie poszedł? Poszedłem, owszem. Całą hurmą ruszyliśmy wszyscy ze starszych klas, zaraz 23-go stycznia. Dwu kolegów, co bliżej mieszkali, miało nawet dubeltówki, a reszta zwykle drągi. Prowadził młody profesor, bardzo czerwony. Znał się na wojnie tyle co i ja. Szukaliśmy w skier-

niewickich lasach jakiegoś „Rawy“, który miał nam dać broń i wymustrować. Łaziliśmy po lasach trzy dni, jak głupi. Ani rusz go znaleźć. Chłopy patrzyły na nas jak wilki. Sypiało się na gałęziach sosnowych w śniegu i błocie. Wkońcu powiedział nam leśniczy, że huzarzy z Warszawy już za nami tropią. Wtedy profesor, sam ze zmęczenia i głodu blady jak upiór, wygłosił do nas mowę patryjotyczną i puścił wolno. Podyrdał każdy, gdzie chciał. Ja do domu. Zniechęcił mnie taki rzeczy początek, bardzo mi się to nie wydało. „Bzdura!“ — myślałem — „bzdura“. Ojciec spojrzał na mnie dziwnie, ale nie rzekł nic. Był bardzo zajęty. A tu Padlewskiego Moskwa wzięła, Taczanowskiego rozbili, Rogińskiego na Podlasiu, Mierosławskiego na Kujawach... Bili wszędzie. Jak Langiewicza zrobili dyktatorem, chciałem do niego iść, bo długo się trzymał, ale cóż? Przeszedł do Galicji. Wściekłem się ze złości. A tu Stasiuk uciekł nocą do Czachowskiego na własnej ojcowskiej kasztance — szesnastu lat, szelma, nie miał! Matka płakała, a ojciec zaśmiewał się z uciechy. Akurat w parę dni potem partja nocowała u nas w Dąbrowie. Wziąłem ojcu dubeltówkę z nad łóżka i poszedłem z nimi. Ano, chodziliśmy zno-

wu, i to bardzo śpiesznie, bo Moskwa ganiała nas z powiatu do powiatu, jak koniokradów. Oni podwodami, my na piechty. Wypadło gdzieś pod lasem dać opór, bo przyparli mocno. Potyczka. Nie trwała i pół godziny. Oni walili do nas rotowym ogniem, a myśmy w całej partji tyle mieli karabinów, co ojciec dał — ze dwadzieścia. Reszta myśliwska broń i drągaljery. Strzeliłem ze dwa razy, jak podeszli bliżej tyraljerą. Ale! Wrzasnęli „ura!“ i z bagnetem na nas. My do lasu, bo co było robić? Czemu się bronić? Rwaliśmy jak zajęce. Sam wyrwałem biegiem z półtorej mili, żeby się im w ręce nie dostać. Wieczorem kupiłem we wsi chłopskiego konia i nocą wróciłem do domu. Powiesiłem znowu ojcu dubeltówkę nad łóżkiem — i nie ruszyłem się więcej. Nie miałem, widzisz, w to powstanie żadnej wiary. Głupio je wywołali, bo bez broni dziś się wojować nie da. Gniewało mnie to uciekanie i ta ciągła ofiara bez żadnego sensu. Naród, uważam, musi się rozumem rządzić. Żebym zresztą dostał się do jakiejś tegiej partji, do Czachowskiego choćby, do Chmielińskiego czy Bosaka — możeby to inaczej poszło. Ci bijali przecież Moskwę i nie raz! Ale i do powstania, widać, trzeba mieć szczęście...

Zawstydzilem się teraz swego głupiego pytania i zgniewałem na babkę Jadwigę mocno. Nic te damy nie rozumieją! Jechaliśmy w milczeniu. Przed pałacem dziadek zagadnął mnie znienacka:

— Cóż? I teraz myślisz, że ci ojca o dwa tysiące skrzywdził?

Zaczerwieniłem się jak rak. Schyliłem się z konia i ucałowałem dziadka w ramię. Dałbym się zań posiekać.

### XXIII. AMORE PROFANO.

Pysznie się nam z Kazikiem działo w tych Stróżach! Mieliśmy dla siebie ciemną zieleń parku i jaśniejszą łąk; mieliśmy żółty szum dojrzewających zbóż i zapach łubinów; mieliśmy wąską biel szos, i szary rozlew wód, i błękitną dalekość lasów; mieliśmy pogodę, i deszcze, i śnieg, i mróz. Wszystko to mieliśmy dla siebie na własność. Największą uciechę dawały nam konie i dziewczęta.

Jeździliśmy masę. Zwiedziliśmy Chodecz i Przedecz, Piątek i Sobotę, Łęczycę, Łowicz i Kutno. Zapuszczaliśmy się aż po Dobrzyń, Włocławek i Płock. Braliśmy w oczy te przepiękne i przebogate ziemie, obejmowaliśmy — rzecz można — rękami z konia tę sercu miłą Ojczyznę. Robiło się to na wesoło. Zabawnie było pić zimne mleko po chałupach i żartować z gospodarstwem, zabawnie opychać się po karczmach chlebem z kielbasą,

krajaną brudną rączką ślicznej żydóweczki, zabawnie — dla własnego śmiechu — „brać fason“ dziedziców po miasteczkowych knajpach. Dzięki Staškowi Rutkowskiemu i ruchliwości pana Kuleszy, wkrótce byliśmy zapan brat z całą młodzieżą sąsiedzką; mnie, jako Kęckiego, swojaka, przyjęto tam z otwartymi ramionami, Kazika — nieco chłodniej, że to — jak mówili — „Warszawiak“ lub — grzeczniej — „nie z naszych stron“. Latem włączyliśmy się po okolicy kawalkadami, zimą jeździliśmy kuligiem ku utrapieniu co skąpszych dworów. Miła to była banda, bo bardzo jeszcze młoda, zdrowa i niemądra. Uczyliśmy się flirtu i rycerskości, choć te nasze dziecinne flirty i rycerskość zalatywały jeszcze końskim potem.

Flirty zresztą niebardzo nas bawiły z Kazikiem: uprawialiśmy je tylko dla dobrego tonu. Nie. Potrzebowaliśmy wtedy czego innego. Potrzeba nam było ordynarnej fizycznej miłości, potrzeba było nagwałt i dużo, dużo! (O jakże daleko odbiegłem od eterycznych wzlotów i wyrzutów sumienia z przed dwóch lat!). Pękaliśmy z nadmiaru tężyzny. Kazik brał się do rzeczy po żołniersku, otwartym szturmem. W ten sposób zdobył natychmiast ową ładną pokojówkę, ale miał

stąd masę irytacji: wyszło najaw rychło, że jest ona przysięgłą kochanicą nie tylko fagasa-strzelca i każdego, kto zechce, ale — o, dziwo! — nawet i pana Telesfora. Po stwierdzeniu tego smutnego faktu, Kazik wyrzucił ją za drzwi i tydzień łąził ponury.

I ja nie miałem wielkiego szczęścia. Kiedyś w maju, chodziłem sobie z książką w ręku pod oknami starego drewnianego dworu, który to dwór dziadek, wybudowawszy pałac, zachował przecież z pietyzmem na skraju parku. Chodziłem sobie tedy alejką tam i zpowrotem, a mruczałem pod nosem formuły trygonometryczne. Dwór stał prawie pusty, bo mieszkał w nim tylko ów milczący byczek-szlachciura, dziadkowy administrator, ze służącą w wieku kanonicznym. To też nie zwróciłem nawet uwagi na otwarte okno: chodziłem, podpierając się nosem, i mruczałem swoje formuły z zajadłością. W pewnej chwili podniosłem przecież nosa z nad książki — i zdębiałem. W otwartym oknie stała śliczna blondynka i śmiała się do mnie. Tak, śmiała się do mnie. Zdębiałem jeszcze mocniej i sterczałem, jak wryty. A to kto?! A ta skąd znowu?! I taka ładna?! Musiałem wyglądać zabawnie w tem osłupieniu, bo śmiała się już głośno i nie do mnie teraz, lecz ze

mnie. Zaczerwieniłem się jak rak. Ukłoniłem się nawet głupio. A ona śmiała się dalej. Zgniewało mnie to, odszedłem więc szybkim krokiem. Ale na skraju alejki coś obróciło mnie mimo woli. Śmiała się znowu do mnie i kiwnęła mi głową. Skłoniłem się raz jeszcze. Tam, do djabła!

Wiedziałem o niej wszystko tegoż jeszcze dnia. Była bezdzietną wdową po pisarzu gminnym i kochanką administratorszlachciury od trzech już lat. (Administratorszlachciura, rzędca właściwie, bo dziadek przyznawał mu tytuł chętnie, ale pensję płacił rządowską.) Szlachciura trzymał damę serca dotąd w Łęczycy, lecz wydało mu się to drogo i niewygodnie. Sprowadził ją więc do Stróży cichcem: miała tu siedzieć, jak mysz pod miotłą (o, głupi!).

Rozumie się, że „kułem“ odtąd już tylko w tamtej alejce. O tej samej godzinie. Widywałem ją też codzień. Wydała mi się rozkoszna: taki wesoly buziak i śliczny! Gotowało się we mnie. Kłanialiśmy się sobie, ale skoro tylko chciałem się zbliżyć, uciekała ze śmiechem w głąb dworu. Gdym nastawał gestami, kręciła mi głową surowo. Byłem głupio posłuszny, jak to młody.

Noce miałem bardzo gorące i niespokojne. Kłąłem nawet słowiki.

Nie ja sam zresztą zwiedziałem się o niej. Podkładał się pod te okna i Kazik-gałgan, a kiedyś natknąłem się w alejce i na pana Kuleszę. Na dobitkę, zamiast siedzieć cichutko jak mysz, śpiewała wcale miłym głosem. Skandal wisiał w powietrzu.

Któregoś południa, do tygodnia może, idąc na obiad, usłyszałem w małym salonie rubaszny śmiech pana Telesfora i podniesione głosy naszych pań. Gdym wchodził, babka dowodziła czegoś gorąco z szerokim rozkładaniem rąk, a dziad Michał kiwał na to głową, wruszając ramionami. Najgorzej denerwowała się panna Piotrowska.

— Konkubina! Konkubina! Wstyd! — syczała właśnie, wznosząc ku niebu chude ręce.

Na twarzy miała ceglaste wypieki z pasji i wielkiego wzruszenia. (O, ten pan Kulesza! Djabli go nosili po mojej alejce!)

Obiad minął chmurnie, poczem dziadek poprosił administratora do gabinetu. Zaraz też doszedł nas tęgi i obruszony baryton szlachciury.

— A cóż, u licha, panie dziedzicu! Na księdza przecież nie idę! Co mi z tych jazd!

do Łęczycy, głupie dwa razy na tydzień?! Jestem chłop, panie dziedzicu!

Dziadek ściszył go, widać, bo dosłyszałem jeszcze jeden jedyny wyraz: Olszówka. A niechże to kroć sto tysięcy!! Sto tysięcy panna Kuleszę, i sto tysięcy pannę Piotrowską! Było jasne, że administrator zamieszka teraz w Olszówce i sprzątnie mi gratkę z przed nosa! A niechże to djabli!

Wyczekałem jeszcze, aż szlachciura ruszy w pole i poszedłem pod stary dwór. Spodziewano się mnie najwidoczniej. Tym razem podała mi przez okno rękę, której nie puściłem już ze swoich. Mówiliśmy szeptem, ledwie kilka słów:

— Pani jedzie? Do Olszówki?

— A jadę — śmiała się.

— Więc jakże z nami będzie?

— Nic nie będzie.

— Musi być! — krzychałem prawie, ciągnąc ją za rękę, żeby schyliła przeciw buziaka ku mnie.

— Och, jaki niecierpliwy! — opierała się ze śmiechem.

— Ja tak proszę...

— Teraz nie można... Nie można... Niech panicz sobie idzie. Teraz niech sobie idzie...

Walczyliśmy już prawie ze sobą, dysząc ciężko. Silna była osoba: jakby przyrosła do futryny! Tylko szczyrzyła białe wilgotne zęby, a krew buchnęła jej w twarz jak zorza. Rozgoryczył mnie ten opór. Puściłem.

— No to nie! — mruknąłem chmurnie.

Ale ledwiem się cofnął o kilka kroków, gdy ręką od ust rzuciła mi pocałunek. Skoczyłem na okno jak ryś. Już miałem kolano na parapecie, gdy strąciła mnie całą siłą. O małym nie fiknął. Tym razem była naprawdę gniewna. Rzuciła mi jeszcze tylko:

— Trzeba być cierpliwym. Trzeba czekać. Sama dam znać.

I poszła. Byłem cierpliwy, czekałem, spodziewałem się znaku. Po nocach wzdychałem ciężko. — Byłem osioł! Nie doczekałem się, oczywista, żadnego znaku. Byłem głupie szczenię! Nie wiedziałem jeszcze, że i najzyczliwszą kobietę trzeba sobie zdobyć. Przedefilowałem coprawda kilka razy przez Olszówkę, ale droga szła przez podwórze, a dworek siedział w sadzie. Nie widziałem żywego ducha. Obraziłem się wtedy. Usłyszawszy nawet, że dziadek wysłał szlachciurę do Warszawy, nie ruszyłem się ze Stróży krokiem. Uniosłem się dumą jak najgłupiej: niech sama mnie wezwie! Czekałem

w gorączce. — A jej ani się śniło mnie wzywać!

Ano, nie wiodło mi się w miłości! Ale i w tych tarapatkach nie traciłem apetytu, a oczy miałem szeroko otwarte na wszystko. Któregoś ranka asystowałem przy podkuwaniu swego kozaka, gdy nadszedł właśnie młodszy brat naszego kowala, nauczyciel ludowy z sąsiedniego Wieliszewa i duma rodu. Wykształcił go wikary-entuzjasta i na tę drogę puścił, że to księdza zeń się zrobić nie dało. Chłopczysko było wesołe i rozgadaliśmy się zaraz. W pewnej chwili wyciągnął z za pachy gazetkę i mrugnął na mnie okiem.

— A to pan zna?

Wziąłem do rąk: „Polak“, nielegalne piśmko narodowe. Zdziwiłem się.

— Skądże to pan dostaje?

Uśmiechnął się sprytnie i wymijająco.

— Zagranicą drukują... To nie nasza cenzuralna „Gazeta Świąteczna“. Ostro piszą.

Zawiadomiłem pana Kuleszę o tym nauczycielu. I on się uśmiechnął, mówiąc, że to dzielny człowiek i że zna go dobrze. Wymienił mi też z dumą liczbę egzemplarzy owego „Polaka“, którą zdołał dotąd rozrzucić wśród ludu. Pęczniał z pychy, stwierdzając, że za jego wpływem wszystkie prawie panny

w okolicy założyły ochronki, że wszędzie odbywają się tajemne odczyty dla młodzieży wiejskiej. O, tej niedzieli Kazik Umiński ma gadać w Wieliszewie o wojnie 1830-31 roku... Tak, Kazik Umiński, choć nie jest, jak wiem, narodowy demokrat. Może więc i ja dałbym się do tych prac wciągnąć?

Tęgi był chłop z pana Kuleszy! I świetny agitator. Ale odmówiłem z godnością. Ciesząc się serdecznie z sukcesów tej propagandy, uważałem przecież, że jako przekonane-  
mu socjaliście (o, dzieciuch!) nie wypada mi przykładać ręki do triumfów innego stronnictwa. Oni swoje, a my — swoje.

Moje zadanie — socjalistyczne — było nawet znacznie trudniejsze. Mimo swej całej naiwnej młodzieńczości, rozumiałem przecież, że szkoda było czasu prawie chłopom-gospodarzom o żelaznem prawie płacy. Zwróciłem się też odrazu do parobków i fernali. Warunki ich bytu przejmowały mnie zgrozą. Za owych czasów fernal, co robił w parę koni, za całoroczne harowanie brał czterdzieści rubli gotówką i ordynarję; dostawał też parę zagonów pod kartofle i wolno mu było trzymać krowę i „świnioka“. Zato powinien był jeszcze dostarczać folwarkowi taniej siły roboczej: pracowały na pańskim jego

dzieci, a jeśli były za małe, musiał trzymać „posyłkę“, obcego parobka lub dziewczuchę (najczęściej dziewczuchę), którą odziewał i żywił, zagarniając wzamian całą prawie nędzną jej zapłatę. Los tych „posyłek“ był opłakany. Nieszczęsna ta młodzież grzebała cały dzień Boży w burakach czy ziemniakach, przy żniwie czy młocce, na deszczu, w spiekocie i w kurzu, pod groźnem pokrzykiwaniem karbowego — a ten dzień Boży był wtedy nielitościwej wprost długości: w żniwa dzwonek na robotę wrzeszczał już o trzeciej zrana, a schodziło się z pola o zmroku. W lecie dwór wypłacał za to po trzydzieści kopiejek na głowę, a w zimie i po czterdzieści groszy. Psie to było życie! A w dodatku warunki mieszkalne! Gnieździło się to w czworakach, czy ósmiorakach, co izba — to rodzina, śród brudu, smrodu, psów, bydłatek, kobiecych kłótni i wrzasku dzieciarni. Tych dzieci były ilości wprost niesłychane, bo pracą przysparzały dochodu rodzinie od maleńkości. W izbie stało zwykle jedno jedyne zapchlone łożo małżeńskie; reszta sypiała na ziemi pokotem. A owe czworaki i ósmioraki przerabiano często na ludzkie mieszkania z obór i z owczarni. Nie. Niedobrze się słuźbie folwarcznej działa. Bardzo źle.

Oburzało mnie to wszystko do głębi duszy. Badając te stosunki, zachodziłem nieraz do owych cuchnących izb i w rozmowach z fernalami dawałem folgę swym uczuciom. Kląłem siarczyście i pytałem, jakże tak żyć mogą? Ale oni w dnie powszednie byli zbyt senni i życzyli sobie tylko, abym się wyniósł jak najprędzej; w święta — na wyspanego — skarżyli się niby, dość zresztą oględnie, ale widać było, że spodziewają się po mnie raczej rubla, albo „pozwoleństwa“ na drugiego „świnioka“, niżli poprawy losu. Niebardo rozumieli poco do nich łążę, i z uporem pchali mi w ramiona ową dziewczynę-posyłkę i tak zawsze zbyt chętną. I tu nie było z kim gadać o teorji nadwartości. Mieli mnie, zdaje się, w tych czworakach za młodziaka i chyba trochę pomylonego. Miarkowałem to dobrze.

Najbardziej zaś gniewało mnie i dziwiło, że wszyscy ci ludzie wydawali się dość zadowoleni. Byłe było zdrowie, żarcie i kieliszek wódki — nikt się tu o nic nie martwił. W niedzielę na odwieczarz fernali siadywali na przyzbach z machorką bardzo kontenci, a parobcy gzili się z dziewczętami. O własnej przeszłości ludzie ci nie myśleli wcale. Jeśli który i marzył o kawałku własnej zie-

mi, to tylko w formie pobożnych i beznadziejnych westchnień. Jeśli czuli zawiść, to raczej do małorolnych gospodarzy, a nie do dworu. Dziadek był dla nich za bogaty i za potężny. Cenili go za sprawiedliwą surowość i szanowali ogromnie. To był pan.

Nie, niełatwo jest wprowadzić ustrój socjalistyczny w pojedynkę. Moja agitacja zjednała mi ogólne pobłażliwe lekceważenie i jednego tylko zwolennika, starszego już fornała, Marcina. Ten Marcin był inteligentniejszy od innych, ale bardzo swarliwy; popijał też tego co niedziela, a w poniedziałki był w okropnie kiepskim humorze. Żył z własną „posylką“, a żonę bijął dość często. Miał też pretensję do dziadka, że pominął go przy awansie na cugowego stangreta. W tym to właśnie Marcinie pięknie weszło rzucane przeze mnie ziarno: kłócił się z administratorem zęb za zęb i gotów był iść na pałac choćby z ogniem. Powoływał się przytem na mnie.

Kiedys dziadek wezwał mnie do gabinetu.

— Czyś ty oszalał, Michaś! — rzekł. — A pocóż ty mi ludzi buntujesz?

— Badam stosunki wiejskie, dziadku — odparłem wstydliwie.

Była w tej odpowiedzi prawda, bo moja

agitacja wynikała raczej z nadmiaru współczucia i temperamentu; w zasadzie chodziło mi tylko o gruntowne zbadanie stosunków ekonomicznych. Marzyłem coby w ciichości o jakimś pięknym strajku rolnym, alem rozumiał przecież, że nie wypada zaczynać od rodzzonego dziadka. Teraz zdziwiło mnie tylko, że dziadek Michał jakoś niebardzo się gniewa. Pomyślałem ze smutkiem, że i on lekceważy moje wysiłki.

— Ładne badanie! — mówił dziadek. — Doczekasz się z tych badań, że Marcin pchnie widłami karbowego, albo i rządę! Szczęście, że chłop gałgan i pójdzie precz na gody.

— Psie życie mają ci ludzie u dziadka — stwierdziłem odważnie.

— U mnie?! — zdumiał się dziadek raczej, niż obraził. — I czegoż tak krzywdują?

— Wszystkiego. I płace liche, i z ordynarją ledwie obstoją, a już te czworaki z owczarni! Niskie to, ciemne, ciasne! sypiają na klepisku jak bydło! Mógłby też dziadek choć podłogi dać kazać.

Teraz dopiero rozgniewał się dziad Michał, bom trafił, widać, z temi czworakami celnie.

— Co mi tu gadasz, smarkaczu! — krzyknął. — Czworaki! Ja tu Radzyń drenuję,

a ten mi czworaki! Mnie o ziemię idzie, a nie o ludzi, rozumiesz? Będzie chleb, będą ludzie. Ojcowie ich tak sypiali, to i oni mogą! Czworaki!! Na swoim wystawisz im pałace, a mnie, proszę, nie krytykuj! Wymawiam też sobie, Michał, te twoje konszachty! Wolno ci błazna z siebie robić, ale rób na swój rachunek, nie na mój. Badaj, co chcesz, ale język trzymaj, proszę, za zębami! Rozumiesz, Michał?!

— Dobrze, dziadku — rzekłem zniechęcony i pochmurny.

Już miałem wyjść, gdy odwołał mnie od proga. Był już znowu spokojny i ironicznie poważny.

— Jeszcze to ci chciałem powiedzieć — mówił. — Wiesz, że w ostatnim roku ziemia nie dała procentu Listów Zastawnych? Wiesz, że Moskale nas taryfami gnębią? Wiesz, że ich „krupeczatka“\*) tyleż kosztuje w Warszawie, co i moja mąka, stąd, ze Stróży? Znasz traktat handlowy z Niemcami? Te jeszcze rzeczy sobie, panie socjalisto, rozważ, a potem świat zbawiaj. Możesz iść.

Wyszedłem jak zmyty, bo rzeczywiście o owych taryfach i traktatach nie wiedzia-

---

\*) Najwyższy gatunek mąki rosyjskiej.

łem nic. Zaprenumerowałem więc „Ekonomistę“ i wziąłem się do czytania dziadkowych pism rolniczych. Szło mi to zresztą jak z kamienia, bo pogody były cudowne i właśnie nadeszły żniwa. Nauczyliśmy się kosić i całe dni, poza lekcjami, spędzaliśmy w polu. Koszenie było ciężkie i rozkoszne. Braliśmy się do tej roboty nie z pańskich fanaberyj i nie z powodu wyrzutów sumienia, jak Tołstoj, lecz poprostu z nadmiaru siły i zdrowia. Wydierało się kosę pierwszemu chłopu z brzega (który bardzo to sobie chwalił) i szło w upale wolno, równo, krok za krokiem, czerwony, spocony, wsłuchany tylko w swój równomierny rozmach — ciach! ciach! ciach! Po godzinie albo półtorej siadaliśmy znowu na koń i walili kłusa do rzeki: cóż to była za kąpiel!

Piękne były urodzaje tamtego roku. Co dnia przybywali bandosi na dziadkowe folwarki. W polach stał śpiew i zgiełk. Było wesoło. Kiedyś pojechaliśmy na Radzyń do świeżej partji robotnika: wiązali snopy za kosiarzami. W samym środku długiego szeregu tkwiła tam dziewczyna, jak chaber w zbożu. Zdumieliśmy się z Kazikiem na widok tej urody. Panna! prawdziwa panna! nie dziewczka, tylko panna! Liczko owalne

pięknie, rysy delikatniusię, usteczka jak ma-ki, szczupłość, wzrost! Ruszyliśmy tam natychmiast, razem, jak na komendę. Miała lat może z osiemnaście. Podniosła na nas wielkie szare oczy nieśmiało. Panna! dali-bóg — panna! I musi pracować tak ciężko! Drze rączęta powróstem jak wszystkie! Ogar-nęła nas z Kazikiem najwidoczniej zgroza, bo nie odstąpiliśmy już dziewczyny ani na chwilę. Otoczyło ją jakieś niewidzialne ko-ło magiczne, w którym dreptaliśmy sobie po piętach, bocząc się wzajemnie na siebie, i ani dbając o głośne już prześmiewki starszych dziewczek i żniwiarzy. Przy obiedzie byliśmy niemowni i nachmurzeni, a zaraz po czarnej kawie rzuciliśmy się do stajni. Na wyścigi. Cóż kiedy Kazik — chytry gałgan! — nie ka-zał rozsiodłać konia i z miejsca wziął karje-ra! Na moje klątwy wzruszył tylko ramio-nami: zyskiwał kwadrans czasu. Gdy nad-jechał, siedzieli sobie z dziewczyną pod kopą i rozmawiali bardzo uprzejmie. Spojrzałem na Kazika jak wilk, ale było już poniewcza-sie. Tak myślał i karbowy, bo bez próżnych gadań dał inną dziewczkę do wiązania. Miał szelma-Kazik szczęście! Nie popuścił już dziewczyny. Umieścił ją u kowala na strysz-ku, żeby nie sypiała przecież z bandosami,

i zaraz wziął korepetycje w okolicy, za dzie-sięć rubli, że to pieniądze mu były potrzebne. I ja pożyczyłem, com miał. Ubrał dziewczy-nę pięknie i bronił przed ciężką pracą. Jeśli podawała snopy, to on je odbierał z pewno-ścią. Pilnował jej jak oka w głowie.

Przyszły i dożynki. Dziadek zasiadł na fotelu przed pałacem i przyjmował plon ca-lorocznych prac z wielką pompą. Za wieniec dał tegiej przodownicy sztukę złota i pokle-pał ją łaskawie po czerwonych pyzach. Za-czem słuchaliśmy śpiewanych komplementów i niezdarnej satyry. Mnie potraktowano jako młodego Kęckiego. Dowiedziałem się, że:

*„Pod dąbrową czarna rola,  
„A nasz panicz kiej topola“.*

Była to wiadomość mało interesująca. Wszystkich zastanowił raczej dalszy dwu-wiersz:

*„Posłuchajta ładnej śpiewki,  
„Że pan Kazik lubi dziewczki“.*

Panu Telesforowi podobało się to ogrom-nie. Umińskiemu mniej. Ale już przeszliśmy na podwórze, gdzie stały zastawione stoły. Żydowska orkiestra z miasteczka różnęła od

ucha i jak sto djabłów. Dziadek przepił siwuchy do włodarza, poczem używał sobie każdy jak chciał: krajano ogromne zrazy mięsiwa z białym chlebem, kiełbasę mierzono na łokcie, zacnym szeregiem pęczniały ogromne antały piwa na krzyżakach, wódkę dźwigano wiadrami z własnej gorzelni. Dziadek występował na dożynki hojnie i z tradycji i z wyrachowania, boć trzeba zachęcić bandosa, żeby przyszedł i na następne żniwa. Była nawet i słodka wódka dla dziewczek, był arak dla starszyny, były i kosze wczesnego owocu. Służba dworska uważała tylko, żeby biesiadnicy nie brali wiktuałów do kieszeni na zapas — ale i tak wszyscy dogodzili sobie dobrze. Tańczono na klepisku. Tańczono obertasa, tańczono polkę-tramblantkę, próbowano i walca, ale oberek najlepiej się udawał. Coraz to rozlegały się stamtąd radosne wrzaski: u-ha-ha! Dziadek prosił Kazika i mnie, żebyśmy dali baczenie na ogień, ale gdzie! — musieliśmy tańczyć. Kazik — szczęśliwiec — wywijał tylko ze swoją Jagusią. Mnie zato czepiły się jak rzep wszystkie starsze jędze z czworaków i ósmioraków (oto skutki agitacji socjalistycznej!). Nie darowała mi żadna, a któraś — osoba o wielkim temperamencie — wyszczypała mnie w obe-

reczku bardzo nieprzystojnie. Korzystając z zapadającego zmroku, umykałem z koła co prędzej, aby odetchnąć przecież świeżem powietrzem. Zbrzydła mi ta zabawa. Na szczęście nadciągnęli gospodarscy synowie z Wieliszewa i wzięli się do tańca bardzo ostro. Zapalono przygotowane pochodnie.

Stałem sobie po dwóch wódkach na ubożu, nieco rozmarzony i smętny, gdym uczul na ramieniu lekką dłoń. Obróciłem się: ona, moja blondynka! Jakże wydała mi się piękna! Śmiała się. W czerwonym blasku oczy i zęby lyskały jak ognie. Opasałem jej kibić bez słowa i wprowadziłem w koło. Był tłok. Przycisnąłem ją do siebie z całej siły. Rzucała ku mnie oczyma. Śmiała się.

— Czemu pan nie przyjechał?

— Czekałem przecież znaku. Sama pani mówiła.

— Och, jaki śmieszny!...

Milczałem z goryczą i zachwytem: miałem ją przy sobie tak blisko! Nie obracałem jej wcale, chodziliśmy sobie w takt w tym ścisku i hałasie. Uczułem nagle, że dyszy ciężko i sama tuli się do mnie. I ja dyszałem. Ledwie mogłem przemówić:

— Byłem w Olszówce nie raz...

Wysunęła się na to z koła i prowadziła

mnie za rękę bez słowa. Minęliśmy podwórze i park biegiem prawie. Stańliśmy przed starym dworem. Rzekła mi ustami w same usta — cicho! Miała klucz od kuchni — jaka sprytna! jakże kobiety są sprytnie i przewidujące! Ledwieśmy doszli do starej otomany w saloniku: nie mogła uwolnić się ani na chwilę z moich objęć.

Potem tańczyliśmy znowu i pili słodką wódkę. Nikt już na nikogo nie uważał. Podochoczone babska wrzeszczały ostremi głosami. Wszędzie poza dosięgiem pochodni leżały czarne cienie. Dostyszałem z jakiegoś kąta niezgrany chór męski. To pan Kulesza ze swymi adeptami usiłował śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła“. Nie obeszło mnie to wcale. Miałem rękę na jej piersiach i szepnęła mi właśnie:

— Chodź!

Zostaliśmy w starym dworze do rana. Och, jakże mnie pieściła!

#### XXIV. PRZEŁOM.

Maturę zdawaliśmy w Samarze razem z Litwinem Borejszą, z którym zaprzyjaźniiliśmy się w wagonie. Stańliśmy w hotelu Szlacheckim na Szlacheckiej ulicy, bo był najporządniejszy, choć też niebardzo czysty.

Rosja zdumiała mnie. Podczas podróży jeszcze zrozumiałem odrazu, że Europa kończy się tu — łagodnym zresztą przejściem — na wschodnich granicach Rzeczypospolitej, mackami Rygi i Petersburga sięgając jeszcze Bałtyku na północy. Dalej idzie Eurazja. Z początku słowiańska z bizantyjsko-tatarskim akcentem po Moskwę i Okę, dalej mieszana, mieszana ku Wschodowi coraz bardziej, aż do cieniutkiego ledwie pokostu słowiańszczyzny za Wołgą. Kreml zachwycił mnie szczerze swą obcością. Ale dopiero podczas pobytu w Samarze przekonałem się ze zdziwieniem, że Rosja etnograficzna jest właściwie niewielka. Samo miasto było niby

rosyjskie, ale, włącząc się z Kazikiem po bazarach i porcie, poznaliśmy niezwykłą ilość bardzo obdartych zresztą nacyj; paradowali tu obok siebie w przeróżnych strojach: Baszkirzy, Kałmucy, Mordwa, Czuwasze, Piermianki, Wotiaki, Tatarzy i Kirgizi, że ledwo wspomnę o nadwołżańskich Niemcach. Bawiła nas ogromnie ta świetna różnorodność. Stało się też dla nas jasne, skąd nasi nauczyciele w Warszawie, Rosjanie, miewali nieraz skosnawę oczy i wystające kości policzkowe.

Bawiły nas przedewszystkiem obyczaje samego miasta. Mimo owej Szlacheckiej ulicy, było ono wybitnie kupieckie, bardzo nawet bogate i pełne słynnego „szerokiego“ animuszu. Nie będę tu opisywał kawalkad po nocy trójkami z muzyką i z *gikom*\*), ani brania szturmem sceny i tancerek w miejscowym „Château des fleurs“, ani owych dziwacznych awantur w Parku Miejskim, które, po wybiciu kilku zębów, kończyły się niezmiennie *pagalownem*\*\*) pijaństwem. Było to dzikie i raczej dość sympatyczne, bo dziecinne i dobroduszne. Z sympatją obserwowaliśmy masowe „boje kułaczne“ ludności po obszernych placach, a sobotnie melo-

\*) Okrzyki na konia.

\*\*) Ogólnem, pogłównem.

dyjne bicie w dzwony tkwi mi po dziś dzień w uszach.

Ale, stosownie do wieku, kobiety podobały się nam najbardziej. Mieliśmy szczęście. Któregoś wieczora spotkaliśmy na hotelowym korytarzu trzy zgrabne paniąki w brązowych mundurkach gimnazjalnych. Numerowy objaśnił nas chętnie, że przyjechały zdawać maturę, jak i my. Rozumie się, że cały wieczór obmyślaliśmy głośno wskazaną w tym wypadku strategję i taktykę. Obeszło się. Nazajutrz w samo południe zastukano we drzwi nieśmiało i trzy brązowe gracje wkroczyły do nas same. Jakież były milutkie! Dwie Żydówki i Rosjanka. Zdumiliśmy się mocno, aż do rumieńców. Ale już najbrzydsza (choć też bardzo miła — szpeciły ją tylko niemądre okulary na zgiętym nosku) wygłaszała do nas mowę programową. I one dowiedziały się już o naszej maturze i oto powzięły zamiar wspólnej nauki do egzaminów. Bo chociaż kobiety w niczem nie ustępują mężczyźnie, a intuicją przewyższają go o całe niebo, pewna pomoc jednak w trygonometrii i analizie algebraicznej przydałaby się im bardzo. Boją się trochę przytem, bo po hotelu włączają się oficerowie i pijane kupczyki, a rycerskość nas,

Polaków, znają jeszcze z Kijowa. Są pewne, że, jako inteligenci, ocenimy ich odważny, ludzki, koleżeński gest i potrafimy uszanować godność kobiety, wyzwolonej z przesądów. — Świetnie! Byliśmy zachwyceni. Ja już w czasie przemowy stanąłem obok najładniejszej, żeby mi jej Kazik, gałgan, znowu nie sprzątnął z przed nosa, jak Jagusi. Nasz ogromny stół, zavalony książkami, nadawał tej scenie cechy suchej rzeczowości. Przedstawialiśmy się kolejno, a one dygały z powagą. Moja Raisa, Zoja i Luba.

Lube były wszystkie trzy. Zaczęło być strasznie wesoło. Uczyliśmy się pracowicie owej analizy, ale cóż, kiedy były, szelmy, leniuchy. Co chwila wszczywały jakieś dyskusje, co kwadrans śmieliśmy się chóralnie, a po godzinie — dla rczprostowania nóg — tańczyliśmy mruczanego walca w trzy pary. Razem jedliśmy obiad i kolację, poczem żegnaliśmy je z wielkim szacunkiem i westchnieniami.

Szanowaliśmy te koleżanki naprawdę, ale cóż z tego? Zanadtośmy się sobie udali. Nazajutrz mówiło się o miłości gorąco, do wypieków, aż wreszcie owa mądrała Zoja w okularach pierwsza siadła na kolanach milczącemu olbrzymowi Borejszy, żeby do-

stać ognia od jego papierosa. Ten wyzwolony gest zapalił Litwina całego, a i nas wszystkich. Raisa spłonęła na ponsowo, a ja nie puściłem już jej ręki. Wieczorem pływalismy po Wołdze barką przy księżycu. Jakże to można było wytrzymać? Dzielna Zoja usprawiedliwiała się głośno i niepotrzebnie, że trzeba poznać wszystko na świecie i że idą i tak na Kursa Medyczne, gdzie wstydlivość nie jest na miejscu.

Pachniało to wszystko młodością, jak jaśminem. Moja Raja wstydziła się tylko swej skromnej bielizny i tylko wtedy kazała mi się odwracać! Zresztą była z siebie dumna i najśluszniej w świecie! Co wieczora każdy z nas kształcił swoją wybrankę w wiedzy i miłości. Noce przed każdym egzaminem spędzaliśmy przy czarnej kawie: na zasadzie rozsądnej umowy pieściliśmy się wtedy ledwo co dwie godziny. Dziewczęta rozkwitły, a myśmy, po miesiącu, wychudli jak charty.

Ale zdaliśmy maturę wszyscy sześcioro, bo mimo najsurowszych rygorów zdołaliśmy przesłać kochankom „ściągaczki“ z rozwiązaniami zadań. W powrotnej drodze żegnaliśmy się w Moskwie przez trzy upalne noce. Na dworcu polały się łzy. Widzę jeszcze

splakaną buźkę Raisy i słyszę jej rozszlochany głosik:

— Ty mnie nigdy nie zapomnisz, Misza? Nigdy?!

Borejsza, jak stał, z nagłą decyzją, wskoczył do pociągu już w biegu wśród ogólnych wrzasków. My z Kazikiem zostaliśmy na peronie, wiewając chustkami. Zostaliśmy. Ale, rozumie się, żem nie zapomniał mojej miłej Rai. Pamiętam ją do dziś, choć nie słyszałem już o niej nigdy w życiu.

Odpasłem się w Stróżach bardzo prędko. Jadłem, spałem przez cały dzień, a nocami podkradałem się do Olszówki, korzystając z tegoż snu administratora. Lato mi przeszło jak z bicza trzaśł. Zaczęły się polowania. Dostałem od matki świetną dubeltówkę i tłukłem kury i szaraki po całej okolicy. I dziadek urządził tradycyjnie na św. Michała dwudniówkę z naganką i kotłem: były to imieniny jego i moje, jedyna okazja w roku, kiedy przyjmował sąsiedztwo dość wspañiale. Rano, po wzajemnych życzeniach, dziadek wręczył mi sturublówkę w prezencie, bardzo wesołe śniadanie myśliwskie jedliśmy na Dąbrowie, wieczorem tańczyło się trochę, a nocą w gościnnych pokojach zakwitł bak przy winie. Cała młodzież zeszła

się prawie bez zmywy i odrazu gra wszczęła się bardzo ostra. Zdumiała mnie ilość gotówki, jaką rozporządzali ci panowie; nigdy nie widziałem tylu naraz pieniędzy. Stawiałem swoje głupio i nieśmiało. Wygrywał, oczywista, najmajątniejszy i bardzo mi niesympatyczny; zgarniał złoto niedbale, jak plewę, i podśmiewał się z tchórzliwych stawek. Zabrał mi sto rubli dziada Michała w pół godziny. Z wypiekami na twarzy przegrałem resztę własnej gotówki w dwu rzutach, poczem siedziałem przy partji bezmyślnie jak oczadziały. Bardzo mi się to nie podobalo! Nie byłem skąpy, a żal mi było tych pieniędzy obrzydliwie. Nie, nie umiałem jeszcze grać. Wróciłem do siebie kwaśny, jakbym się octu napił.

A dziad Michał był nazajutrz jeszcze kwaśniejszy ode mnie. „I jemu się nasz bak nie podobał“ — pomyślałem obojętnie. Ale dziadek przed samą kolacją rzekł mi na uboczu:

— Uważasz, Michał, zamało ci wczoraj dałem. Masz tu jeszcze setkę.

Zdumiała mnie ta hojność, ale wziąłem pieniądze z uciechą. Wytańczyłem się tego wieczora za trzech i zaraz poszedłem do łóż-

ka. Ani mi się śniło grać, choć pukali do mnie. Miałem dość zeszłej nocy.

Humor dziada Michała zastanowił wszystkich tego rana. Pił z gośćmi strzeziennego na ganku i odprowadził panie do stróżeckiej granicy. Po obiedzie wezwał mnie do gabinetu.

— Toś ty nie grał, słyszę, tej nocy? Co?

— Nie głupim, dziadku! I tak mi dosyć zabrali.

Śmieliśmy się do siebie obaj. Ja z dziadkowej chytrłości (o, podstępny starzec! dał mi drugą setkę dla sprawdzenia, czy się będę odgrywał), dziadek — z udanej próby. Bardzo się cieszył.

— Chodźno, Michał — rzekł.

Wstał z za biurka, nachylił mi głowę obu rękami i pocałował mnie w czoło niezgrabnie. No, no! Tyle czułości!

— Będziesz miał swoje czworaki! — mówił wzruszony — wystawię ci na wiosnę jak pałace, żebyś nie urągał. I ochroniarkę sprrowadzę zaraz. Tak, chłopcze! Bądź sobie socjalistą, czy djabłem, byleś mi w karty nie grał!

Ano, zdobyłem swoje czworaki nie agitacją, lecz bakiem! Nie wątpiłem też już wcale, że będę dziedziczył po dziadku. Narazie

pojechałem do Warszawy, na Uniwersytet, na prawo.

Miałem rok dwudziesty i byłem studentem: w tem krótkim zdaniu mieści się całe ogromne szczęście. Pamiętam jeszcze swój niemądry uśmiech, z jakim przymierzałem u krawca wspaniałą nowiuteńki mundur. Bo i cóż mieliśmy za mundury! Granatowe ze złotolitym kołnierzem i mankietami, wcięte w pasie po wojskowemu, ze złotemi guzami z nakładanym orłem państwowym. Nie cieszyłby się z takiego stroju chyba ostatni fajfuła. Każdy z nas błyszczał jak mosiężna klamka: dziewczęta, drzyjcie! Drżały też.

Moja dystyngowana siostra, obejrzawszy mnie krytycznie, orzekła, iż wyglądam wcale wcale, i zaraz wyciągnęła na spacer w Aleje. Mały brat przyrodni, Robert, patrzył na mnie z nabożeństwem, jak ja sam ongiś na pana Srzednickiego; tylko matka westchnęła lekko na mój widok — z żalu za własną młodością.

Stał mi otworem cały świat i wszystkie drzwi w tem mieście. Bo Warszawa przepadała za swymi studentami. Byliśmy jej dumą, jak ułani za księcia Józefa. Najbardziej wyszarzany mundur miał przywileje towarzyskie najszykowniejszych fraków; kobiety ginęły za nami z natury rzeczy, a i mężczyźni

traktowali nas z wyróżnieniem. W ówczesnym bogatym mieście, w przybitym niewolą społeczeństwie groszorbów, byliśmy ekspozyturą jego ideałów, niezawodnym termometrem nastrojów politycznych. Społeczeństwo liczyło na nas jak na Zawiszę i nie zawiodło się nigdy. Stale byliśmy nastawieni sztorcem przeciw Moskwie i gotowi do protestu każdej chwili. Nie było nas wielu, ledwie kilka tysięcy, ale surowa selekcja rosyjska przesiewała mimowoli do szkół wyższych co najcięższe jednostki. Resztę robiły owe kółka uczniowskie i organizacje w łonie samej studenterji. Nad poziomem naszej moralności czuwał tajny Sąd Młodzieży Polskiej, słynny z iście drakońskich wyroków i sprężystej egzekutywy.

Wszystko to nie przeszkadzało radości życia ani trochę. Pieniądzy miałem wbród, bo i pan Vogt nie skąpił mi już moich własnych funduszów, a i dziad Michał przysyłał co miesiąc sto rubli z własnej inicjatywy. Wynająłem sobie śliczne dwa pokoje z łazienką i poszedłem na uniwersytet. W ciągu kilku dni sprawdziłem, iż profesorowie bają na wykładach dokładnie to samo, co uprzednie pokolenia studentów skrzętnie spisały w litografowanych kursach: wobec czego

przestałem tam bywać wogóle. Jako zdecydowany radykał zapisałem się jeszcze do socjalizującej „Spójni“, stowarzyszenia, powstałego z rozłamu narodowo-demokratycznej „Bratniej Pomocy“ (vulgo „Bratniaka“) — i spocząłem na laurach.

Bawiłem się. Jakże tu się było nie bawić, kiedy pchała ku temu nietylko własna młodość, ale i cały nastrój społeczeństwa? W olbrzymim Cesarstwie Rosyjskim reakcja panowała coraz sroższa i zdało się, że będzie trwała wieki. Ponoć gdzieś tam w podziemiach wrzało, ale na powierzchni ciążył ołowiany spokój. Nie ruszyło się nic. Karnawał 1903—04 roku wypadł świetnie.

I ja bawiłem się świetnie. Zaczęło się od lekcji tańca, które urządziła Zośka ze swemi przyjaciółkami, a potem kręciłem się już wkółko jak kot za własnym ogonem. Nie miałem wolnego wieczora. Kładłem się codzień o jasnym dniu, a wstawałem na późny obiad. Teatr, koncerty, bale publiczne, szlichtady i panny, panny! Miasto oszalało. Gdzieś wszedł, wszędzie pełno, że ani szpilki wściubić, i wszędzie wesoło. Dziś, dziś! Dziś, dziś! Nawet wypowiedzenie wojny japońskiej w lutym minęło bez większego wrażenia. Tak daleko... — i co to nas obchodzi? Oficerowie

rezerwy - Polacy wykręcali się od tej wojny jak piskorze. Zresztą kpiło się z rosyjskiej kłęski i podziwiano na chłodno poświęcenie japońskich branderów.

Wczesnego wieczora w lutym szedłem Marszałkowską od Ogrodzkiego w kierunku dworca. Był lekki mroziak. Na jezdni leżał jeszcze śnieg po wczorajszej śnieżycy. Sanna. Zewsząd wpadał w ucho dźwięk drobnych janczarków dorożkarskich — kling! kling! Było wesoło i rześko. Przemykałem się wśród licznych o tej godzinie przechodniów bez pośpiechu. Miałem przed sobą umówioną z kolegą partję bilardu i bal publiczny w Salach Redutowych. Wyspany i wykąpany czułem się jak młody bóg.

Raptem uderzył mnie szczególny ruch i gwałt na jezdni. Sznury olbrzymich policjantów waliły po obu bokach wdyrdy. Na skrzyżowaniu ulic brodaty komisarz ryczał na rewirowych tęgim basem. Tramwaje stały. Wśród rosyjskich kłątów przerażone saneczki szmygały w prawo i w lewo, w Świętokrzyską i w Bagno. W pewnej chwili usłyszałem daleki i jękliwy śpiew chóralny. Pieśń kościelna, najwyraźniej kościelna. Zdziwiłem się. A to co znowu — procesja? pielgrzymka na Jasną Górę? zimą? A prze-

cież śpiewają nabożną pieśń. I to tłumy. Co za tłumy? W tym momencie gruchnęła orkiestra wojskowa. Dalekie jeszcze trąby i piszczałki zanosily się junacką piosenką żołnierską:

„*Naszi żołnierze rużja zariażony,*

„*Wot gdzie naszi żony!*“

Cała ulica stanęła i zamarła nagle. Przechodnie utworzyli dwa gęste i milczące szpalery. Wpatrywaliśmy się w pustą teraz ku Dworcowi jezdnię. Już widać było kapelę: kroczyła w blasku latarni i wystaw jak oddział krwawych mosiężnych jęzorów. Grzmiała wesołym marszem. Za nią tyskały na bagnietach ognie plutonu piechoty: z szeregów wysokim tenorem wzbijały się jak rakiety ku czarnemu niebu słowa żołdackiej piosenki:

„*Naszi siostry — sztyki — piki wostry,*

„*Wot gdzie naszi siostry!*“

Podczas przydechów-sekund dochodził równomierny tupot niezliczonych mas i wpadał błagalny ton kościelnego śpiewu. Kiedyś, po ukończonej zwrotce rosyjskiej, dał się rozróżnić jęk tysiącousty:

„*Serdeczna Matko...*“

I zaraz pokrył go mosiężny łomot i dziarski wrzask tenorów:

„*Naszi matki — bielyja palatki...*“

Minęła nas orkiestra, minął śpiewaczy pluton. W pewnym za nimi odstępie grupa ponurych chłopów, jak awangarda, otaczała ogromnego mężczyznę, dźwigającego ciężki obraz Częstochowskiej w połyskliwej srebrnej sukience. Jak okiem w ulicę sięgnąć, szeregami jak falami, waliła za nimi posępna rzeka ludzka. Z niej to buchała jak płomień owa żalosna skarga, owo skamłanie i prośba tego ludu. W jednej chwili zatopiła w sobie tamten mosiężny wrzask i tamtą moskiewską pieśń. Całą ulicę wypełnił ciężki jak dym, aż duszny od gorących błagań, tysiąco-gębny jęk:

„*Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi...*“

Zrozumiałem już oddawna. Mobilizacja. Powołanie pierwszych rezerw. Idą z Wiedeńskiego Dworca na Terespolski, w kierunku Moskwy, na Sybir i na Koreę. Mijają mnie oto szereg za szeregiem: i po miejsku odziane chłopcy z pod Warszawy, i ci z pod Skiernewic, i barwne Łowiczanki — i moje chłó-

py ze Stróży... Ogarnął mnie naraz szalony gniew. Dokąd idą? Poco idą? W uszy lała mi się monotonna płaczliwa pieśń:

„*Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi...*“

Sieroty! Pierwsza rezerwa: kwiat ludności męskiej. Sieroty! Chłop w chłopca jak dęby, chłop w chłopca jak byki. Trzydziestu lat żaden nie ma, bary jak konary, piersi jak bębny, zęby jak u wilków! I oto idą tu przede mną posłuszni, ponurzy, z butami na kijach, z węzłkami, jak dziady! Idą i płaczą, jak sieroty, jak dzieci!

Chodnikami, poza naszym milczącym murem, równoległe do ciągnących szeregów, biegły wdyrdy kobiety wiejskie, matki i żony tych niewesołych rycerzy. Biegły z płaczem, jazgotem, ucieraniem nosów, szlochami i rozpaczą. Co rusz, to któraś próbowała przedrzeć się ku jezdni, ku szeregom, do swojego chłopca. Konwojujący żołnierze zastawiali wówczas drogę bagnetem.

— *Staraniś! Staraniś!*

Cofały się z jękiem — wznosząc ku górze ręce — przed tą okruszyną stali, jak przed nieprzebytym murem. Ta stal we wrażliwych dłoniach sprawiała właśnie, że wszystkie te mocne chłopcy dały się wieść na rzeź,

jak było na ubój, jak barany. Cuchnący zaduch niewoli bił ku mnie z tych szeregów. Za kogóż ginąć idą?! W jakiej sprawie?! Nie wiedzieli. Błagali tylko o litość. I oto ich nagie trupy zaśmierdną się pod obcem i dalekiem niebem!

W tej chwili przeszył ów tupot i ową pieśń błagalną ostro, młody, a półobląkany krzyk kobiecy:

— Mi-chał!! Mi-chał!!

Trzasnęła mnie w pierś tem imieniem! Zatrząsałem się. Zadrzałem. Owładło mną straszliwe uniesienie. Wzywają mnie. Wzywa mnie ten mój lud, te moje chłopcy! Któż wreszcie winien marnotrawstwu tej krwi i tej tęczyzny? Jakiem prawem stoję tu przed nimi w swoim moskiewskim mundurze, wolny i szczęśliwy? Jakiem czołem przyglądam się ich ohydnej niemocy, jako widz? Któż ich wyzwolić ma z hańby? Któż ich poprowadzi?

Patrzałem na ciągnące szeregi ze zmarzszoną brwią. Serce mi biło jak młot. Za ścigtemi zębami miałem te same wyrazy, co wówczas w dzieciństwie, kiedy mi brano najdroższego ojca:

— Nie dam! Nie dam! Nie pozwolę!

## SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
I. Ojciec . . . . .	5
II. Najbliższa rodzina . . . . .	18
III. Dziadek Kwietniak . . . . .	27
IV. Ulica Ogrodowa . . . . .	33
V. Nowe Miasto . . . . .	47
VI. Firma Leokadja . . . . .	63
VII. Los . . . . .	79
VIII. Dawne dzieje . . . . .	86
IX. Starsi panowie . . . . .	96
X. Gimnazjum na Nowolipkach . . . . .	106
XI. Pan Vogt . . . . .	115
XII. Medal . . . . .	123
XIII. Portrecik . . . . .	133
XIV. Rycina Grottgera . . . . .	141
XV. Hotel . . . . .	161
XVI. Ogród Saski . . . . .	174
XVII. Wiosna . . . . .	189
XVIII. Konspiracja . . . . .	204
XIX. Awantura . . . . .	220
XX. Podróż . . . . .	231
XXI. Stróże . . . . .	241
XXII. Dziad Michał . . . . .	253
XXIII. Amore profano . . . . .	273
XXIV. Przełom . . . . .	293



84747

~~78396~~

KONTO



1021

## GEBETHNER I WOLFF ZAPOWIADAJĄ M. IN.:

**W. Berent.** Szabla i Duch. 2 t.  
Państwowa Nagroda Literacka w r. 1933.

**M. Choromański.** Opowiadania dwuznaczne.

**A. Grzymała - Siedlecki.** Miechowiec i syn. Powieść.

**Wł. Mickiewicz.** Pamiętniki. Tom III (ostatni).

**L. Pomirowski.** Nowa Literatura w Nowej Polsce.

### Pozatem wznowienia:

**P. Choynowski.** Młodość, miłość, awantura. Powieść. Wydanie 3-cie.

**E. Małaczewski.** Koń na wzgórzu. Wydanie IV.

### Przekłady:

**J. Duhamel.** Notariusz z Hawru. Powieść.

**A. de St. Exupery.** Nocny lot. Powieść.  
**Fr. Körmendi.** Pokusa w Budapeszcie. Powieść.

# GEBETHNER I WOLFF

## POLECAJĄ:

W. Berent. Pisma w 9 tomach.

M. Choromański. Zazdrość i Medycyna.

„ Biali Bracia.

H. Daniel-Rops. Dusza w mroku.

Z. Falkowski. Cyprjan Norwid.

J. Iwaszkiewicz. Panny z Wilka.

L. Kruczkowski. Kordjan i Cham.

Fr. Mauriac. Kłębowisko zmij.

J. Parandowski. Dysk Olimpijski.

A. Strug. Żółty Krzyż. 3 tomy.

K. Wierzyński. Granice świata.